

CO UZYSKALIŚMY W ZAMIAN?

Warzecha podlicza koszty pomocy Polski dla Ukrainy



Ziemkiewicz o lewakach nawołujących do przemocy wobec prawicy

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 36/594 2-8 WRZEŚNIA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY



KATOLICY
ROBIĄ FURORĘ NA YOUTUBE

Pluton Głuchoniemych w Powstaniu Warszawskim

GRZEGORZ BRAUN W ROZMOWIE Z „DO RZECZY”:

Wszędzie jestem
**persona
non grata**



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



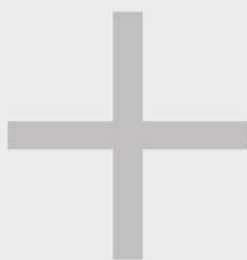
Nakład: 46 800 egzemplarzy

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:

**„W STEPIE SZEROKIM. PODRÓŻ
PO UKRAIŃSKICH KRESACH”**

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~1363~~zł

424,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 939zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl a15c13f5b6



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

My się czerwonej linii nie boimy

Gadał dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu” – przytaczam tę mądrość ludową, choć, przyznaję, stawia mnie to w niezbyt korzystnym świetle dziada gadającego do obrazu, tj. do polskich polityków w sprawie wojny Rosji na Ukrainie. Cóż, niech będzie. Mimo to ilekroć nadarzy się sposobność, nie mogę się powstrzymać. Jest przecież i takie przysłowie: kropla draży skałę. A oto i moja kropla.

Otóż – jak przyznał prezydent Andrzej Duda – to „Polska podczas spotkania głów państw w lutym br. w Paryżu poruszyła kwestię zestrzeliwania rosyjskich rakiet przez siły NATO nad terytorium Ukrainy”. Wypowiedź polskiego prezydenta była, nic dziwnego, opisywana przez ukraińskie media, bo idealnie pasuje do obecnej linii politycznej Kijowa. Słowa te padły podczas wspólnej konferencji prasowej z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim i premier Litwy Ingridą Šimonytė.

Polski polityk najpierw zauważył, że kwestia zestrzeliwania rosyjskich rakiet przez państwa NATO nad terytorium Ukrainy nadal stanowi „czerwoną linię” dla wielu krajów sojuszu, a dyskusja w ramach tej obronnej organizacji trwa. „Odnosnie do kwestii obrony ukraińskiego nieba, to ona może być realizowana poprzez aktywne użycie środków bojowych państw NATO, które są w gestii suwerennych państw NATO, w tym żołnierzy, pilotów państw NATO. To jest kwestia obronnego użycia tych środków. I tu jest ta czerwona linia, wokół której toczy się dyskusja w państwach NATO” – stwierdził Andrzej Duda. I z właściwą sobie szczerością (choć na usta cisną mi się inne słowa) dodał: „To Polska postawiła podczas spotkania w Paryżu, może to nie

było formalne spotkanie NATO [...], my postawiliśmy kwestię, żeby NATO broniło w jakimś zakresie, ze swojego terytorium zestrzeliwując rakietę, jakie lecą w kierunku NATO, ale jeszcze na terytorium Ukrainy”.

Prezydent dodał, że środki bojowe, które miałyby wykonywać te zadania, znajdują się na terytorium lub w przestrzeni powietrznej NATO. „Mam nadzieję, że członkowie NATO przekonają się o konieczności tego kroku” – zakończyła polska głowa państwa.

Otóż z kilku powodów jest to wypowiedź w najwyższym stopniu nieroztropna i dla polskich interesów szkodliwa.

Po pierwsze, zakładając nawet, że jest to pomysł słuszny, co do czego mam ogromne wątpliwości, nie jestem w stanie pojąć, jak można się nim dzielić z opinią publiczną. Co w ten sposób Polska osiąga? W oczach świata potwierdza, owszem, swój wizerunek państwa prowadzącego politykę zuchwałą i ryzykowną. Tak, jesteśmy „pierwszymi, by walczyć”, a przynajmniej takie wrażenie robią polskie elity polityczne (prezydent reprezentował tu, jak rozumiem, też stanowisko rządowe). Być może w ten sposób prezydent chciał pokazać swoją własną odwagę. Pięknie. Tylko nie jest on publicystą, ale politykiem odpowiedzialnym za naród. Mówi publicznie o pomysle, który może zwiększyć jedynie chęć odwetu w Moskwie.

Po drugie, prezydent pomija drobny fakt, że sama Polska nie dysponuje takimi systemami obrony rakietowej, które umożliwiłyby jej skuteczne zestrzeliwanie rosyjskich rakiet. Publicznie chwając się tym, że namawia do tego innych, pokazuje słabość, a nie siłę własnego państwa.

Po trzecie, o czym przecież Andrzej Duda musi wiedzieć, NATO jest formalnie sojuszem obronnym. Zestrzeliwanie rosyjskich rakiet nad Ukrainą – pomijam kwestię, kto miałby to robić – byłoby działaniem aktywnym i faktycznym wkroczeniem do wojny po stronie Kijowa. W takim przypadku na pewno należałoby się liczyć z rosyjskimi retorsjami i proporcjonalną odpowiedzią w stosunku do tych państw, które zestrzeliwałyby rosyjskie rakietę. Otóż zgodnie z traktatem sojuszniczym inne państwa – w tym chociażby USA – nie byłyby w takim wypadku zobowiązane do obrony Polski. Artykuł piąty wyrażnie mówi o obronie zagrożonego członka sojuszu (też nie jest to konieczność, a jedynie możliwość!) w wypadku agresji na nie państwa spoza NATO. Jednak gdyby Polska lub inne państwa, które ona do tego zachęca, same zaczęły działania wojenne, NATO nie miałoby obowiązku ich bronić. Państwa te, najkrócej mówiąc, mogłyby zostać zmuszone do tego, by radzić sobie samemu.

Po czwarte, słów prezydenta nie poprzedziła żadna publiczna dyskusja na temat potencjalnych kosztów i zysków takiego „zestrzeliwania”. Mam ogromne wątpliwości, czy Polacy gotowi są na takie ryzyko.

Wiem, że w Polsce wciąż wielu takie buńczuczne opowieści, w których Andrzej Duda celuje, bardzo się podobają. Dla tych samych ludzi myśl o ryzyku, o potencjalnych ofiarach i stratach jest przejawem tchórzostwa i uległości propagandzie Kremla. Mam tylko nadzieję, że jest ich coraz mniej i że rośnie grupa dostrzegająca w słowach prezydenta Polski to, co mi zdaje się wyraźne, a więc ryzykanctwo. ©©



TEMAT TYGODNIA

14 ROZMOWA Z GRZEGORZEM BRAUNEM

W TWIERDZY WROGA

Polexit jest jedyną racjonalną opcją dla polskiego patrioty

KRAJ

20 PIOTR SEMKA

POSZUKIWANY, POSZUKIWANI

Problem z kandydatem PiS na prezydenta

23 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

SFRUSTROWANI ZWYCIĘZCY

26 JERZY KARWELIS

SANITARYSTA PONAD PODZIAŁAMI

28 MICHAŁ MURGRABIA

KATOLICY NA YOUTUBE

32 ŁUKASZ ZBORALSKI

ZAMACH NA „BABCIOWE”

KULTURA

34 WIESŁAW CHEŁMINIAK

FREUD, LENIN I DOLARY

Surrealiści i ich rewolucja

38 PIOTR GOCIEK

MIŁUJ NIEPRZYJACIÓŁ

NIE PRZEGAP

41 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 LECH MAŻEWSKI

MIEDZY ZWYCIĘSTWEM A KLĘSKĄ KIJÓWA

Jaki wynik wojny byłby w polskim interesie?

49 ŁUKASZ WARZECHA

JEDNOSTRONNA SZALEŃCZA MIŁOŚĆ

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI

KATOLICY ZA TRUMPEM

HISTORIA

56 JERZY DĄBROWSKI

PLUTON GŁUCHONIEMYCH

Opiekunowie i wychowankowie Instytutu Głuchoniemych brali udział w Powstaniu Warszawskim



ŚWIAT



60 MACIEJ PIECZYŃSKI

MOSKWA JEST KOBIETĄ

Jedne Rosjanki protestują przeciw wojnie, inne chętnie wysyłają na nią swoich mężów i synów

63 DOMINIKA ĆOŚIĆ

MOST NA RZECIE IBAR

66 TERESA STYLIŃSKA

TURYŚCI NIEMILE WIDZIANI

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI

ZŁOTA HOSSA

Cena kruszcu bije historyczne rekordy

73 ROZMOWA Z PIOTREM NOWAKIEM

POLARYZACJA NISZCZY POLSKĘ

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabriel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociek**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, **Joanna Bojańczyk**, **Grzegorz Brzozowicz**,
Wojciech Cejrowski, **Wiesław Chelminiak**, **Dominika Ćosić** (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, **Krzysztof Czabański**, **Łukasz Czarniecki**,
Wojciech Golonka, **Ryszard Gromadzki**, **Marek Jurek**,
Jerzy Karwelis, **Jacek Komuda**, **Slawomir Koper**, **Piotr Kowalczyk** (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, **Tomasz Lenczewski**, **Piotr Litka**, **Łukasz Majchrzyk**,
Monika Małkowska, **Gabriel Michalik**, **Andrzej Nowak**, **Jacek Pałkiewicz**,
Maciej Pieczyński, **Jan Pospieszalski**, **Tomasz Rowiński**, **Witold Repetowicz**,
Wojciech Roszkowski, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**,
Błażej Torasński, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**, **Dariusz Wieromiejczyk**,
Jakub Wozniński, **Tomasz Wróblewski**, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**-
Pieczyska, **Małgorzata Puzry**, **Anna Skalska**, **Anna Szczepańska**, **Marcin**
Bugaj, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Grzegorz Grzymowicz**, **Dawid**
Sienkowski, **Łukasz Żygado**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrycka-Wernerowska**,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSUJĄCY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystopa**
Okładka: **Marysia Zawada/REPORTER**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, **Jolanta Lio**
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**



MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, **Joanna Nowakowska**
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasa@poczta.pl,
www.poczta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 800 egzemplarzy



Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Lewica zniszczy Polskę

Szanowny Panie Redaktorze Naczelny, liberalny rząd Tuska nie potrzebuje silnej Polski zarówno militarnie, jak i gospodarczo. A co widzimy? Polska na skraju kryzysu demograficznego. Zapewne doskonale zdaje Pan sobie sprawę z tego, że w ubiegłym roku w kraju zmarło ponad 409 tys. osób, podczas gdy urodziło się zaledwie 272 tys. dzieci. I taka sytuacja powtarza się rok po roku. Według danych analitycznych w 2060 r. liczba ludności w wieku produkcyjnym w Polsce wyniesie ok. 15 mln. To katastrofa dla naszego kraju! Zamiast naprawić sytuację i przyjąć wiele ustaw mających na celu wsparcie dla rodzin wielodzietnych, Sejm rozpatrzył projekt ustawy o dekryminalizacji aborcji.

Choć projekt ustawy został odrzucony, to lider Nowej Lewicy, wicemarszałek Sejmu **Włodzimierz Czarzasty**, zapowiedział, że we wrześniu lewica ponownie złoży w Sejmie projekt nowelizacji Kodeksu karnego, dotyczący częściowej dekryminalizacji przerywania za zgodą kobiety jej ciąży z naruszeniem przepisów ustawy o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży oraz dekryminalizacji pomocy w samodzielnej aborcji. Jego słowa potwierdziła przewodnicząca klubu Anna Maria Żukowska: „Będziemy go składać do skutku”. Posłanka podkreśliła również, że „wtedy, kiedy będzie uchwalony, będzie nadzieja na dalszą liberalizację przepisów dotyczących prawa do przerywania ciąży”.

Biorąc pod uwagę trudną sytuację demograficzną w kraju, forsowanie tej ustawy przez lewicę jest jawną zdradą interesów narodowych Polski. Przypomnę, że za uchwaleniem ustawy było 215 posłów, przeciw 218, wstrzymało się dwóch, a 35 nie wzięło udziału w obradach. Żukowska zauważyła, że w głosowaniu zabrakło kilku głosów z Polskiego Stronnictwa Ludowego. Ma nadzieję skruszyć ich sumienia.

I co dalej? Rozumiem, że dzisiejszym politykom nie zależy na przyszłości Polski. Nie interesuje ich nic poza władzą, spełniają tzw. obietnice wyborcze, żeby jak najdłużej utrzymać się przy korycie. Nie przejmują się konsekwencjami, ponieważ następne pokolenie polityków, posłów i urzędników będzie musiało poradzić sobie z tym problemem. Dla Donalda Tuska i jego współpracowników łatwiej jest sprowadzić migrantów do Polski, którym nie trzeba w ogóle płacić [...]

Z poważaniem
(imię i nazwisko do wiadomości redakcji)

**„Widziałem Polskę wierzącą”,
Jan Pospieszalski, „DRz” nr 35/2024**

Szanowni Państwo,
z dużą radością przeczytałem felieton pana Jana pt. „Widziałem Polskę wierzącą”.

Jest to opis prawdziwych sytuacji mających miejsce w kościołach powiatu garwolińskiego, z którego sam pochodzę, a od lat zamieszkuję na działce w Wildze.

Polecam uwadze Pana redaktora także kościół w Mariańskim Porzechu (sanktuarium Matki Boskiej Bolesnej).

Tekst fantastyczny i dodający otuchy. A 8 września w Miastkowie Kościelnym uroczysta Msza Święta z racji 600-lecia parafii (moja rodzinna kołębka).

Z serca pozdrawiam
Grzegorz P. Rękawek

NEKROLOG

Tomaszowi Wróblewskiemu

wyrazi głębokiego współczucia
z powodu śmierci Mamy

**Agnieszki
Wróblewskiej**

składają przyjaciele
z tygodnika „Do Rzeczy”

NA PIERWSZY OGIEŃ

PKW jako młot na opozycję



PIOTR SEMKA

Decyzją Państwowej Komisji Wyborczej PiS straci 10 mln zł z dotacji. PKW ma jeszcze rozstrzygnąć losy corocznej subwencji dla PiS. Ta decyzja do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy” jeszcze nie zapadła, ale prawdopodobne jest zawieszenie wypłat na działalność partii Jarosława Kaczyńskiego aż na trzy lata.

W sieci krąży dowcip: „Dlaczego PKW chce obciąć subwencje Kaczyńskiemu na trzy lata? Bo akurat za trzy są kolejne wybory do Sejmu”. Ten czarny humor sygnalizuje podejrzenie wielu Polaków, że decyzja komisji to wynik presji politycznej. I Platforma Obywatelska – czy szerzej: obecna koalicja – zrobiła dużo, by te podejrzenia uprawdopodobnić. Najpierw były wyraziste deklaracje polityków PO oczekujących ukarania PiS i wywierających nacisk na PKW. Potem usłyszeliśmy reprimendy Romana Giertycha wobec Ryszarda Kalisza, atakującego go za szczere wyznania, że podstawy do ukarania PiS są bardzo wątpliwe. Sama decyzja o parotygodniowym odłożeniu decyzji PKW w tej sprawie sprawiała wrażenie efektu presji polityków obozu władzy na członków Komisji. Jeśli dojdzie do obcięcia dotacji dla największej

partii opozycyjnej na długie trzy lata, to będzie to niepokojąca cezura w życiu politycznym III RP.

W poprzednich latach wyroki PKW bijące rozmaite partie po kieszeni bywały dotkliwe, ale nigdy nie stawiały ich egzystencji pod znakiem zapytania. I znów ewentualna groźba decyzji o obcięciu subwencji nie byłaby tak niepokojąca, gdyby nie wpisywała się w cały pakiet działań ekipy Tuska, wyglądający coraz bardziej jak plan zniszczenia PiS. Od wyraźnego politycznego zaangażowania prokuratury w zwalczanie członków poprzedniego rządu do działań nieformalnych, takich jak rozpętanie kampanii przez media usłużne wobec PO na rzecz odcięcia TV Republiki od reklam.

Ustawa o subwencjach dla partii politycznych, która jest elementem polskiego systemu politycznego od 2001 r., miała gwarantować, że partie nie będą uzależnione od biznesowych oligarchów ani zagranicznych dotacji. Że o ile mieszczą się w ładzie konstytucyjnym RP – o tyle będą trwałym elementem życia publicznego. Teraz partia, na którą głosowało ponad 7 mln Polaków, może być powoli zagładzana.

PiS chce odwołać się od decyzji PKW do Sądu Najwyższego. Jeśli

nawet wygra, to minister finansów i tak zapewne odmówi wypłaty subwencji, bo obecny rząd uznaje Izbę Kontroli i spraw publicznych SN za ciało nielegalne. Układ Tuska powoli domyka się tak, by nie było w nim żadnej szczeliny. Politycy PO szaleją ze szczęścia. Ubierają się w togi moralnych katonów, pouczających, że „łamanie prawa nie popłaca”. Piszą to platformersi, którzy przekonują, że Campus Polska nie ma nic wspólnego z polityką, a dotowanie tej imprezy Rafała Trzaskowskiego przez niemiecką Fundację Adenauera w roku wyborczym oczywiście nie budzi żadnej wątpliwości.

PiS chce odwoływać się teraz do ofiarności elektoratu prawicy, ale rywalizacja partii wyposażonych w subwencje państwowe z ugrupowaniem zdanym na datki sympatyków to jak wyścig ferrari z rowerem. W czasach rządów PiS publicyści spod znaku ośmiu gwiazdek wiele razy ogłaszali, że z polską demokracją jest jak z polownym gotowaniem żaby. Proces trwa na tyle długo, by wszyscy do niego przywykli i przestali go zauważać. Teraz nowa ekipa postanowiła ugotować PiS-owską żabę jak najszybciej. Decyzja PKW to nagłe zwiększenie ognia palników. ©©

WOJCIECH SZCZĘSNY
ZAKOŃCZYŁ KARIERĘ

Trzydziestoczteroletni bramkarz ogłosił w ubiegłym tygodniu, że kończy piłkarską karierę. Jak oznajmił Wojciech Szczęsny, woli poświęcać czas rodzinie i innym pasjom. „Dałem futbolowi wszystko, co miałem przez ponad 18 lat mojego życia. Poświęcałem się codziennie, bez wymówek. Moje ciało wciąż czuje się gotowe na wyzwania, mojego serca już tam nie ma” – ogłosił piłkarz. (jap) ©©



FOT. ROBERT CIOBIŃSKI

dwaj panowie g

Zgodnie z naszymi zapowiedziami Państwowa Komisja Wyborcza zabrała PiS piniondze, a za chwilę zabrać ma jeszcze więcej. Co sprawia, że czas na ujawnienie misji, którą już jakiś czas temu szeregowy poseł Jarosław Kaczyński powierzył byłemu premierowi Mateuszowi. Najkrócej mówiąc, chodzi o to, żeby znaleźć piniondze. Nie bo skoro bankier, to zna się na piniondzech i wie, skąd można pożyczyć, żeby gdzie indziej zapłacić. To się fachowo nazywa rolowanie długu.

Powyższej informacji nie należy mieszać z koniecznością powołania jakiegoś Funduszu Obrony Narodowej, to znaczy Funduszu Obrony PiS. Aby zbulwersowany elektorat mógł wspierać. W sumie na razie obeszło się i bez tego, żeby powoływać, bo ludzie mają po prostu wpłacać na PiS. Naszym zdaniem szkoda, fundusz o ładnej nazwie to skarb, gdyż tylko rzeczy ładnie nazwane dobrze się sprzedają.

Brak kasy to dramat, każdy to wie. Ale jedną z odmian dramatu jest komedia. I tu musimy odnotować element humorystyczny. Jednym z zakwestionowanych przez PKW wydatków wyborczych PiS był spacer nordic walking Joanny Emilewicz. Popieramy. Ludzi, którzy blokują chodniki, ciągnąc za sobą kije, należy przykładowo karać.

Otym, że PKW zabrała PiS piniondze, wiedzą wszyscy, ale mało kto wie, że dwóch członków tego gremium (chodzi o PKW, nie o PiS) to wysoko lokowani członkowie masonerii. Wyszło to zresztą na jaw, kiedy nawet nie byli jeszcze członkami PKW. Jeśli uważacie zatem fartuszkowych braci tylko za nieszkodliwych dziwaków, to srodze się mylicie.

Co ciekawe, w przeszłości nasze służby również uważały fartuszkowych za nieszkodliwych dziwaków. Aż pewnego dnia jeden z nich wbił się do CBA, przy okazji tzw. afery korupcyjnej w Sądzie Najwyższym, kiedy konsultował z pewnym sędzią treść skargi kasacyjnej. Przez krótką chwilę zastanawiano się wówczas, czy nie sięgnąć po przedwójenny dekret zakazujący działalności

wolnomularzy w Polsce. Ostatecznie zrezygnowano z tego ruchu. Naszym zdaniem niesłusznie.

Apropos piniendzy. Ciekawa sytuacja miała miejsce w Sejmie, gdzie były wiceminister sprawiedliwości, sekowany przez reżim Marcin Romanowski, wystąpił o kasę na służbową delegację do Bukaresztu, gdzie odbywała się prestiżowa konferencja polsko-rumuńska. Niestety, Szymek Płaczliwy Hołownia odmówił, twierdząc, że jak ktoś nie ma immunitetu sejmowego, to nie ma też sejmowych piniendzy. Romanowski przechytrzył jednak Szymka. Pozwolił Rumunom na opłacenie wizyty.

Podczas konferencji w Bukareszcie powiedziano – i to wielokrotnie – brylującego oficjalnie i w kularach byłego europoła Richarda Henry'ego Czarneckiego. Co wprawiło niektórych w konfuzję. Owszem, jako eurodep był nieustannie w podróży, jak nie Bhutan, to Nigeria i tak dalej. Zrozumiałe. Ale teraz? Jak kto? I jako kto? Z tego, co słyszeliśmy, jest zapraszany jako on: Czarnecki. To się nazywa dobrze pokierować swoją karierą międzynarodową.

Równolegle z chryją o piniondze PiS medialną karierę robi oświadczenie szeregowego pośła Kaczyńskiego, że jego najlepszym następcą na czele PiS byłby Mariusz Błaszczak. Chcieliśmy przypomnieć, że już jakiś czas temu ukuliśmy dla tego ostatniego ksywę Błaszczafi. Niestety, wiewiórki z Nowogrodzkiej twierdzą, że słowa prezesa to jedynie nagroda pocieszenia za to, że Błaszczak nie będzie kandydatem na prezydenta.

WRzymie trwają poszukiwania rezydencji spełniającej wymagania. Idzie o wymagania podwójne: państwa Schnepfów oraz przepisów. Idzie ciężko. Przepisy mówią, że rezydencja przysługuje tylko ambasadorowi. A Ryszard Schnepf to zaledwie kierownik placówki urzędującej pod nieobecność legalnego ambasadora, a dokładniej pani ambasador Anders, która nie została odwołana przez prezydenta Andrzeja Sebastiana. A problem z wymaganiami Schnepfów polega na tym, że opuszczone przez nią lokum osoby samotnej jest dla nowych lokatorów zdecydowanie za małe. No i kłops. Gdy tylko ta kwadratura koła zostanie rozwiązana, poinformujemy o tym czytelników i organy ścigania. Bo na legalu się tego załatwić chyba nie da.

Skor o organach ścigania. Rozmawialiśmy z zaprzyjaźnionym policjantem, który po ćwierćwieczu służby udał się na emeryturę. Facet młodszy od nas o jakąś dekadę. Nie żebyśmy zazdrościli. Lubimy naszą robotę i nie zamierzamy jej porzucać. Facet jednak powiedział nam bardzo ciekawą rzecz. Otóż policja na wszelkie sposoby zachęca aktualnie emerytów do powrotu do służby. I nie ma znaczenia, że większość z nich ma łatkę PiS-owców. Cytując klasyka, obecne szefostwo policji nie robi z tego zagadnienia. A to z tego prostego powodu – znają się na robocie. Ręk do pracy zaś brakuje.

Na koniec o dziedzictwie kulturalnym. Bardzo zainteresował nas sposób tłumaczenia się uczestników Campusu Polen Der Zukunft z tańców i hołubców przy dźwiękach piosenki o „...ć PiS”. Zastanówmy się. Linia obrony polityków Koalicji Obywatelskiej brzmi tak: nie ma się co oburzać, bo, po pierwsze, to była dyskoteka, więc można. Po drugie, to tylko młodzi się bawili – więc można. Po trzecie, było po godz. 23. Więc można. Aha! To znaczy, że jeśli przed godz. 23 czynią to ludzie starsi i poza dyskoteką – to nie można! Powiedźcie to uczestnikom wieców Tuska na placu Zamkowym oraz różnych marszów tzw. wolności. ©©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Powrót **ubecji**

Tych faktów nie można widzieć osobno. Fakt pierwszy: z aresztu tymczasowego została zwolniona Justyna G., była urzędniczka Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych. Aresztowana w lipcu na dwa miesiące wyszła już po niecałym miesiącu w nagrodę – czego nawet nie ukrywały prorządowe media – za złożenie oczekiwanych po niej zeznań obciążających szefów. To na ich podstawie – fakt drugi – wystawiła prokuratura list gończy za byłym szefem agencji, Michałem Kuczmierowskim.

Fakt trzeci: sąd zmienił poprzednie orzeczenie wobec ks. Michała Olszewskiego i dwóch byłych urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości. Przedłużył im areszt – razem to będzie już dziewięć miesięcy.

Obrońcy aresztowanych nazwali tę decyzję kuriozalną, bo jej podstawą były wprowadzone nowe zarzuty, ale nie poparte żadnym nowym materiałem dowodowym. Ale po co materiał dowodowy, panie mecenasie? Podstawą decyzji było to, że Justyna G. „pękła”, więc „utrwalacze” praworządności nabrali otuchy. Może inne urzędniczki też sobie uświadomią, jak łatwo jest wyjść z aresztu w nagrodę, bez żadnych posiedzeń sądu: wystarczy podpisać, co prokurator podłożył. No, niech pani będzie rozsądna, przecież pani wie, że nie o panią nam chodzi, że na tym etapie nie zeznaje pani pod przysięgą, będzie pani mogła to potem odwołać. No po co dzieci mają dłużej tęsknić za mamą? Pani Justyna była rozsądna i jej

rodzina już nie tęskni. No, niechże pani podpisze, bo kończy się moja zmiana i przyjdzie ten drugi, który tak strasznie krzyczy i nie jest taki uprzejmy jak ja...

Tak to działa. Adam Bodnar dobrze wie jak, bo jako RPO, w lipcu 2018 r., wyszył do ówczesnego ministra Ziobry całą epistołę, wciąż dostępną na stronach urzędu Rzecznika (sygnatura: II.566.3.2017II.566.3.2017.MM). O tym, jak źle się dzieje w aresztach tymczasowych, jak są one nadużywane do celów „wydobywczych” i jak to bardzo odstaje od „standardów europejskich”. Wtedy oczywiście dzisiejszy minister był przeciwny, no ale wiadomo – punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, a Donald żąda wyników. ©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

J.D. Vance für Deutsche

Grzebanie w e-mailach, budowanie aktów oskarżenia na pojedynczych wypowiedziach... Czyż Wolne Media nie przypominają coraz bardziej policji politycznej? Nie w represyjnej, ale w bieżącej, zastraszającej, funkcji – zniechęcania ludzi, by mówili, co myślą.

W systemie totalitarnym ludzie niepowołani (przez Partię oczywiście) nie powinni byli „mieszać się do polityki”. W systemie liberalnym koncept „polityków” (zakładający, że ludzie, którzy już samowolnie „zamiesza się do polityki”, nie trzeba traktować jak ludzi) służy uruchomieniu wobec niepowołanych trybunów nadzwyczajnych procedur, zawie-

szenia praw, wszystkim innym gwarantowanych przez Wolność. Dlatego właśnie ci, którzy siedzą cicho, natury systemu nie czują.

Nie popierałem i nie popieram metod Jacka Kurskiego. Ale – jak już kiedyś pisałem – w jego telewizji nie działo się nic niebywałego. Przeciwnie, ta telewizja doskonale mieściła się w „standardach demokratycznych”. Tyle że korzystała z nich wbrew tym, którzy je ustanowili.

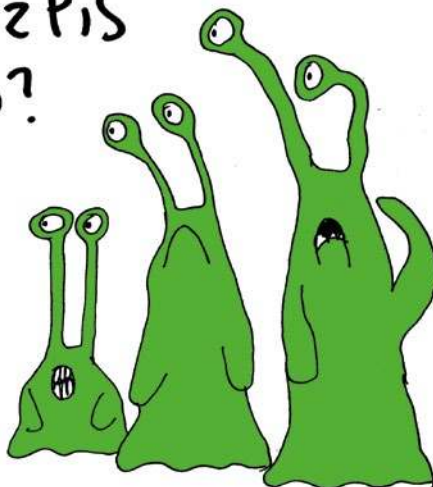
W amerykańskich mediach trwa nagonka na kandydata na wiceprezydenta, senatora J.D. Vance’a. Z redakcyjnych kartotek wyciągnięto mu wypowiedź, że Ameryką współrządzą „bezdzielne kociary”. Wobec kobiet, które nie mogą mieć dzieci, istotnie sformułowanie

niestosowne. Ale czyż nie należy się zastanawiać nad sytuacją, w której przyszłość narodu mają kształtować ludzie, którzy programowo dzieci mieć nie chcą? Zostawmy jednak te roztrząsania, bo tym, którzy wynaleźli ten „temat”, chodzi właśnie o to, by był maglowany i „żył”.

Nikt nie zaprzeczył, że jednorazowa wypowiedź senatora była wynikiem chwilowej irytacji. A „wolność wyrazu” jest chyba prawem człowieka? Nie o to jednak chodzi, by uczciwie ustalić, co człowiek myśli, tylko o to, by ludzie zastanawiali się, czy w ogóle mówić, co myślą, i czy to uzasadniać. Bo jak trzeba – dostaną w łeb za to, co myślą właśnie, a jak się nie da – za to, jak to uzasadniają. ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Witajcie, kosmici!
Jesteście z PiS
czy z PO?



C e z a r y k r y s z t o p a



PIOTR KOWALCZYK
Z RYZMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Jaskiniowcy są na świecie

Wydawałoby się, że po ujawnieniu potwornych zbrodni komunistycznych, po jeszcze żywych w pamięci doświadczeniach realnego socjalizmu i urodzonej na tej glebie „putinowszczyzny”, przynajmniej komunizm jaskiniowy wylądował na śmietniku historii. Okazuje się jednak, że są i wymieniają między sobą myśli (?) dorośli ludzie, którym tęskno za Związkiem Sowieckim i zimną wojną. Przy czym nie chodzi o zideologizowanych szaleńców z Ameryki Południowej, a o Włochów.

Komitety Wsparcia Ruchu Opoporu na rzecz Komunizmu (CARC) przy wsparciu Nowej Włoskiej Partii Komunistycznej opublikowały długą listę proskrypcyjną rzekomych „syjonistycznych

agentów” działających w Italii. Wyszczególniono organizacje, redakcje, polityków i biznesmenów, m.in. spadkobiercę fortuny Agnellich od Fiata Johna Elkanna, czołowych włoskich publicystów i komentatorów, ze szczególnym uwzględnieniem tych pochodzenia żydowskiego.

Jak wyjaśniono, był to gest solidarności z narodem palestyńskim, a także krok ku „uwolnieniu naszego kraju spod panowania imperialistów włoskich i zagranicznych, a przede wszystkim protektoratu USA-NATO. Niech poczują nasz oddech na swoich plecach”.

Autorzy tłumaczą, że nie byli w stanie wytropić wszystkich syjonistów we Włoszech, więc proszą czytelników o wsparcie, czyli donosy.

Rzut oka na stronę internetową Nowej WPK jeży włos na głowie. Lenin ze Stalinem, a na dodatek Mao i apologia zbrodni Czerwonych Brygad. Ktoś chwali się, że zna na pamięć daty wszystkich udanych zamachów. Na zakończenie kilka cytatów: „Świat bardzo potrzebuje komunizmu, który nada prawdziwe wartości naszemu życiu”. „Musimy walczyć każdego dnia! Bierność to wspieranie anglosaskiej oligarchii syjonistycznej”. „Trzeba zrobić czystkę na FB, eliminując syjonistów i wspierających Ukrainę”. „Niech do końca roku żaden Ukraińiec nie będzie mógł stać na własnych nogach”. „Wypełnianie poleceń jest obowiązkiem, szczególnie jeśli ktoś uważa się za komunistę”. Delirium. ©©

Rzut oka jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

WSZYSTKO DLA WAS

Wokalista Michał Szpak ponownie zasiadł w fotelu trenera muzycznego talent show „The Voice of Poland”. To jedna z wielu zmian personalnych dokonanych przez nowe władze TVP, a więc jak to u nas, jest komentowana w kontekście politycznym (choć polityki przecież zupełnie nie dotyczy). Media wskazują, że Szpak powraca do TVP po przerwie i to wielka chwila. Sam muzyk też podgrzewa dyskusję. – To była ciężka decyzja, bo nie ukrywam, że te mechanizmy, które działały tutaj wtedy, kiedy kończyłem współpracę, były dość brutalne i w ogóle niewspółgrające z systemem wartości, jaki posiadam – stwierdził Michał Szpak. – Cieszę się, jestem bardzo podekscytowany i w stresie, bo nie wiem, czego się spodziewać. Trochę wiem, trochę nie wiem, ale tęskniłem za tymi emocjami, za talentami, za możliwością prowadzenia ich, uświadamiania ich, co ich czeka, sprzedawania im jakichś trików, które mogą spowodować, że będą mogli rozwijać swoje skrzydła. Za tworzeniem, za tą ekipą, która tworzy program, za trenerami, za atmosferą i za prawdą, bo ten program wbrew pozorom jest bardzo szczerzy i prawdziwy, nierzeczywowany w zasadzie. Wszystkie te reakcje,

które tutaj się odbywają pomiędzy nami a uczestnikami, są prawdziwe i tego też oczekujemy od tych ludzi, którzy tutaj przychodzą – opowiedział w rozmowie z portalem Plejada. Piosenkarz sugeruje, że w TVP działa się w przeszłości źle. – Jestem człowiekiem wolnym, oczekuję wolności. Myślę, że artysta i żaden człowiek nie powinien być ograniczany, zamykany, definiowany, co powodowało tak naprawdę narastający hejt ze strony różnych ludzi, którzy się ścierają, bo wierzą bardziej w tę swoją stronę. Bardzo to było dziwne – powiedział, sugerując, że dochodziło do mobbingu. – Wiadomo, że zostałem uzbrojony w jakiś taki motyw charakteru, który nie robił sobie z tego nic, ale gdyby się tak przyjrzeć temu z boku, to wydaje mi się, że to było naprawdę brutalne. To był taki główny czynnik, który sprawiał, że zastanawiałem się, czy to jest ten moment, w którym powinienem wrócić do tego programu – dodał. Ostatecznie Szpaka przekonali sami uczestnicy. – Trochę zrobiłem to dla uczestników, bo wydaje mi się, że mam dobrą intuicję, że udawało mi się doprowadzać tych ludzi do pierwszego, do drugiego miejsca, czując ich emocje, wiedząc, jak to jest być po drugiej stronie – wskazał. – To jest ogromny stres, ale z drugiej strony ci ludzie, którzy tutaj zasiadają, ludzie, którzy tworzą w ogóle ten program, są tak wspaniali, że przychodząc tutaj i już siadając na tym fotelu, mówisz: jestem trochę w domu – podsumował wokalista. Czego się nie robi dla pieniędzy... tfu, dla uczestników oczywiście.

TYLKO BEZ TAKICH PYTAŃ

Krystyna Janda to osoba bezkompromisowa. W mediach społecznościowych opisała, co spotkało ją podczas jednego z ostatnich wywiadów. „A propos zabawne historie ze spotkań z dziennikarzami: Bodaj w Radomiu, w trakcie długiej trasy teatralnej, miejscowa dziennikarka prosiła o godzinny wywiad nadawany z miejscowej rozgłośni. Mieliśmy program napięty, dwa spektakle dziennie i przejazd do kolejnego miasta, przygotowanie sceny,

światła, dekoracja, próba, no ani chwili. Ale dziennikarka błagała, że marzenie jej życia, że wie o mnie wszystko, śledzi każdą aktywność zawodową, gratuluje sukcesów” – czytamy w poście aktorki. Okazało się, że owa dziennikarka zawiodła Jandę. „Zapytałam: A czy bilety na moje spektakle są sprzedane? – Tak, co do jednego – odparła. W rezultacie zgodziłam się na ten wywiad i po przyjeździe do Radomia natychmiast udałam się na tę godzinę przy mikrofonie, mając czas wyliczony co do kwadransa” – wskazała. „Miłe przywitanie, siadamy w studio, ja zagoniona, wchodzimy na antenę i dziennikarka zadaje mi pierwsze pytanie: Czy nie myślała pani o zmianie zawodu? Zatkąło mnie, ale z ulgą odpowiedziałam: A wie pani, chyba tak, pozdrawiam Państwa. I wyszłam ze studia” – zakończyła Krystyna Janda. Ostra jak brzytwa.

CO ZA PECH!

Bohaterka telewizyjnych reality show o życiu niezbyt sławnych, ale bogatych, Aneta Glam, wybrała się do Włoch. Niestety, urlop zamienił się w koszmar. Cóż się wydarzyło? Ano panią Anetę rozbolał ząb! Na Instagramie Glam podzieliła się z fanami zdjęciami „zdeformowanej” twarzy. „Cześć kochani! Zobaczcie, jak ja się dzisiaj obudziłam – ze zdeformowaną twarzą. I ledwo co mogę mówić. Ząb mnie bolał od kilku dni. Miałam taką małą gułkę na dziąśle, a dzisiaj się obudziłam z takim balonem. Katastrofa. Jak to boli. Muszę szukać dentysty. Jest teraz weekend. Są wakacje we Włoszech. Wszystko jest pozamykane tutaj w sierpniu. Nie wiem, co mam zrobić. Zaraz idę na recepcję szukać dentysty. Chyba koniec wakacji dla mnie” – przekazała ze smutkiem. Sytuacja nie poprawiła się następnego dnia – opuchlizna objęła również oko. Na szczęście po kilku dniach poszukiwań Anecie Glam udało się znaleźć dentystę. „Wczoraj dostałam antybiotyki, ale lekarz powiedział, że to potrwa kilka dni, do tygodnia. Aż się polepszy” – poinformowała zaniepokojonych obserwatorów. Pani Aneto Glam, ogromne wyrazy współczucia. ☹ ☹



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, boomerstwo okołopisowskie jest straszliwie oburzone, iż podczas Campusu organizowanego przez Rafała Trzaskowskiego (nasza przyszła osoba prezydencka, zobaczcie <3) młodzież dała upust emocjom i śpiewała, iż należy ***** **.

Ciekawe, co ich zdaniem młodzież miałyby zaśpiewać? „Jarku, coś Polskę...” xD? Przecież wiadomo, iż na takim spotkaniu jest intelektualna elita elit, która doskonale wie, co należy robić z pis, a co więcej – są tam ministrowie rządu, którzy również to wiedzą. Nie po to środowiska Polski uśmiechniętej promowały przez tyle lat osiem gwiazdek, iżby młodzież tego nie pamiętała. No ale potem boomerzy powiedzą i tak wbrew faktom, iż młodzież się nie chce uczyć.

Otóż młodzież chce, ale musi uważać to za ważne i interesujące. Jak więc widać, przesłanie z Campusu jako takie zostało uznane, można też się spodziewać, iż będzie ono twórczo rozwijane i wykorzystywane także w następnych latach, iż młodzież jednak to swoje mózgowie „capacity” ma ograniczone i kolejnych haseł może się już nie nauczyć.

Jest też jednak taka możliwość, iż podobne ograniczenia mogą istnieć po stronie rządowej, która innych haseł nie będzie w stanie zaproponować przez najbliższych kilka lat, ale o tym przeko-

namy się już wkrótce podczas kampanii prezydenckiej.

Ztą kampanią prezydencką to w ogóle dajcie spokój. Zaczynamy się niecierpliwić. Oczywiście nie dlatego, iż nie wiemy, na kogo głosować. Naszymi kandydatami oczywiście są Rafał Trzaskowski albo Radek Sikorski, albo ktokolwiek, kogo wystawi nam

materiały Stanowskiego (oczywiście nie popieramy takiej publicystycznej chuliganerii, nie chcemy tego oglądać i Kanału Zero też nie chcemy, no ale niby się człowiek brzydzi, ale wzroku oderwać nie może...).

Na razie więc wiadomo tylko tyle, iż kandydować z ramienia Konfederacji będzie Mentzen, zawsze to jednak trochę lepiej niż Bosak, ale i tak się boimy, iż część narodu da się otumanić tej kolejnej iteracji Krula.

Z tego, co widzimy, to PiS będzie próbował wyciągnąć kolejnego noname’a, który miałby zrobić taki wynik, jak wyciągnięty gdzieś z daleka Duda 10 lat temu. Śmiało, pisie, skoro się udało 10 lat temu, to czemu nie miałoby udać się teraz xD?

Szymon Hołownia jest z kolei sooo październik 2023 r., Kosiniaka z Kamyszem nie biorą chyba poważnie pod uwagę nawet chłopci, pojawia się pewnie kilku szurów, jak co wybory, a o kandydacie Lewicy

sami zapomnieliśmy – więc sami widzicie, jak poważnie będą traktowani.

My więc już widzimy, kto wybory wygra <3, ale nie chcemy tego zapeszać. W każdym razie zobaczcie, iż cała Polska będzie miała tak dobrze, jak ma teraz Warszawa!!! ☺☺

Gdybyś, Kosiniaku,
w mścieniu siedział,
toby się o tobie
Domek nie dowiedział



rząd – po cichu liczymy na pana premiera Tuska, ale rozumiemy, iż może mu się nie chcieć, zwłaszcza że może mieć pewne osobiście przykre wspomnienia sprzed 20 lat.

Niecierpliwimy się, iż czekamy na tę całą okołow wyborczą otoczkę, te wszystkie debaty, billboardy, slogany, pozwy w trybie wyborczym, pranie brudów, a jeszcze liczymy na zakulisowe

będzie opłacał. Chociaż to jest dekoracja siedziby partii, jak by nie było.
Dekoracja jak dekoracja...

Więc ty możesz się przemęczyć z fryzjerem.

Ale ja reprezentuję partię na zewnątrz! A do fryzjera i tak chodzę raz na półtora roku.

No widzisz. To cię nie zaboli. ☺☺
Łukasz Warzecha

PODSŁUCHANE

Dekoracja jak dekoracja...

Ryszard, przykro mi, nie będziesz już mógł płacić za fryzjera z partyjnych pieniędzy.

Jarku, ale dlaczego?

Musimy teraz oszczędzać praktycznie na wszystkim. Rozumiesz – subwencja.

Ciekaw jestem, czy innym też kazałeś się ograniczać.

Oczywiście. Ja będę kupował sam karmę dla kota na przykład. Marek obiecał, że farbę na te obrazy, co to je maluje do siedziby na Nowogrodzkiej, też sam

OD RZECZY

„W tym haśle »,„ j.... PiS«. Wulgaryzmem jest oczywiście nazwa PiS”.

TOMASZ LIS, publicysta, na portalu X



PIERWSZY HUSARZ DLA POLSKI

FOT. DEAN HARPER/LOCKHEED MARTIN

Husarz. Tak nazywa się zaprezentowany w ubiegłym tygodniu w Teksasie pierwszy wielozadaniowy myśliwiec F-35A Lightning II wyprodukowany przez koncern Lockheed Martin specjalnie dla Polski. W 2020 r. rząd w Warszawie zamówił 32 takie maszyny

za ok. 4,6 mld dol. Pierwszy tego typu myśliwiec ma przylecieć nad Wisłę w 2026 r. Dostawa całości zamówienia ma nastąpić do 2030 r. F-35 Husarz mają stacjonować w bazach w Łasku niedaleko Łodzi oraz w Świdwinie. *(jap)* ©©





Z Grzegorzem Braunem, prezesem
Konfederacji Korony Polskiej, posłem
Konfederacji do Parlamentu Europejskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

W twierdzy wroga





RYSZARD GROMADZKI: Czy obecność w Parlamencie Europejskim zmieniła pana postrzeganie tzw. projektu europejskiego i samej Unii Europejskiej?

GRZEGORZ BRAUN: Ani o jotę.

Utwierdzam się tylko w przekonaniu, że jest to nie tylko projekt jałowy, błędny i szkodliwy. Jest to po prostu projekt wrogi. To jest projekt, który instytucjonalnie walczy z niepodległymi państwami na kontynencie europejskim. Walczy z Polską. Zatem wyjazdy do Brukseli i w Strasburgu są dla mnie wizytami w twierdzy wroga, który z całą otwartością deklaruje swoje zamiary. Jeśli słuchał pan „mowy tronowej” Reichsführer von der Leyen, to mógł pan zauważyć, że opadły ostatnie maski. Nawiasem, odesłał naszych czytelników do lektury pożytecznej książki „Kiedy opadły maski” Philippe’a de Villiersa o nazistowskich korzeniach administracji eurokołchozowej. Wracając do przemówienia von der Leyen, pani komisarz z wielką butą podtrzymała wszystkie wrogi Polsce, Polakom i wolnym ludziom w Europie polityki. Zielone, tęczowe czy pakt migracyjny, a w ostatnich akapitach, nawiązując wprost do manifestu z Ventotene Altiero Spinello, w tonie rzecz jasna głęboko aprobatywnym. Nie na darmo nazwisko tego włoskiego komunisty widnieje na frontonie jednego z gmachów siedziby eurokołchozowej. Spinelli wykladał przecież kawę na łąwę. Głosił, że są dwa podstawowe narzędzia budowy „nowego wspaniałego świata”: po pierwsze, zniknięcie własności prywatnej, po drugie, zniknięcie narodów.

Jak zatrzymać ten walec? Jaki ma pan plan na swoją obecność w Brukseli?

Mojej obecności w Brukseli i Strasburgu nie przeceniamy oczywiście, ponieważ jest to jednocześnie organizacja dalece fasadowa. To są dekoracje filmowe, a może lepiej powiedzieć, jakiegoś ponurego sitcomu. To się dosłownie rzuca w oczy, ponieważ dni, w których Parlament Europejski przejeżdża gremialnie z Brukseli do Strasburga, kończą się pustoszeniem korytarzy, pozostają tylko sprzątacze i ariergarda administracji brukselskiej. Wygląda to – powołuję się tu na moje osobiste

FOT. ALEKSIEJ WITKOWSKI/EPJRM

doświadczenia – jak zwijanie planu filmowego, który główna ekipa już opuściła. Tak wygląda ostatni dzień posiedzenia, które akurat w tym roku trwało nie dłużej niż kwadrans. Więc przemożne wrażenie fikcyjności, fasadowości. Fasadowości głosowań, których część odbywa się wyłącznie pro forma; wywołane przez przewodniczącą posiedzenia punkty są kwitowane nawet nie naciśnięciem guzika, tylko ewentualnym podniesieniem dłoni przez obecnych, ale nikt tego jakoś drobniawo nie liczy.

Prawie sowieckie rytuały. Wszystko, co ma przejść, i tak przejdzie...

Pana porównanie jest krzywdzące dla moskiewskiego sowietu, bo tam towarzyszył Stalin i jego następcy

To się w jakiś sposób objawia w Brukseli?

Zostałem zareklamowany przez Politico jako czarny charakter, ale daje mi to też pewną swobodę działania niezależnego posła, który nie jest zobowiązany do wypełniania jakiegoś pensum i spłacania serwitutów na rzecz formacji szerszej. Z drugiej strony, jako poseł niezależny znalazłem się jednak w Komisji Spraw Zagranicznych europarlamentu jako jej stały członek i to będzie na pewno ciekawe. Odbyłem już wiele rozmów z podobnymi do mnie statusem outsiderami z różnych państw europejskich.

Dużo jest takich outsiderów w tej kadencji europarlamentu?

W tej kadencji mniej niż wcześniej. To kilkadziesiąt osób. Rozmawialiśmy o pewnych konkretnych projektach

Fakt, że w mediach, a także w gabinetach politycznych całkiem poważnie „chodzi” na giełdzie kandydatów na prezydenta ktoś taki jak Mateusz Morawiecki, to jest tragikomedia

zaprowadzili ostry reżim i porządek. Oni akurat wiedzieli, że głosy należy liczyć bardzo porządnie po to, żeby wytropić ewentualnych myślozbrodniarzy. Tutaj, może nie będę ciągnął dalej tej analogii, potwierdza się diagnoza Marksa, że nic w historii się nie powtarza jeden do jednego, ale, owszem, już jako farsa. Eurokołchoz jest farsą, a nie repliką Sowietów, tym niemniej zgadzam się, że analogia staje się ścisła i skrajnie niebezpieczna, kiedy okazuje się, że cele są w pełni tożsame – eliminacja własności i narodowości, a i ich śladem eliminacja marginesu wolności.

Zapytam o pana status w europarlamencie. W przeciwieństwie do swoich koleżanek i kolegów z Konfederacji nie przystąpił pan do żadnej frakcji czy grupy politycznej. Z jakiego powodu?

Cóż, można by powiedzieć, że żadna frakcja nie chciałaby przystąpić do mnie. Panie redaktorze, ja jestem persona non grata i tu w Warszawie, i tam w Brukseli. W sumie jest to nawet dość zabawne, bo groteska rodzi też efekt komiczny.

współdziałania, niekoniecznie instytucjonalnie zorganizowanego. Zobaczmy, co z tego wyjdzie. Na przykład o perspektywie podniesienia Korony Królestwa Polskiego. W Polsce szykujemy się już do obchodów tej wielkiej rocznicy.

To już za rok...

Tak. Za rok minie 1000 lat od koronacji Bolesława Chrobrego. Najprawdopodobniej w tym samym, 1025 r., także na skroniach jego syna Mieszka II spoczęła korona. Gnieźno 2025 to byłby dobry punkt w czasoprzestrzeni europejskiej, by rozmawiać o istotnych korzeniach cywilizacji na naszym kontynencie i żeby rozmawiać o tym, uwaga, co po Unii Europejskiej. To jest temat, który mnie nurtuje i na który najchętniej bym rozmawiał. Co po eurokołchozie? Trzeba przestać traktować Unię Europejską jako sytuację daną, zastaną i wiecznie obowiązującą.

Trudno być w tej sprawie optymistą. Przed ostatnimi wyborami do europarlamentu mówiło

się szeroko o konserwatywnym zwrocie w Europie, który miał zaowocować silniejszą reprezentacją ugrupowań suwerenistycznych w Parlamencie Europejskim, co pozwoliłoby zatrzymać najbardziej złowieszcze polityki dla państw narodowych. Wydaje się, że te nadzieje były mocno na wyrost.

Jak widać, komisarz von der Leyen poszła w zaparte, a wraz z nią wszystkie reżimy krajowe. Warszawa postępuje na tej liście nieubłaganego postępu. Czarownice i czarownicy z naszych ministerstw dalej wznoszą dumnie sztandary zielone, tęczowe, różowe i jakie tam jeszcze. Komuna i eurokomuna trzepocą na maszcie flagowym. Dodajmy do tego politykę wojenną, a więc i flagę ukraińską. Wygląda na to, że Polska będzie po raz kolejny oślaniać odwrót jakiejś „wielkiej armii” spod Moskwy, bo już w salonach dyplomatycznych na co dzień mówi się o wygaszeniu konfliktu ukraińskiego. Ale Warszawa angażuje się w eskalację. W eskalację angażuje się też pani von der Leyen. Parlament eurokołchozowy pierwszego dnia swojej nowej kadencji przyjął uchwałę potępiającą Viktora Orbána za jego inicjatywy dyplomatyczne.

Wracając do pańskiego pytania o moją osobistą obecność w Brukseli, skorzystam z okazji, żeby zaznaczyć, że w ramach tej sitcomowej fikcyjności całej procedury samo zabranie głosu w wysokiej strasburskiej izbie jest problematyczne. Można się zgłosić do głosu w każdym punkcie harmonogramu, co już spraktykowałem, i ani razu tego głosu nie uzyskać.

To sekowanie przeprowadza przewodnicząca obrad?

Całkowicie arbitralnie decyduje, komu głosu udzielić, a komu nie. Nie ma na to żadnych procedur. Po prostu nie udzielimy panu głosu i co nam pan zrobi? To zaznaczam, aby przed szanowną redakcją i ewentualną zainteresowaną publicznością z tego się niejako wyliczyć, żeby nikt nie sądził, że zaspiałem czy w porę się nie zgłosiłem. Nic podobnego. Po prostu tak to działa. Więc to rozumiejąc, trzeba rozumieć też, że główna akcja, bo pytał pan o remedia, o leninowską frazę „co robić?”, toczy się u nas, tu w Polsce. Tu jestem i kiedy rozmawiamy, przecież nie zdalnie,

z Belgii czy z Francji, jestem tutaj, w kraju, ponieważ tutaj toczy się akcja. I tak zostanie. Działania na rzecz Polski tam należy traktować wyłącznie jako akcesoryjne.

Nie należy abdykować z udziału w polityce warszawskiej, w błędnym mniemaniu, że tam na wyższych piętrach eurokołchozowej wieży Babel więcej możemy ugrać i wytargować. Tak nie było i tak nie będzie. Kiedy używam porównania do wieży Babel, to notabene pan wie, że ono się wprost nasuwa dlatego, że główny budynek europarlamentu w Strasburgu, zwany przez niektórych „wiadrem”, wprost ewokuje to skojarzenie. Kształt architektoniczny, z rozmysłem, z pozoru niedokończonej konstrukcji, to właśnie jest wieża Babel. Widzimy więc, z kim chce walczyć, komu rzuca wyzwanie eurokołchoz. To jest walka z naszą cywilizacją i oczywiście ustanowienie pewnego świeckiego kultu demokracji, ekologizmu itp. I to jest, wracam do mojego stwierdzenia, wroga organizacja, bo tych wszystkich kultów nie da się uzgodnić z polskim standardem cywilizacyjnym. Nie da się tego uzgodnić z niepodległością i suwerennością.

Niektórzy jeszcze chcą się łudzić, że można tu szukać jakiegoś kompromisu. Ja stwierdzam, że polexit jest jedyną racjonalną opcją dla polskiego patrioty, który nie chce znaleźć się na manowcach jakiejś Realpolitik, w najlepszym wypadku mikołajczykowskiej czy gomułkowskiej względem Moskwy czy aliantów zachodnich. Jeżeli stoimy na gruncie niepodległości państwa i suwerenności narodu wolnych Polaków, to eurokołchoz musi odejść w przeszłość. Dlatego rozmawiajmy o tym, co po eurokołchozie, bo chociaż słusznie pan konstatuje, że reżim brukselski stara się sprawiać wrażenie, że się umacnia, ekspanduje, to my w naszym pokoleniu pamiętamy przecież czasy, kiedy retoryka była podobna. Jeszcze w latach 70., a nawet 80. niektórzy sądzili, że Związek Sowiecki jest wiecznie żywy, z wiecznie żywym Leninem w moskiewskim mauzoleum. Byli przekonani, że trzeba się nauczyć z tym diabelstwem po wieczne czasy żyć, układać. Otóż nie trzeba i nie należy. Powtarzam: eurokołchoz wypowiedział nam wojnę. Mowa inaugurująca drugą kadencję von der Leyen to była mowa wojenna. To był akt wypowiedzenia

wojny wolnym narodom europejskim. Wypowiedzenia wojny normalności i zdrowemu rozsądkowi, kulturze i cywilizacji. Oczywiście ta polityka jest realizowana długofalowo, od zawsze. Siegając chociażby Spinellogo czy innych eurokomuchów i euronazioli.

Ta polityka jest kreowana bardziej w Berlinie niż w Brukseli? To Niemcy są jej centrum decyzyjnym?

Na to pytanie niektórzy niemieccy państwownicy wzruszyliby z irytacją ramionami i zaczęli szeroko opowiadać o tym, jak państwo niemieckie, w ich odczuciu, uległo wrogiemu przejęciu, z jednej strony przez sojuszników okupantów, a z drugiej przez mafie, służby i łoże także stojące za projektem eurokołchozowym. Użyłem wcześniej celowo określenia „euronaziolo”, odwołując się po raz kolejny do książki Philippe’a de Villiersa, znakomitego autora, zresztą polityka i posła do europarlamentu, który pisze, jak poprzednik pani von der Leyen, Hallstein, jeden z najlepszych prawników reżimu Hitlera, budował Unię Europejską. Kiedy mówiłem o tym parę razy w Sejmie, ci patrioci eurokołchozu pełniący tam obowiązki marszałków czy wicemarszałków zdążyli się żachnąć i nawet sięgali do guzika, żeby wyłączyć mi mikrofon. Eurokomuna jest dzieckiem stalinizmu i nazizmu pospołu. W tym nie ma żadnej publicystycznej przesady. I jeżeli ktoś sądzi, że można zachować państwo polskie jako państwo poważne, a nie jakiś kurczący się rezerwat dla Polaków, którzy staną się mniejszością we własnym kraju, jeśli pakt migracyjny zostanie wyegzekwowany, jednocześnie płacąc serwituty w postaci Zielonego Ładu, zachować Polskę, jednocześnie akceptując dogmaty antysemityzmu i homofobii, to w najlepszym wypadku się myli, a w najgorszym oszukuje samego siebie.

Powiedział pan, że główna akcja toczy się tutaj, w Polsce, nie w Brukseli. Za niespełna rok czekają nas wybory prezydenckie. Rada Liderów Konfederacji wskazała Sławomira Mentzena jako kandydata Konfederacji w wyborach prezydenckich. To trafny wybór?

Bądźmy precyzyjni, panie redaktorze. Większość w Radzie Liderów podjęła uchwałę w tej sprawie.

No właśnie. Pan był przeciw?

Ja byłem zawsze za korzystaniem ze statutowych procedur i ciał statutowych. Opowiadałem się za stosowaniem procedury prawyborczej, która została przecież z wielkim powodzeniem przetestowana przez nas na przełomie lat 2019 i 2020. No i, a może przede wszystkim, opowiadałem się za zwołaniem statutowego kongresu Konfederacji i w tej sprawie zdania nie zmieniłem. Kwestie personalne nie są być może tak kluczowe, jak kwestie formalne i proceduralne. Zawsze z żalem obserwuję zaniedbywanie form i procedur.

To symptom pęknięcia w Konfederacji? Wasze drogi się rozchodzą?

Panie redaktorze, na pewno to by się panu przydało na jakiś dobry, sensacyjny co najmniej podtytuł tego wywiadu, ale niestety, muszę rozczarować, nie dostarczę takiego kontentu. Przede wszystkim to, co dzieje się na posiedzeniach Rady Liderów, zostaje na Radzie Liderów.

Wróćmy do sprawy przyszłorocznych wyborów prezydenckich. Czy Konfederacja, pana środowisko polityczne, gotowa jest poprzeć wspólnego kandydata obozu, nazwijmy to umownie, patriotycznego, jeśli dojdzie do drugiej tury wyborów i stanie on naprzeciw kandydata obecnie rządzącej koalicji?

Panie redaktorze, stanowczo za rzadko mieliśmy okazję rozmawiać w ciągu ostatnich ośmiu lat, dlatego nie miałem okazji, żeby na bieżąco recenzować poczynania mniemanego obozu „patriotycznego” całej tej Zjednoczonej Łże-Prawicy, cóż, co było, to było. Dzisiaj mogę tylko z żalem skonstatować brak jakiegokolwiek autorefleksji z tamtej strony. Fakt, że w mediach, a także w gabinetach politycznych całkiem poważnie „chodzi” na giełdzie kandydatów na prezydenta ktoś taki jak Mateusz Morawiecki, to jest tragikomedias. Mateusz Morawiecki, podżegacz wojenny i zbrodniarz covidowy – w trybie dosłownym, nie w trybie jakiejś inwektywy publicystycznej czy licencji poetyckiej. Człowiek, który swoimi działaniami i zaniechaniami razem ze swoim reżimem, razem z „wielkim szpitalnikiem” Dworczykiem,

z ministrami Szumowskim i Niedzielskim, wyprawił na tamten świat, prawdopodobnie ok. ćwierci miliona Polaków. To więcej niż Jaruzelski z Kiszczakiem, ba, to chyba nawet więcej niż Bierut z Bermanem. W związku z tym wywijanie dalej biało-czerwoną flagą i pieczętowanie przecież tej nieodległej przeszłości orłem w koronie, uzurpowanie sobie roli wiodącej formacji patriotycznej, to jest, powiedziałbym, ciut nadto jak na mój żołądek.

Krótko mówiąc, wspólny kandydat prawicy w wyborach prezydenckich to abstrakcja?

W tym cały jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz. Przeprowadźcie, na miłość boską, jakąś „destalinizację”, „denazyfikację” PiS i wtedy rozmawiamy.

Porozmawiamy o innych wyborach, które skupiają dziś uwagę świata. Czy jeśli wybory prezydenckie w USA 5 listopada wygra Donald Trump, to będzie to dobra wiadomość dla Polski, dla wolności i normalności na świecie?

Nie chciałbym wyjść na jakiegoś skrajnego cynika, ale niestety to jest „jeden pies”. Oczywiście nie życzę ani Ameryce, ani światu zwycięstwa tej kamaryli, która stoi za panią Harris. Ale z naszej polskiej perspektywy naprawdę warto pamiętać, że to za prezydentury Donalda Trumpa przeszedł akt 447. Jeżeli coś się zmieni

te konflikty zostaną wygaszone również na nasz koszt, ponieważ Amerykanie przerzucą wszystkie aktywa na Morze Południowochińskie i na swój zasadniczy konflikt z Chińczykami. My natomiast będziemy dalej przyprawiani o zyski utracone z tego powodu, że nie możemy swobodnie prowadzić wymiany gospodarczej, nie możemy po prostu robić dobrych interesów na kierunkach, które zostały surowo zakazane przez Waszyngton, co lojalnie wykonują amerykańscy agenci w Warszawie. Znowu odwołam się do analogii. Pamiętamy przecież czasy, w których Polska nie mogła rozwinąć skrzydeł, nie mogła realizować własnych projektów gospodarczych, także technicznych, rozwojowych projektów, ponieważ nie przewidywały ich plany Układu Warszawskiego i reguły gry panujące w RWPG. Niektórzy się jeszcze ciągle na to zachną, ale analogia jest bardzo daleko posunięta. Ludzie pytają o eurokołchoz i NATO. Jaka jest alternatywa? No, trzeba uparcie powtarzać, że alternatywą jest niepodległość.

Mówi pan: alternatywą jest niepodległość... Jak kraj taki jak Polska, rozgrywany przez obce potęgi, może wybić się na rzeczywistą niepodległość w toczącej się wokół wojnie światowej? Czy pana nowy film „Gietrzwałd 1877. Wojna światów” dotyczy tych fundamentalnych dylematów?

talny film wojenny. Jego akcja toczy się w gabinetach dyplomatycznych, sztabach armii imperialnych i nawet w kantorach bankowych niektóre wątki się snują. A objawienia gietrzwałdzkie są punktem ogniskującym pasjonującą akcję polityczną i wojenną tamtego roku.

Po co ten film i dlaczego? No po pierwsze, dlatego że historia jest zawsze ciekawa, a szczególnie historia przemilczana czy niezauważona domaga się tego, żeby ją opowiadać. Analogie do współczesności nasuwają się same i mam nadzieję, że udzieli się także szanowanej redakcji to poczucie, że wprawdzie mowa o zdarzeniach sprzed prawie 150 lat, ale brzmi to prawie jak z dzisiejszej gazety. To jest film o niedoszłej wojnie światowej, o niedoszłym powstaniu w Polsce. Film o tym, jak wielka gra mocarstw utylizuje pionki, małe z perspektywy imperialistów, mniej wartościowe narody. W roku 1877 toczy się wojna na Bałkanach, Moskale walczą z Turkami w Bułgarii. Notabene to jest ta wojna, z której wraca Stach Wokulski do sklepu przy Krakowskim Przedmieściu. Ale polski inteligent albo polski historyograf niewiele więcej albo zgoła nic na ten temat nie wiedzą. Tego, jak blisko były wówczas świat, Europa, Polska eskalacji tego konfliktu regionalnego do poziomu konfliktu globalnego. Takiej pierwszej wojny światowej, tylko 40 lat wcześniej. Podpałką w tej eskalacji, kartą do rzuconia...

Miała być kolejna polska insurekcja...

Mieli być właśnie Polacy. To jest wprawdzie gdzieś tam opisane. Przedwojenna monografia ks. Adama Sapiehy, autorstwa Stefana Kieniewicz, w pewnych szczegółach, nawet pikantnych, to relacjonuje, ale nie ma zintegrowanej monografii tego roku. Mam nadzieję, że mój film zaciekawi na tyle, żeby może nawet zainspirować do dalszych pogłębionych badań, może do wytężonej kwerendy. Jestem pewien, że ta kwerenda prowadzona w archiwach stolic europejskich przyniosłaby owoce, i bardzo na to czekam. Na razie dzielę się tym, co sam znalazłem, co sam odkryłem. Moją nadzieją i największym marzeniem jest przyczynić się tym filmem do godnego przygotowania obchodów 150. rocznicy objawień w Gietrzwałdzie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO

Jeżeli coś się zmieni po zmianie lokatora Białego Domu, to tak czy inaczej my, Polacy, musimy się bardzo mocno trzymać.

My, Polacy, odczuwamy po raz kolejny bardzo boleśnie konsekwencje „zespawania” polskiej racji stanu na sztywno z imperialną amerykańską racją stanu

po zmianie lokatora Białego Domu, to tak czy inaczej my, Polacy, musimy się bardzo mocno trzymać. My, Polacy, odczuwamy po raz kolejny bardzo boleśnie konsekwencje „zespawania” polskiej racji stanu na sztywno z imperialną amerykańską racją stanu, dlatego że albo będziemy nadal postępować przypięci do tego rydwanu jako żyrcanci, np. żydowskiego ludobójstwa w Palestynie, jako żyrcanci eskalacji wojennej w Europie Środkowej, jako grubi płatnicy amerykańskiej wojny ukraińskiej z Moskalami, albo też

Dziękuję, że pan o to pyta. Po sześciu latach wspólnie z Włodzimierzem Skalikiem, producentem, dziś posłem na Sejm Rzeczypospolitej, sfinalizowaliśmy pracę nad tym projektem. Lepiej późno niż wcale i nie ma tego złego, bo gdybyśmy wcześniej zamknęli montaż, to pewne istotne fakty, które przyniosła kwerenda historyczna, nie trafiłyby do tego filmu. O czym film opowiada? O kontekście geostrategicznym objawień gietrzwałdzkich roku 1877. To jest, chciałbym to podkreślić, dokumen-

MIŁOSZ KŁECZEK
W RUCHU

PREMIERA

w każdy poniedziałek
na kanale



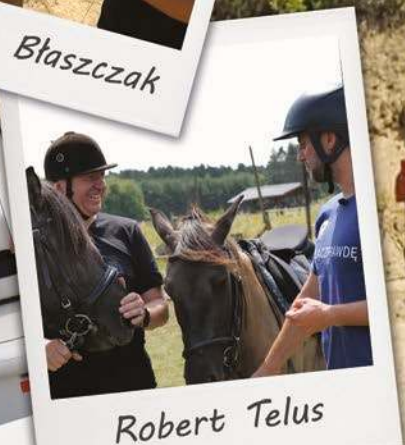
@Telewizja_Republika



Mariusz Błaszczak



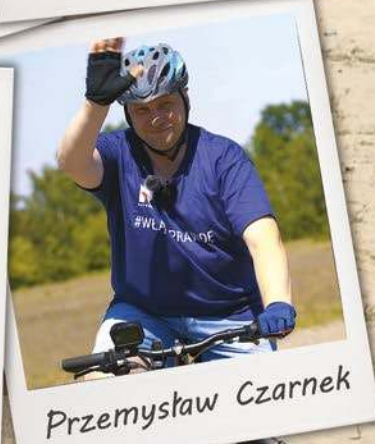
Małgorzata
Wassermann



Robert Telus



Patryk Jaki



Przemysław Czarnek

Poszukiwany, poszukiwani



Piotr Semka

W PiS zajęci są wyborem kandydata na prezydenta, ale po cichu wielu przyznaje, że brak wiedzy o tym, kto wystartuje z Platformy, może pod koniec roku wywrócić wszelkie rachuby do góry nogami. Na razie wydaje się, że w wyścigu do nominacji na czoło zaczyna wysuwać się Karol Nawrocki



FOT. WOLFGANG OLSZAK/FAST NEWS

Jarosław Kaczyński jest w swoim żywiole. Umiejętnie dozjuje informacje o procedurze wyboru kandydata prezydenckiego PiS. Wypowiadając się dla Radia Maryja, nakreślał cechy kandydata idealnego: „Młody, wysoki, okazały, przystojny. Wyborcy te wybory wizerunkowe stawiają wysoko. Musi też mieć rodzinę, musi też znać bardzo dobrze język angielski”.

Lider PiS chętnie wychodzi w ulubioną aurę tajemniczości. Wyjaśnia, że listę potencjalnych kandydatów ma w głowie i jest ona coraz krótsza. „Dysponujemy badaniami, które wskazują, jaki powinien być przyszły prezydent. Uważam, że w naszym środowisku jest wiele osób, które świetnie pełniłyby tę funkcję, ale najpierw trzeba te wybory wygrać” – powiedział Kaczyński.

Zatem wiemy już, że kandydatem nie będzie kobieta (bo czasy wojenne), musi być on obyty międzynarodowo i „być człowiekiem, dla którego świat nie jest czymś obcym, który był na konferencjach, wykładach”. W grę wchodzi więc głównie młodszy kandydaci.

Mateusz Morawiecki został dyskretnie odsunięty na drugi plan. „To byłoby skrajnie nierozsądne, aby nie umieścić Mateusza Morawieckiego na liście kandydatów na prezydenta” – powiedział Kaczyński, ale jednocześnie zaznaczał, że były premier nie jest idealnym kandydatem z perspektywy zwycięstwa. „On jest wyjątkowo zdolny i go cenię, ale chodzi o to, że chcemy postawić na kogoś, kto ma realną szansę wygrać”. Kogo? Tego już lider PiS nie ujawnił.

Tymczasem Mateusz Morawiecki bardzo dba o to, by nie wypaść na kogoś, kto stracił nadzieję na nominację prezydencką. Niedawno dość nonszalancko zaznaczył, że sam jeszcze nie podjął decyzji w tej sprawie.

WSZYSTKO NIEJASNE

W całej procedurze wyłaniania kandydata niejasne jest prawie wszystko. Nie wiadomo nawet, jaki jest skład komisji, która przepytuje kandydatów na kandydata. Jedynie PAP pokusiła się o próbę określenia, kto jest wśród egzaminatorów, i wymieniła oprócz prezesa PiS – szefa klubu PiS Mariusza Błaszczaka, byłą marszałek Sejmu Elżbietę Witek, byłego szefa MSZ Zbigniewa Raua

i sekretarza generalnego partii Piotra Miłowańskiego. Jednak i te nazwiska są niepewne. Ustalić jakichkolwiek szczegółów nie sposób, bo nikt nie chce się chwalić tym, że nie zaproszono go do decydującego gremium.

Jeżeli wymieniony przez PAP skład byłby prawdziwy, to zwraca uwagę to, że brak kogoś, kto ma wycucie medialne. Kiedyś taką rolę odgrywał u boku Kaczyńskiego Adam Bielan. Jak się zdaje, dziś w przesłuchaniach nie uczestniczy. Innym politykiem, który miałby „dobrego nosa” do oceny przebojowości kandydata, mógłby być Przemysław Czarnek. On sam bywa jednak niekiedy wymieniany jako „kandydat rezerwowy”.

Tak czy inaczej, mimo siłujących się na spokój deklaracji prezesa wszyscy w partii wiedzą, że walka o prezydenturę to dla PiS „być albo nie być”. W rozmowach z politykami tej partii daje się wyczuć przekonanie, że wraz ze zdobyciem prezydentury Platforma wprowadzi autorytarny system sprawowania władzy, który zadba o to, by obecna opozycja nie zagroziła koalicjantom przynajmniej na dekadę. – Dla nas to naprawdę jest „bój nasz ostatni” – żartuje jeden z polityków PiS.

KRYPTONIM BBN

Bogucki, Bocheński, Nawrocki – te trzy nazwiska powtarzają się w nielicznych przeciekach z procedury wyłaniania kandydata prezydenckiego. Dwóch byłych wojewodów oraz były dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku i zarazem obecny szef IPN.

Przyłóżmy do nich kryteria wyboru zarysowane przez Jarosława Kaczyńskiego we wspomnianym już wywiadzie dla Radia Maryja. Wszystkich trzech można określić jako stosunkowo młodych, okazałych i przystojnych. Najbardziej młody nie zdaje się wyglądać Karol Nawrocki.

Wszyscy mieszczą się w standardzie „40-latką”. Najmłodszym z tej trójki jest Tobiasz Bocheński, który ma 38 lat. Trzy lata starszy od niego jest Zdzisław Bogucki, a Karol Nawrocki ma 47 lat.

Wszyscy trzej są żonaci. Nawrocki i Bogucki doczekali się już potomstwa, a Bocheński, żonaty od 2020 r., jeszcze nie. Wszyscy trzej należą już do generacji, która nie ma problemów z angielszczyzną. Najwięcej kontaktów zagranicznych miał, jak się zdaje, Nawrocki, który

jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej wielokrotnie odbywał podróże do placówek na całym świecie zajmujących się ostatnią wojną – od amerykańskiego Nowego Orleanu do chińskiego Nankinu.

Jak oceniają tę trójkę kandydatów politycy PiS? Pierwszy polityk, którego pytam, wskazuje wyraźnie na Nawrockiego. – Ma najwięcej cech fightera – mówi. – Potrafił bardzo ostro bronić muzeum w Gdańsku, które było obiektem wściekłych ataków lokalnych platformersów. W największym stopniu kojarzy się z kimś, kto potrafi nawiązać kontakt z tłumem ludzi, kto ma ten dar, który Amerykanie nazywają zdolnością wskoczenia na beczkę i przyciągnięcia uwagi zebranych. Pod tym względem Nawrocki przypomina mi Andrzeja Dudę, który potrafił świetnie dogadać się z salą na wiecach w kampaniach w latach 2015 i 2020.

Kolejny polityk kręci nosem na kandydaturę Nawrockiego. – Jak na mój gust jest w nim za dużo czegoś, co można nazwać kibolskością – uważa. – Owszem, daje mu to szansę na pozyskanie elektoratu Konfederacji, który będzie bezcenny szczególnie w drugiej turze, ale odpycha od niego część kobiet i inteligencji. Tutaj znacznie bardziej uniwersalny jest Bocheński, który ma w sobie pewną elegancję.

I wreszcie trzecia, niezwykle trafna opinia: – Nawrocki, który był bokserem i kibicem Lechii, jest wiarygodny dla kłuczowej grupy wyborców – młodych mężczyzn o prawicowych poglądach, którzy w wyborach do Sejmu i europarlamentu wzmacniali pozycję Konfederacji. Może podobać się kobietom. Nie wypowiadał się dotąd w wielu sprawach, takich jak aborcja czy polityka socjalna, i to daje mu pewne pole manewru.

– Potrzebujemy kogoś, kto sprostą fizycznie i zdrowotnie trudom wielu miesięcy kampanii w rozjazdach po całej Polsce – mówi z kolei doświadczony poseł PiS. Znowu nie pada nazwisko, ale wychodzi na to, że największe szanse w wyścigu ma Nawrocki.

Najbardziej słyszę w tych ocenach pozytywne oceny trzeciego kandydata, byłego wojewody szczecińskiego Zbigniewa Boguckiego. – Przypomina bardziej prawnika czy solidnego urzędnika państwowego niż kogoś, kto potrafi rozhuścić tłum – wskazuje jeden z posłów PiS.

Od dziennikarzy z prawej strony w Szczecinie słyszę, że Bogucki, wówczas jako wojewoda szczeciński, nie zrobił na nich najlepszego wrażenia, gdy wybuchła awantura wokół nagonki miejscowych mediów na Tomasza Duklanowskiego z racji ujawnienia przez niego faktu molestowania seksualnego syna posłanki Doroty Filiks. Według tych relacji Bogucki wówczas był zdania, że Duklanowski jako wiceszef Radia Szczecin jest problemem, i przychylić się miał do propozycji szefa radia, aby go zwolnić. Dla tych, dla których było jasne, że Duklanowski jest znienawidzony przez Platformę za ujawnienie kontrowersji wokół polityków PO Stanisława Gawłowskiego i Tomasza Grodzkiego, było to niemiłe zaskoczenie.

KTO DA RADĘ?

Wobec wszystkich trzech kandydatów wisi w powietrzu pytanie: Jaki jest margines pewności, że któryś z nich da sobie radę w wypadku agresywnej wymiany ciosów z kandydatem PO w debacie na żywo?

Tu najlepiej zdaje się zapowiadać Karol Nawrocki, który bronił jak lew najpierw Muzeum II Wojny, a potem IPN przed atakami polityków PO. Tobiaszowi Bocheńskiemu wypomina się, że w kampanii o prezydenturę Warszawy nie zadał żadnego celnego ciosu walczącemu o reelekcję Rafałowi Trzaskowskiemu. Z kolei pewną słabością Nawrockiego może być to, że nigdy nie działał w strukturach PiS. Wszelako w kampanii może to się okazać atutem. – Zastanawiam się, czy Jarosław Kaczyński jest gotowy postawić na kogoś, kto nigdy nie był w strukturach jego partii – mówi „Do Rzeczy” jeden z polityków PiS. – Jeśli Jarek zdecydowałby się na Nawrockiego, to pokazałby, że potrafi wznieść się ponad czystą pragmatykę partyjną – uważa.

Inny polityk PiS dodaje: – Złudzeniem jest przekonanie, że jak wystawimy Boguckiego czy Bocheńskiego, to unikniemy ataków Platformy wiążących ich z okresem ośmiu lat sprawowania władzy przez PiS. Psy gończe Tuska przewrócą do góry nogami wszystkie dokumenty w urzędach wojewódzkich w Szczecinie i Łodzi, gdzie sprawowali swoje urzędy Bocheński i Bogucki, i nadmuchają afery z najmniejszej bzdury. To samo będzie z dokumentacją Muzeum II Wojny Światowej w wypadku Nawrockiego.

Bocheński, Bogucki, Nawrocki to kandydaci mało rozpoznawalni. PiS nie może zwlekać z ogłoszeniem kandydata na prezydenta

Są wreszcie i tacy, którzy przestrzegają, by na razie nie przywiązywać większej wagi do wypowiedzi prezesa PiS. – Kaczyński lubi wypuszczać kolejne balony próbne i sprawdzać, jak reagują na to ci w partii, którzy są według niego ważni – mówi jeden z najdłuższych stażem polityków tej partii. – Przynajmniej jeszcze przez dwa miesiące będzie to teatr cieni. Kaczyński zadeklarował, że kandydata ogłosi 11 listopada, ale zawsze może znaleźć jakiś pretekst, by tę decyzję przełożyć – zaznacza.

Tu dochodzimy do bardzo poważnego problemu PiS-owców. Donald Tusk już zapowiedział, że ostatecznego kandydata ogłosi tuż przed Bożym Narodzeniem. Czy PiS ma czekać aż tak długo? Z jednej strony to, z kim zmierzy się kandydat obecnej opozycji, jest ważne w mierzniu szans na jego zwycięstwo. Z drugiej strony, jeśli Kaczyński realnie myśli o kimś z trójki Bocheński, Bogucki, Nawrocki, to trzeba pamiętać, że są to kandydaci stosunkowo mało rozpoznawalni. A skoro tak, to nie można marnować cennych miesięcy na zwlekanie z ogłoszeniem kandydata PiS.

ZMIANY, ZMIANY, ZMIANY

We wrześniu ma się odbyć odwołany już parokrotnie kongres PiS. W połowie sierpnia Jacek Sasin, członek Komitetu Politycznego partii, zapowiedział, że na kongresie zapadną zmiany w statucie ugrupowania, które mogą stworzyć nową strukturę zarządzania z większym udziałem młodszych polityków. W mediach pojawiły się informacje, że nad nowym statutem pracuje zespół złożony z kilku polityków PiS.

Jak miałyby wyglądać zmiany? Z bardzo oszczędnych wypowiedzi ważnych polityków partii wynika, że część zasłużonych, ale już mających swoje lata liderów przesunięto by do „rady patronackiej”. Byłaby to okazja do odsunięcia na dalszy plan takich postaci jak Antoni Macie-

rewicz, Beata Szydło, Ryszard Terlecki, Stanisław Karczewski, a być może i była marszałek Elżbieta Witek. Czołowymi postaciami zarządu operacyjnego mieliby zostać Mariusz Błaszczak, którego zastępcą mógłby być Przemysław Czarnek. Do zarządu trafiłaby pewna pula działaczy młodszej generacji. Pytany niedawno o ewentualne następstwo na stanowisku szefa partii Kaczyński wspominał właśnie o Mariuszu Błaszczaku.

Gdzie w tej nowej konstrukcji wpływów byłoby miejsce dla Mateusza Morawieckiego? Wymienienie nazwiska Błaszczaka przez Jarosława Kaczyńskiego część polityków PiS odebrała jako swoiste zablokowanie ambicji byłego premiera. Jednocześnie Kaczyński podkreśla, że Morawiecki to wciąż bardzo dobry kandydat do podjęcia na nowo funkcji szefa rządu. Mówił też bardzo wyraźnie, że z partii byłego premiera na pewno nie usunie.

Niezależnie od wyników kongresu (typuje się, że odbędzie się 29 września) wśród młodszej generacji polityków narasta niepokój. Uważają, że okryta tajemnicą procedura wyłaniania kandydata prezydenckiego paraliżuje partię.

Platforma popełniła w ostatnim czasie mnóstwo błędów, a my zbyt słabo potrafimy je punktować – mówi jeden z nich. – Jesteśmy specjalistami w tyradach oburzenia, jak było to niedawno po wyjściu na jaw, że na kampusie w Olsztynie puszczano nienawistny hit „J...ć PiS”. Ustały demonstracje protestujące przeciwko łamaniu prawa przez Tuska, które tak dobrze sprawdzały się na początku roku. Nie bardzo wiadomo też, kto ma być liderem punktowania PO za niespełnianie obietnic i pchanie kraju w kierunku liberalnej półdyktatury – wylicza.

Nic nie wskazuje na to, by festiwal domysłów wokół wyznaczenia kandydata prezydenckiego PiS miał się szybko zakończyć. A partia skupiona na samej sobie będzie siłą rzeczy mniej skuteczna w politycznym boksie z Platformą. Na dodatek jeśli sprawdzą się czarne przepowiednie, że PKW odetnie większość środków na kampanię prezydencką PiS, to główna partia opozycyjna będzie miała jeszcze bardziej pod górkę. Wybory prezydenckie wymagają bowiem dużych nakładów. Tusk je będzie miał na pewno.

© All rights reserved

Autor ostrzega i od razu przeprasza, że niniejszy artykuł zawiera wulgarne słowa i treści drastyczne. Nie chodzi o epatowanie czytelnika przejawami zbydlęcenia tzw. elit, związanych z rządzącą koalicją. Po prostu nie ma takich kropek, żeby dało się wykropkować obecną kondycję formacji, której poziom u zarania wyznaczali ludzie tacy jak prof. Geremek, red. Turowicz i ks. Tischner.

Komiks, w którym cała akcja polega na polowaniu na polityków, dziennikarzy i inne znane osoby kojarzące się z prawicą, ich upokarzaniu i mordowaniu strzałem w głowę – dopiero niedawno media zauważyły, że coś takiego jest w Polsce wydawane i zupełnie legalnie sprzedawane. Tymczasem wspomniane dzieło niejakiego Ryszarda Dąbrowskiego wychodzi już od bodaj kilkunastu lat i doczekało się wielu tomów.

Akcja każdego z nich jest zawsze taka sama: tytułowy bohater, „likwidator”, dopada kolejną ofiarę, zmusza ją z przyłożonym do głowy pistoletem do upokarzających samokrytyk, czasem sam uzupełnia je własnym umoralniającym kazaniem, a potem ściąga spust i autor napawa się możliwością narysowania krwawych bryzgów i zmasakrowanego oblicza kolejnej zniechęconej osoby publicznej. Nie jestem w stanie wymienić wszystkich, których w ten sposób zamordował pan Dąbrowski „in effigie”, ale na pewno byli wśród nich Jarosław Kaczyński, Antoni Macierewicz, prawicowi premierzy i ministrowie, generałowie polskiej armii, biskupi i księża, prawicowi dziennikarze, a także postaci symbolizujące takie przejawy „faszyzmu” i „niszczenia planety”, jak bankierzy, „negacjoniści klimatyczni”, przeciwnicy aborcji na życzenie, producenci samochodów etc. Tak komiksowy superbohater czyści świat z „faszystów”, kleru, kapitalistów i innych ludzkich śmieci.

STANOWSKI, KONFEDERACJA I „DO RZECZY”

W ostatnim, właśnie wydanym zeszycie serii rozstrzelani przez likwidatora zostają Krzysztof Stanowski oraz liderzy Konfederacji. Autor zaszczylił swą uwagę także nasz tygodnik, jako kolejne cele wskazując Piotra Zychowicza za to, że współpracuje z „faszystą” Pawłem Lisickim. Zarazem twórczość Dąbrowskiego, dotąd istniejąca jedynie w niszowym obiegu skrajnie lewicowych „zinów” oraz portali, doczekała się swoich „pięciu minut sławy”. Oczywiście jako zjawisko polityczno-propagandowe, bo sama

Sfrustrowani zwycięzcy



Rafał A. Ziemkiewicz

W przypadku zarówno wulgarного hymnu Cypisa wymierzonego w PiS, jak i okropnego komiksu uśmiercającego konserwatystów mamy do czynienia z wejściem do głównego nurtu mediów czegoś, co wcześniej stanowiło margines. Zza tego wyziera strach rządzących elit

w sobie rzecz jest żenująca, ogląda się ją z poczuciem zawstyżenia, że się w ogóle coś tak głupiego wzięło do ręki, i jako taka zaciekać może chyba tylko psychiatrę – komu się zechce poszukać w Internecie, zobaczy, że autorem wszystkich tych krwawych i ewidentnie kompensacyjnych rojeń jest człowiek, który w realnym starciu z jakimś „faszystą” – nawet niekoniecznie o posturze Sławomira Jastrzębowskiiego, wystarczyłoby, żeby „buuu!” zrobił na niego Agaton Koziński – doznałby ataku paniki albo incydentu jeszcze bardziej hańbiącego.

Problem w tym, że to, co dla zaburzonego czytelnika może stanowić wskazówkę i wezwanie do „czynu”.

Fakt, że komiks, od wielu lat, jako się rzekło, błądzący po marginesach obiegu wydawniczego, został dostrzeżony właśnie teraz, wydaje się nieprzypadkowy. Podobnie jak bardziej jeszcze oburzający fakt, że dyszące nienawiścią do świata brednie znalazły w medialnym mainstreamie swoich obrońców, szermujących ar-

gumentem wprowadzonym do dyskursu publicznego przez wiceministra sprawiedliwości Krzysztofa Śmiszka: że artyście wolno, bo jego nienawiść jest „częścią dziedzictwa kulturowego”.

Przypomnijmy, że Śmiszek bronił w ten sposób incydentu na Campusie Polska, gromadzącym młodych zwolenników PO i Lewicy (w „niepolityczność” i „niepartijność” tej imprezy, o której oficjalnie zapewniają organizatorzy, nie wierzą chyba nawet oni sami). Zebrana młodzież bawiła się przy przeboju niejakiego Cypisa „JBĆ PiS”, chóralnie wykonując refren i poszczególne zwrotki, z takimi charakterystycznymi frazami jak „nigdy ust nam nie zamkniecie, jebać was pisowskie śmiecie”, „to jest wojna, wypierdalać z tego kraju, bando bogobojna”, „cała Polska śpiewa dziś – jebać PiS!” itd.

DUCHOWE POTRZEBY ELEKTORATU TUSKA

Artysta Cypis, podobnie jak Dąbrowski, poza tym jednym „przebojem”, trafiającym w duchowe i metafizyczne potrzeby

■ młodego elektoratu Tuska i Lewicy, również cieszył się dotąd popularnością raczej niszową, przy czym jego grupą docelową wydają się kręgi dresiarzy, żuli i szeroko rozumiany margines społeczny; można je nazwać rodzimą, prowincjonalną odmianą muzyki „gangsta”, na Zachodzie adresowanej do ulicznych band kontrolujących kolorowe getta.

Wylansowane przez Cypisa przeboje praktycznie nie nadają się do cytowania – roją się od słów plugawych, odzwierciedlając mental i styl życia najpodlejszego rynsztoka: rapuje on o piciu, dylowaniu i „wciąganiu”, o „napalonych sukach” i „rżnięciu ich w rowa” (tzn. o seksie analnym) oraz – oględnie mówiąc – biciu frajerów po twarzach, w tym, co ciekawe, również o biciu „transwestytów” udających kobiety i „pedałów”. Tym ostatnim nie szczędzi bluzgów niezwykle w swej wulgarności wymyślnych, choć wspomniany wyżej seks analny jest ważnym wątkiem jego twórczości – w utworze nagrany wspólnie z artystką występującą jako Mokra Jolanta ta ostatnia dyszy, między innymi obscenami, „czuję w dupie luz, weź i mi tam włóż”.

Szkoda, niestety, że ministra Śmiszka nie zapytano o tę część „spuścizny kulturowej” artysty tak popularnego wśród wyborców rządzącej koalicji. Sam Cypis, jak można sądzić z wywiadu, który po wspomnianym incydencie szeroko cytowano w sieci, wydaje się mieć do publiczności, na której zarabia, zdrowy dystans. Gdy po wyznaniu, że sam swoich utworów nie lubi i nie słucha, dostaje pytanie, dlaczego w takim razie słuchają ich jego fani, odpowiada że szczerem śmiechem: „Bo są zjebami!”. Nagranie protest songu przeciwko PiS świadczy, że dobrze rozpoznaje oczekiwania swej specyficznej publiczności.

Podobnie jak w wypadku komiksu Dąbrowskiego, także w przypadku chóralnego wykonania hymnu Cypisa, zwróćmy uwagę, nie mamy do czynienia ze zjawiskiem nowym, tylko z wejściem do głównego nurtu mediów czegoś, co wcześniej stanowiło margines, nawet przez większość antypisu traktowany wstydliwie. Według dziennikarzy obsługujących Campus w poprzednich latach „JBC PiS” pojawiało się tam na wieczornych dyskotekach i wcześniej, ale w godzinach mocno już wieczornych, i nikt się tym



Komiksy z serii „Likwidator” wydawane są od lat, ale dopiero teraz trafiły do głównego medialnego obiegu

FOT. DAWID WOLSKI/EAST NEWS

nie chwalił. W tym roku natomiast jeden z uczestników zlotu – członek KO, radny Warszawy i, co ciekawe, zarejestrowany sejmowy lobbysta, Mikołaj Wasiewicz – wrzucił amatorski zapis tego występu na platformę X, z komentarzem pełnym dumy, w duchu: patrzcie, jak się tu świetnie bawimy i jacy jesteśmy „zajefajni”!

Co najbardziej charakterystyczne: po udostępnieniu nagrania i po tym, jak wzbudziło ono ogólne oburzenie oraz potępienie, Wasiewicz swój wpis usunął. Politycy PO, których widać na nagraniu – Sławomir Nitras i Adam Szłapka – zaczęli się od śpiewania dystansować i zarzekać, że to nie powinno mieć miejsca, że oni nie słyszeli, bo akurat mieli na słuchawkach co innego, że kiedy się dowiedzieli, to prosili młodzież, by się tak nie wyrażała... I wtedy zabrał głos sam Donald Tusk, umieszczając na swoim koncie cytaty ze znanej piosenki Jonasza Kofty „Śpiewać każdy może”: „Czasami człowiek musi

[zaśpiewać – przyp. RAZ], inaczej się uduś”. Sygnał był jasny: Nie pękać mi tam! Za nic nie przepraszać! Młodzież musiała wyrazić swój słuszny gniew, na który PiS zasługuje, i tego się będziemy trzymać – żadnego miękiszoństwa! Wskazówka ta została w mediach koalicji oraz na salonach natychmiast wcielona w życie.

REHABILITOWANIE NIENAWIŚCI

Można powiedzieć, że klimaty – pozostańmy przy tym uprzejmym określeniu – „gangsta” zawsze się do PO kleiły, w każdych wyborach miażdżąc wygrywa ona w więzieniach i aresztach śledczych, widać nie od dziś, że ich bywalcy poczuwają się do kulturowego pokrewieństwa – by przypomnieć choćby sławny występ na wiecu Beaty Szydło w Świdnicy miejscowego gangstera o ksywie Sznupek z podkomendnymi. Być może nie został on tam przysłany przez PO ani TVN24, ale



Campus udowodnił trafność starego powiedzenia, że gdy już się jest na samym dnie, odzywa się pukanie od spodu

to pułapka", i odpowiedzialni za to sami sobie zasłużyli.

Podobnie, pół wieku wcześniej, konserwatywne elity Niemiec relatywizowały pierwsze ekscesy „szturmowców” Roehma: istnienie żydowskiego spisku i jego złowrogi wpływ na Niemcy uchodziły wśród nich za równie oczywiste, jak dziś wśród stronników „uśmiechniętej” koalicji „niekonstytucyjność” KRS czy Trybunału Konstytucyjnego albo „masowe złodziejstwo” za poprzednich rządów.

To ostatnie podobieństwo wydaje mi się warte podkreślenia – zarówno niemieccy wrogowie Republiki Weimarskiej, dostrzegający w radykalnych narodowych socjalistach (i nie wyobrażając sobie, co z nich może wyrosnąć) pożytecznego sojusznika przeciw uznanemu za największe zagrożenie bolszewizmowi, jak i elity III RP, wciągające do głównego nurtu debaty Martę Lempart, najgorsze chamstwo i żulerię, a także np. liberalne elity francuskie, sprzymierzające się przeciwko „prawicowemu populizmowi” z islamistami i komunistami Mélenchona, kierując się tym samym odruchem strachu przed utratą pozycji „klasy panującej”, którą przywykli być od pokoleń. To otwiera drogę do rehabilitowania nienawiści i agresji jako zachowań „obiektywnie” dobrych oraz pozwala usprawiedliwić i pochwalić każde przekroczenie, które jeszcze niedawno wydawało się nie do pomyślenia.

Jest jednak pewna zasadnicza różnica, i to daje najbardziej do myślenia. Przecież PO i jej „przystawki” od ośmiu już miesięcy rządzą. Dziesięć miesięcy temu – może trzeba przypomnieć? – udało im się doprowadzić do wielkiej społecznej mobilizacji i dzięki połączeniu pod hasłem „jebania PiS” różnych sił politycznych i grup elektoratu od Sasa do Lasas znieprawdowany Kaczyński został od władzy odsunięty. W dodatku sprawujący tę władzę obecnie uzyskali od Unii Europejskiej licencję na dowolne łamanie krajowego prawa. Skorzystali z niej już wielokrotnie

– i nic ich za to nie spotkało. Czemu więc nadal żyją w niepewności jutra?

Kiedy w 2007 r., po podobnej mobilizacji „młodych wykształconych”, którzy ustawili się w długich kolejkach do komisji wyborczych, PO odsunęła od władzy koalicję PiS z LPR i Samoobroną, zauważalny był nastrój ulgi. Przez kilka lat elity dawały wyraz przekonaniu, że „to” już się nigdy nie powtórzy, że elektorat „prawicowy” nieuchronnie „wymrze jak dinozaur”. Nikomu nie przychodziło wtedy do głowy kokietować żulię czy psycholewicę, wprowadzać je na salony i przesuwac „okno Overtona” w ich kierunku. Nerwowość, która kazała znanej pisarce bać się jadącego za nią samochodu, po zwycięstwie gdzieś się ulotniła. Elity odetchnęły, że teraz, mówiąc Michnikiem, jeśli ktoś zapuka o szóstej rano, to będzie to mleczarz (nawiasem mówiąc, jeden Michnik wie, gdzie jeszcze w Polsce można spotkać roznosiciela mleka... Ale w końcu budek z piwem też już nie ma od dziesięcioleci, a w języku trwają).

Tym razem mamy sytuację przeciwną. Frustracja, histeria i płynące z nich przyzwolenie na każdą formę agresji, wulgarność i zbydlęcenie narastają z każdym miesiącem „przywracania” przez lewicowo-liberalne elity „praworządności” i „demokracji”. Sprawdza się sławna formuła Stalina, że „walka klas zaostrza się” w miarę zwycięstw osiąganych przez obóz postępu. Tylko że Stalin ukuł tę formułę z całkowitym cynizmem – a zwolennicy „obozu demokratycznego” Tuska pograżają się w panice spontanicznie, nawet jeśli ktoś cynicznie temu sprzyja.

Jakkolwiek tłumaczyć przyczynę, skutek jest oczywisty: równia pochyła, po której „elita” – którą miała zamiar uformować michnikowszczyzna na Kołakowskim, Miłoszu czy Wajdzie, „ludzie na pewnym poziomie”, jak zwykli sami o sobie myśleć – stacza się coraz bardziej ku klimatom z piosenek Cypisa. Jeszcze niedawno, kiedy jej poziom wyznaczali Palikot, Wojewódzki i Lis, wydawało się, że niżej zejść już się nie da – ale Campus udowodnił trafność starego powiedzenia, że gdy już się jest na samym dnie, odzywa się pukanie od spodu. Nie zakładajmy zatem, że poziom cypisowych „zjebów” i program polityczny lewackiego komiksarza to już ostatni przystanek tej trasy.

Za czasów COVID mieliśmy kilka grup społeczno-medialnych. Byli decydenci, do dziś jakoś poukrywani, był też społeczny podmiot covidowy, czyli naród – szybko podzielony na zaszczepionych i tych niezaszczepionych, byli też eksperci. Na początku rząd słuchał ekspertów praktycznie w zupełności, po czym rozpoczął się proces „politycyzacji wirusa”, to znaczy rządzący przed podjęciem decyzji pandemicznych zaczęli częściej spoglądać na badania opinii publicznej niż wnioskować z (dodajmy wątpliwych) danych epidemiologicznych.

Media, które zarówno uwiarygadniały decydentów, jak i podbijały napięcie pandemiczne nowymi rewelacjami, korzystając w pandemii z szerokiego grona ekspertów. Ci oficjele wśród ekspertów, częściej uzasadniali podjęte decyzje, ale zaraz za nimi, a właściwie przed nimi szedł szwadron samomianowanych, głównie przez media, ekspertów bardziej medialnych niż medycznych. Wystarczyło tylko mieć jakiś dyplom, choćby i z reumatologii, by być codziennym medialnym gościem w polskich domach. Wystarczyła tylko biegłość w zawieraniu w kilku medialnie zapamiętywanych zdaniach jakichś nowych rewelacji, głównie opartych na eskalacji strachu. To były twarze pandemii.

Po „upadku” pandemii wszyscy się rozeszli, jednak mamy dziś do czynienia z ciekawym fenomenem: główny przedstawiciel ekspertów medialnych wrócił za nowej władzy do roli znaczącego decydenta. Mowa o dr. Pawle Grzesiowskim, obecnym głównym inspektorze sanitarnym, szefie sanepidu, który czekał na „prawdziwego” szefa 1304 dni.

DOKTOR WHO?

Kim jest dr Grzesiowski? Z wykształcenia pediatra, kierownik Zakładu Profilaktyki Zakażeń i Zakażeń Szpitalnych w Narodowym Instytucie Leków w Warszawie, prezes własnej fundacji Instytut Profilaktyki Zakażeń, zajmującej się dla klientów szczepieniami i medycyną podróżniczą. Jeden z wiodących przedstawicieli wspomnianej grupki ekspertów medialnych, zwolennik najdotkliwszych obostrzeń, człowiek, który chwalił się, że w domu członkowie jego rodziny i on sam chodzą w maseczkach. Doktor brylował w mediach przez całą pandemię, był

Sanitarysta ponad podziałami



Jerzy Karwelis

Nowy szef GIS chce, po pierwsze, ścisłych kontroli, a po drugie, karania w przypadku unikania obowiązkowych szczepień, zwłaszcza dzieci



Paweł Grzesiowski, główny inspektor sanitarny FOT. PAWEŁ SUPERNIAK/PAP

właściwie ostatnim, który zszedł z sanitarystycznego pokładu, choć okazało się dzisiaj, że niezupełnie.

Co do współpracy z rządzącymi, to już z „docenieniem”, innym niż medialne, szło mu gorzej. Wyrzekła się go Rada Medyczna przy premierze, jej szef – prof. Horban – mówił w maju 2020 r.: „My nie przyznajemy się do doktora Grzesiowskiego. Odbił trzytygodniowy staż na oddziale zakaźnym, potem zrezygnował i ma specjalizację z pediatrii”. Doktor padł ofiarą wspomnianej „politycyzacji wirusa”. Nawoływał bowiem rząd do większego zaostrenia działań i represji, krytykował rządzących i ekspertów za niewprowadzanie jego propozycji, co skończyło się odwołaniem go ze stanowiska pracownika Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego.

Po tym ruchu Grzesiowskiego „przejęła” Naczelna Rada Lekarska, której stał się ekspertem. Rada otrzymała od głównego inspektora sanitarnego wniosek o... pozbawienie Grzesiowskiego prawa wykonywania zawodu. Powodem miało

być – jak napisał w kwietniu 2021 r. GIS – „wprowadzanie w błąd opinii publicznej niepotwierdzonymi i nieprawdziwymi informacjami na temat COVID-19”. Ponadto miało chodzić o oczernianie instytucji państwowych, przede wszystkim Inspekcji Sanitarnej, a także o „promowanie niesprawdzonych rozwiązań w walce z epidemią”, którym „brak jest naukowego potwierdzenia i skuteczności”. Spór został zażegnany i jako kłótnia w covidowej rodzinie nie wyszedł poza wewnętrzną pyskówkę.

PROROK

W styczniu 2021 r. redaktor Pawlicki podliczył, że na 16 medycznych członków Rady Medycznej przy premierze 12 ma konflikt interesu, współpracując za pieniądze z firmami farmaceutycznymi.

Redaktor Warzecha wykazał, że nasz nowy główny inspektor sanitarny współpracował chociażby z GlaxoSmithKline, a gdy się wejdzie na strony Stowarzyszenia Dziennikarzy dla Zdrowia, to widać,

że jeszcze pod koniec kwietnia tego roku, przed czerwową nominacją na szefa sanepidu, dr Grzesiowski uczestniczył w warsztatach „Czas na szczepienia” (a jakże!), współsponsorowanych przez branżę farmaceutyczną.

Też o panikarskich prorocztwach naszego bohatera da się ukazać poprzez ich absurdalny zakres, daleko wykraczający nawet poza ówczesne i tak przesadzone przepisy. Grzesiowski postulował, co oczywiste, rozszerzając formułę obowiązkowych szczepień, zielony certyfikat szczepienny lub testowy obowiązujący od zgromadzenia się więcej niż pięciu osób. W lutym 2021 r. postulował wyciągi nad każdym stolikiem w restauracji, by odkurzać wirusa z sal jadalnych. Rok później stwierdził, że przejście COVID powoduje zmniejszenie mózgu, co stało się przyczynkiem publicznych spekulacji na temat tego, ile razy sam doktor przeszedł koronawirusa.

Najbardziej demaskujące są wypowiednie zweryfikowane przez rzeczywistość. Popatrzmy na historię tych wieszczów: „Osoby niezaszczepione będą umierać podczas czwartej fali pandemii” (lipiec 2021 r.); „Święta mogą zakłócić masowe pogrzeby” (22 listopada 2021 r.); „Wymrze 10 proc. społeczeństwa w wieku 50+” (listopad 2021 r.), czyli miało umrzeć ponad 150 tys. ludzi; „Czeka nas ciężka covidowa zima. Zgonów covidowych jest 10-krotnie więcej, niż podają oficjalne dane rządowe” (grudzień 2021 r.). Wreszcie pięć tygodni przed wybuchem wojny na Ukrainie doktor ostrzegał w wywiadzie dla PAP, że COVID wciąż w ataku, jest coraz bardziej zjadliwy, gdyż „degeneruje ludzki gatunek, jest groźniejszy, niż sądziliśmy”, a rząd oskarżył o zaniedbania i nieprzygotowanie do kolejnej fali.

Pięć tygodni później Polacy nie tylko przepuścili przez granicę parę milionów kompletnie niezaszczepionych Ukraińców (a większość z nich w Polsce została), co nie tylko zweryfikowało śmiertelność tezy doktora, lecz także sama wojna spowodowała zniknięcie tematu pandemii z mediów oraz z procedur medycznych i ze statystyk, co do dziś jest powszechnym dowodem na „medialność” pandemii.

NOWE PORZĄDKI

No, niech będzie, że mamy teraz głównego inspektora, który rzadko się nie

mylił. Bo może on coś nowego wniesie do objętej przez siebie instytucji. Niestety, chyba z utęsknieniem przyjdzie powspominać stare „dobre” czasy, kiedy pandemią dowodził pełniący obowiązki GIS informatyk. A więc z czym dr Grzesiowski przyszedł na nowe odpowiedzialne stanowisko?

To sanitaryzm w czystej postaci. Robimy porządki. Po pierwsze – kontrola. I to nie tylko COVID. Wszystkiego, co tam się da i pływa w ściekach. Tak, w ściekach, bo to ostatnio główne źródło detekcji epidemiologicznych zagrożeń. To na tej podstawie spada lub rośnie (głównie rośnie) niepokojąca krzywa. Druga sprawa to konkretne podejście do karania w przypadku unikania obowiązkowych szczepień, zwłaszcza dzieci. Tu ma być bez litości, nawet z postulatem do zrealizowania podostrzeżenia kar. Połączenie obu, czyli kontroli i egzekucji, ma spowodować wręcz indywidualne namierzanie niepokornych i – na razie – traktowanie ich rosnącymi środkami perswazji.

Co do samego COVID i testów, to „pozytywny test PCR nie oznacza zakażenia”. Nie jest to cytat z jakiegoś płaskoziemcy, ale wyimek z wywiadu z grudnia 2022 r., którego udzielił RMF sam... dr Grzesiowski. Niestety – doktor się tu zaplątał, bo z jednej strony kwestionuje traktowanie testu PCR na COVID jako „złoty standard”, z drugiej zaś strony, grzebiąc w nieczystościach, uznaje jego wyniki za jedyny drogowy dynamiki jakichś zakażeń. Trzeba pamiętać, że nauka dawno rozprawiła się z kwestią testów na COVID, uznając ich standardy za niewystarczające do stwierdzenia zakażenia, a już tym bardziej – jednym patogenem koronawirusowym.

Gdy się przysłuchać argumentacji nowego szefa sanepidu, to tu się powtarza wszystko. Jest on jak generał, który chce nowe wojny prowadzić wedle starych reguł, w dodatku wojen wiadomo, że przegranych. To nic nie da. Znowu będziemy wychodzić z pierwszopandemicznych okopów covidowych i walczyć z niewidzialnym przeciwnikiem maseczkami i dystansem. To niewiele da, a prokurowane krzywe pandemii testów będą popychały do dalszych kroków. Wejdziemy w lejek. To już robiliśmy – zaczęło się od maseczek, a skończyło się na polityce

nieleczenia innych chorób i zamrożenia gospodarki, która wciąż nam się odbija deficytem.

Pełno w tej argumentacji sanepidu sprzeczności. Grzesiowski mówi z jednej strony o wzroście zakażeń COVID, ale z drugiej żali się, że nie ma narzędzi jego monitoringu. Że nie wie, ilu ludzi w tej „nowej fali” na COVID umarło, co jest już kompletnym absurdem, bo to może być epidemia kataru. To samo ze szczepieniami. Przecież to, co mówi ostatnio pan doktor, że wpływ ich jest dobroczynny, to jakaś bzdura. Z jednej strony mamy uzasadnić falę nowych szczepionek tym, że to na nowy wariant wirusa, a z drugiej namawiamy do szczepienia się już teraz preparatami zrobionymi do ochrony przed starym wariantem wirusa – to jakiś potężna sprzeczność.

SANITARYZM JAKO NARZĘDZIE WŁADZY

Mamy więc nową politykę. Nie wiem, czy nowy szef sanepidu dostał tę posadę za to, że należał do grona oponentów „starej” władzy. Dość powiedzieć, że sanitaryzm zdaje się to dopiero zobaczmy, gdyż wcześniej to były tezy jakiegoś celebryty medialnego. Dziś ta narracja przechodzi na mównice ministerialne i profesorskie. Okazuje się, że – znowu – nie jesteśmy przygotowani na pandemię.

Dziś ekscytujemy się przyczynkarskimi szczegółami, takimi jak maseczki. Pamiętajmy jednak, że – jak widzieliśmy – pandemia jest jak mała wojna. Zawiesza wszystko i wszystko stawia w innym kontekście. Głównie dlatego, że społecznie wywołany strach pozwala na buszowanie w obywatelskiej wolności pod pozorem realizowania podstawowej funkcji władzy – gwarantowania odpowiedniego poziomu bezpieczeństwa. A pandemia dowiodła, że po pierwsze, wymiana wolność za bezpieczeństwo (lub jego pozory) jest społecznie akceptowalna, a po drugie – temat pandemii może być dla władzy... korzystny. Zwłaszcza dla takiej, która rządzi za pomocą przykrywek medialnych, podrzucanych dla maskowania niekorzystnych faktów i procesów. W tym przypadku byłaby to więc superprzykrywka, do której najlepiej nająć nawiedzonych sanitarystów.

Katolicy na YouTube



Michał Murgrabia

Katolicy w Internecie mają dużą grupę odbiorców. Jak to osiągnęli?

Utarło się przekonanie, że katolicy nie za bardzo potrafią się zorganizować, a już szczególnie nie radzą sobie w handlu, w sensie skutecznej i dochodowej sprzedaży oraz w komercyjnych przedsięwzięciach. Najłatwiej, choć dość niezgrabnie, można by to wyrazić stwierdzeniem, że katolik to

jakaś ciamajda, bez większych perspektyw i pojęcia o marketingu i reklamie, niezdolny do wykreowania marki o dużym zasięgu. Katolików w tym krzywdzącym uproszczeniu sprowadza się do roli służebnej. Chesterton określiłby ich mianem najmitów, którzy „są w istocie lokajami wiszącymi u pańskiej klamki, parobkami u bogaczy” (G.K. Chesterton, zob. „Świat najmitów”, [w:] „Obrona wiary”). Celowo przywołałem tutaj pewien stereotyp, aby w kontraście do niego, poniekąd się z nim rozprawiając; aby łatwiej nam było rozpoznać sukces, który przybrał konkretną postać. Mam na myśli dwie inicjatywy, które zdaje się, że osiągnęły wcale niemałą popularność

i bynajmniej nie zamierzają na tym poprzestać.

PRZEBIĆ BAŃKĘ

Zapytałem twórców kanału „Trudno być katolikiem” (TBK) o to, w którym momencie dotarło do nich, że odnieśli sukces. Odparli zgodnie: „We dwoje działamy jak prężna redakcja. Naszym celem jest kanał nowoczesny wizerunkowo, ale tradycyjny treściowo. Udało nam się przebić z katolickim przesłaniem do ludzi spoza Kościoła, przez tzw. bańkę informacyjną. Wielu zaintrygowaliśmy i skłoniliśmy do refleksji, inicjując niezrządkiem proces nawracania”. Twórcy przyznali, że docierają „do coraz młodszych



Anna i Maciej Świerzyńscy z kanału „Trudno być katolikiem” FOT. ARCHIWUM MACIEJA I ANNY ŚWIERZYŃSKICH

gnie pół miliona wyświetleń w serwisie YouTube”. Uważają, że „istotą sukcesu jest służba na chwałę Pana Boga i święta obojętność wobec tego, co posiadamy, gdyż wiemy, że wszystko otrzymaliśmy od Stwórcy”.

Dawid Mysior, twórca kanału „Sprawki by Dawid Mysior”, odpowiedział na pytanie o to, kiedy spostrzegł, że robi coś wielkiego, nieco inaczej: „Uświadomiłem sobie, że odniosłem sukces, gdy po raz pierwszy otrzymałem wiadomość od kogoś, kto po latach poszedł do spowiedzi. Osoba ta napisała, że to dzięki moim materiałom. Jest to oczywiście pewne uproszczenie – poszła do spowiedzi dzięki łasce Bożej. Uświadomienie sobie, że moje wypowiedzi mogły ją w tym kierunku popchnąć, dały mi poczucie odniesionego sukcesu, choć pewnie sam wybrałbym inne słowo”.

Zdawać by się mogło, że sukces powinien mieć bardziej materialny charakter. Dawid ujmując to jednak w inny sposób i odpiera tego typu potencjalny zarzut: „Zanim czytelnik uzna, że trąci to sztuczną świętoszkowatością, śpieszę zauważyć, że podobne podejście jest, lub powinno być, stosowane również w biznesie. Gdy dążyć będziemy do sukcesu wprost, raczej nam umknie. Gdy będziemy dążyć do jak najlepszego wypełniania swojej misji, dopiero wtedy może pojawić się trwały »sukces«, bardziej jako efekt uboczny niż pierwszorzędny cel, do którego bezpośrednio zmierzaliśmy. Staram się skoncentrować na tym, co pożyteczne dla Kościoła i dla zbawienia dusz. Nie

jestem duszpasterzem, ale swoim widzom staram się dostarczyć jak najwięcej dobrej treści i lepszego rozumienia rzeczywistości. Dlatego też zwracamy się do naszych słuchaczy i czytelników, mówiąc do nich człowieku rozumny”.

MÓWIĆ PRAWDĘ

Maciej i Anna opowiedzieli mi także o tym, co zrobili, aby dojść do punktu, w którym są dzisiaj: „Mówimy prawdę. Do ludzi dobrej woli prawda przemawia łatwiej swą wewnętrzną siłą”. I tę prawdę sami „szczerze wyznają, gdyż prawdą jest Chrystus. Widzowie to dostrzegają i są ku niej pociągani. Utożsamiają się z nami, widząc odbicie swoich historii w naszych doświadczeniach”.

Państwo Świerzyńscy zgodnie twierdzą, że w tym, co tworzą, są wiarygodni i modlą się, by Chrystus królował na kanale i ich przysłaniał. Ponadto wyznali, że nie fiksują się na „gwiazdorzeniu”. – Naszą przewagą jest to, że jest nas dwoje i przesiewamy przez podwójne sito każdą kreację. Jesteśmy dla siebie surowymi sędziami, a także wsparciem. Najważniejsza jest dla nas jakość treści i formy – mówią. Maciej dopowiedział jeszcze, że „moment, gdy Ania wpadła na pomysł, by nakręcić film o Mszy św. trydenckiej, był przełomowy. Od lat narażało w nim pragnienie, by nakręcić film na ważny temat”. Na koniec podsumowali: – Jesteśmy wdzięczni Bogu, że dał nam łaskę służenia Mu. Tysiące komentarzy i maili dowodzą tego, jak ogromną ma skuteczność w przyciąganiu ludzi do

widzów, którzy twierdzą, że pokonaliśmy stereotyp katolika fanatyka i zacofanego nieudacznika wstydzącego się swej »katolicyzacji«, synonimu rzekomej słabości”. Nie ukrywają, że w opinii odbiorców „zbudowali obraz katolików dumnych z wiary, utalentowanych i autentycznych, nowoczesnych w pracy, a tradycyjnych w przekonaniach”. Dostrzegają, „że coś wielkiego udało nam się osiągnąć”. Ich zdaniem jednak „największym sukcesem jest ogromna liczba ludzi ze świata, którzy dzięki naszej pracy odkryli Mszę Świętą wszech czasów i Tradycję katolicką, m.in. po publikacji pierwszego w Polsce filmu o Mszy łacińskiej pt. »Ukryty skarb Kościoła«, który niebawem osią-

■ Świętej Wiary, potęgą obrazu, słowa i prawdy.

Z kolei Dawid zaczął zajmować się publicystyką w sposób niezaplanowany i bardziej spontaniczny. Podzielił się ze mną tym, że był zmęczony „prymitywnymi atakami na Kościół”, z którymi spotykał się w Internecie. Nie chodziło mu przy tym o zwykły trolling, gdyż z tym, jego zdaniem, „nie warto podejmować innej walki niż obnażanie go”. Chodziło mu raczej o „wypowiedzi ludzi skądinąd inteligentnych, wykształconych, którzy w Internecie potrafią klepać antykatolickie formuлки zupełnie bez zastanowienia”. Nagle, w 2019 r., postanowił zabrać głos, aby – jak mówi – „choć części internautów pokazać, że pewna wyższość intelektualna przeciwników wiary świętej jest wyłącznie czymś pozornym”.

Kolejną motywacją dla Dawida było to, że jego „żona i znajomi mogli być już zmęczeni dyskusjami, w które zamieniały się najprostsze nawet rozmowy”. Wystarczyło, że „ktoś rzucił pozornie niewinne, marksistowskie hasło i dochodziło do dyskusji”, w której Dawid – jak twierdzi – „albo mógł odpuścić, albo odnieść nic niewarte zwycięstwo, bo nie przekona się kogoś, kto nie chce być przekonany”. I tak właśnie Dawid wpadł na pomysł, aby nagrywać vloga. – Prowadzenie kanału miało po prostu pomóc mi w spożytkowaniu energii w bardziej produktywny sposób niż tylko w jałowych sporach z kolegami o progresywnych poglądach – objaśnia.

Początki bywają trudne, choć według Dawida najgorsze były „brak konsekwencji oraz poczucie beznadziei co do obranej misji czy też najgłupsze i jednocześnie najgroźniejsze, co może przydarzyć się w takiej sytuacji – przekonanie, że zdziałasz coś o własnych siłach”. Na czyje siły zatem liczył? – Ośmielę się powiedzieć, że tylko gdy oddają całą tę pracę Niepokalanej, cokolwiek tak naprawdę idzie do przodu. Gdy zaczynam pchać ten wózek sam i zgodnie z własnymi wyobrażeniami, zawsze docieram do ściany. Muszę wtedy z tego ślepego zaułka wychodzić, co bywa bardziej męczące niż wchodzenie do niego. Gdy proszę Maryję, żebym w swojej własnej pracy za bardzo nie przeszkadzał, wtedy to się udaje – odpowiada.

Co okazało się dla państwa Świerzyńskich największą przeszkodą? Otóż od



początku borykali się z brakiem pieniędzy, sprzętu i znajomości. Zdradzili: „Pierwszą kamerę kupiliśmy na kredyt”. – Sporó ryzykowaliśmy, decydując się jako nieznane nikomu małżeństwo na realizację filmu na tak kontrowersyjny temat – mówią. – W trakcie produkcji trudność stanowiły dla nas pandemia i podziały w środowisku Tradycji, które pokonał, zdobywając zaufanie rozmówców, co zaowocowało zobrazowaniem wszystkich grup Tradycji w Polsce, mówiących w filmie jednym głosem.

Trzeba przyznać, że nikomu innemu się to nie udało. – Naturalnym przywódcą od początku był Maciej. To on planuje i spaja wszystko filmowo oraz biznesowo – dodaje Anna. – Z jego inicjatywy w 2021 r. powstały sklep internetowy i Fundacja Sensus Fidei – wylicza. Ona sama skończyła studia dziennikarskie i – jak podkreśla – z zamiłowaniem dzieli się historiami i wiedzą oraz sporo pisze i służy kreatywnością.

Mając do wyboru różne modele działalności, zdecydowali się na dwa odmienne warianty. Dawid zbudował markę wokół własnego nazwiska, pod szyldem „Sprawki by Dawid Mysior”, a Anna i Maciej dali początek kanałowi o nazwie

„Trudno być katolikiem, ale warto”, której to drugi członek powstał nieco później. Zapytałem ich, czy coś by w tym zmienili i co się sprawdziło najbardziej.

– Nazwa kanału powstała spontanicznie podczas rozmowy o zmaganiach katolików w czasie pandemii. Szybko stała się jednak samodzielną marką. Slogan ten wynikał z pandemicznych realiów oraz wymogów naszej wiary, dlatego wielu się z nim identyfikuje – wyjawia Maciej.

Każda nazwa rodzi się w innych okolicznościach. – Od początku, oczywiście po wyrażeniu zgody przez żonę, chciałem wykonywać pracę pod swoim nazwiskiem. Głównie dlatego, że dość powszechne są pewien opór czy też obawy przed takim działaniem – mówi Dawid. Jego zdaniem te obawy „mogą być uzasadnione”, natomiast uznał, że skoro on ich nie ma, to niech to będzie pod jego nazwiskiem. Co do nazwy, to jednak coś może się zmienić. – Myślę, że w moim przypadku obie marki, zarówno „Sprawki”, jak i „Dawid Mysior”, stosowane są przez słuchaczy i czytelników zamiennie, ale jest to tylko moje wyobrażenie, nie robiłem na ten temat badań. Oczywiście jeżeli miałyby się okazać, że to dziełko ma trwać, to będzie trzeba namawiać

czytelników i słuchaczy, by myśleli i mówili raczej „Sprawki” niż „Mysior”. Zatem „Sprawki” niebawem przekroczą próg 100 tys. widzów – opowiada Dawid.

Kanał małżeństwa Świerżyńskich z kolei rozwija się dynamicznie, o czym świadczy wzrost subskrybentów od 5 do 10 tys. miesięcznie. – Zbliżamy się do 200 tys. subskrybentów – konstatują autorzy. – To obrazuje głód rozumu, prawdy i wiary katolickiej, którą chcemy się dzielić, oraz to, że można ją zaprezentować w atrakcyjnej formie.

Podkreślili też, że od początku, promując Kościół katolicki, kult Najświętszej Maryi Panny, Mszę Świętą, Fatimę, chcieli zaangażować ludzi, wzniecić oddolny ruch katolików. Sporo satysfakcji daje parze dokumentalistów świadomość przemiany niegdyś hejtujących ich ludzi, którzy pod wpływem treści zaczynają cenić przekaz i odkrywać wiarę katolicką.

JAK TO SIĘ ROBI?

Zapewne twórcy obydwu inicjatyw znajdują swoich naśladowców, być może właśnie teraz czytają oni ten tekst. Czy istnieje jakiś konkretny zestaw działań przynoszących najlepsze rezultaty, z którego mogliby skorzystać? Czego mogliby się od bohaterów naszego artykułu nauczyć? Co okazało się tym strzałem w dziesiątkę według Dawida Mysiora? – To była każda chwila i decyzja, którą podejmowałem w trosce o większą chwałę Bożą na ziemi, o większą maryjność wśród Polaków, o zaprowadzenie społecznego panowania Chrystusa w Polsce, o uzdrowienie mojej Matki Kościoła z choroby modernizmu, która ją toczy, wreszcie o zbawienie dusz – odpowiada na takie pytania Dawid.

Miał pewne obawy, udzielając tej odpowiedzi. Wy tłumaczył to tym, że nie chciałby „narazić swojego wizerunku”, i to w tym sensie, że usiłuje przedstawić się w „lepszim świetle od tego, jaki jest naprawdę”. Nie chciałby, aby ludzie odebrali go jako gwiazdę i pozerę. Położył nacisk na to, że wyłącznie stara się „odpowiadać zgodnie z prawdą”. Żywi również nadzieję, że po tych słowach nie będzie odnosił się do niego fragment: „Ci otrzymali już swoją nagrodę”. Jak mówi, „nie stara się szukać pochwały u ludzi”. Oby jego skarb został dla niego przechowany na później.

Zarówno Dawid, jak i państwo Świerzyńscy swoje działania skoncentrowali na



serwisie YouTube. Subskrybuje ich łącznie ponad 270 tys. widzów i stale przybywa kolejnych. Każdy, kto poważnie podchodzi do prowadzonego przez siebie przedsięwzięcia, planuje w takim momencie dalsze kroki. Tak jest i tym razem. W końcu już niejeden kanał zniknął z YouTube.

– Idea małżeńskiego i katolickiego kanału, który stawia na profesjonalizm przekazu, była nowością w polskim YouTube w 2019 r. i okazała się trafiona – mówią Anna i Maciej. Dodają, że pomysł na film, powołanie fundacji filmowej i sklepu były strzałem w dziesiątkę. Promowanie katolickich producentów, wydawców czy rękodzielników jest elementem ich strategii budowania wspólnoty katolików wokół kanału. – Nasza strona Trudnobykatolikiem.pl i kanał YT generują nawet 1,5 mln wyświetleń miesięcznie, 25 proc. widzów jest z zagranicy. Przygotowujemy się do kolejnego filmu z udziałem ludzi z branży. Jesteśmy w kontakcie z filmowcami z USA i Anglii, a Ania zaczyna pisać swoją pierwszą książkę – ujawniają.

Na pytanie o tzw. plan B, na wypadek cenzury, odpowiadają: – Plan awaryjny mamy od początku. Rozbudowujemy serwis internetowy, powiększając listę mailingową, archiwizujemy opublikowane materiały, by móc je sprawnie odtworzyć. Rozwijamy inne media społecznościowe.

– Moja praca zawsze obarczona była poczuciem delikatnej schizofrenii – codziennie pracuje się na to, żeby przybliżyć ciosy z zewnątrz. Małych i nieznaczących kanałów progresywne władze YouTube nie tykają. Gdy jednak uznają oddziaływanie społeczne kanału za istotne, zaczynają się coraz poważniejsze problemy – mówi Dawid. – My od

samego początku borykamy się z demetyzacją naszych filmów, zawsze bez podania konkretnej przyczyny. Lepiej natomiast jest z odcinkami podcastu „Sprawki Okiem Katolika Rano”, które są materiałami audio, a te z jakiegoś powodu są mniej przez Wielkiego Brata ograniczane. W pierwszej połowie lipca nasz zespół uruchomił portal Sprawki.pl i od tego czasu odrobinę mniej boimy się perspektywy nagłej utraty dorobku naszej wieloletniej pracy. W kontekście przyszłości najważniejsze jest jednak jedno – zbawienie. Dla siebie. Dla bliskich. Dla widzów, słuchaczy i czytelników.

Obserwując inne katolickie przedsięwzięcia, dostrzegłem, że jest tam sporo niewykorzystanego potencjału. Podobnego zdania są państwo Świerżyńscy: – Należy zadać sobie pytanie: Jaki jest mój cel i w jaki sposób go zrealizuję? YouTube obnaża zarówno beztalencja, jak i talenty. Bylejałość jest skazana na porażkę. Idealnie jest być człowiekiem orkiestrą o sporej odporności psychicznej, by dotrzymywać kroku najlepszym i utrzymać uwagę widza. Złota rada: należy trafić we właściwy czas, z właściwą treścią, do właściwych osób.

Diagnoza Dawida jest podobna. Co mogłoby pomóc innym? – Precyzyjne określenie celu swojej pracy, tematyki, a potem konsekwentne robienie kroków w tym kierunku – radzi. – Wszystko to jednak należy przede wszystkim ofiarować Niepokalanej. Natomiast dobrze jest mieć świadomość, że z zewnątrz ów „sukces” może wyglądać na łatwiejszy do osiągnięcia, niż jest w rzeczywistości. Bez naprawdę bardzo ciężkiej i czasem żmudnej pracy może się to nie udać.

Skok na „babciowe”

To była jedna z obietnic wyborczych rządu Donalda Tuska – dodatek pieniężny dla rodziców z małymi dziećmi, którzy są aktywni zawodowo i zmuszeni są płacić za opiekę w tym czasie dla malca. Pomysł rządowy realizowano tak szybko, że w konsultacjach pominięto partnerów społecznych i już w maju ustawa trafiła do Sejmu, gdzie została przegłosowana. Prezydent podpisał ustawę 10 czerwca.

Od października dostępne będą trzy programy dla rodziców. „Aktywni rodzice w pracy”, czyli właśnie tzw. babciowe, to dodatek dla pracujących rodziców w kwocie 1,5 tys. zł miesięcznie na organizację opieki nad maluchem, np. opłacenie pomocy babci czy niani. Drugi program to „Aktywnie w żłobku”, czyli 1,5 tys. zł na sfinansowanie pobytu dziecka w żłobku, klubie dziecięcym (a dla rodziców dzieci z niepełnosprawnościami kwota ta będzie jeszcze o 400 zł wyższa). Dla rodziców, którzy wychowują dziecko sami, dostępny będzie w ramach programu „Aktywnie w domu” dodatek



Łukasz Zboralski

Samorządy rzuciły się do podwyżek opłat za żłobki, by odebrać rodzicom dodatek od rządu. Tej pazerności nie powinno się hamować. Może Polacy zrozumieją w końcu, czym jest demokracja bezpośrednia?

w kwocie 500 zł miesięcznie na dziecko w wieku 12–35 miesięcy.

Będzie to naprawdę duża pomoc finansowa dla rodziców, zwłaszcza że bez względu na nowe programy będą też oni nadal dostawać zapoczątkowany przez poprzedni rząd dodatek wynoszący dziś 800 zł miesięcznie na dziecko.

SAMORZĄD WYCIĄGA RĘKĘ

Należałoby jednak napisać, że program może się okazać największą pomocą dla samorządów, które natychmiast wyczuły szansę na podreperowanie swoich budżetów. Skoro bowiem rodzice mogą dostać od państwa do 1,5 tys. zł dopłaty

na opiekę nad dzieckiem i nie może być ona wyższa niż całkowita opłata za opiekę placówki miesięcznie, to czemu nie zabrać z budżetu wszystkiego, co można?

20 sierpnia prezydent Koszalina Tomasz Sobieraj (PO) poinformował, że w mieście urosnie opłata za pobyt dziecka w żłobku. Jak wyliczał portal Koszalin.info, do tej pory opłata za dziecko w żłobku wynosiła 580 zł, a do tego doliczyć trzeba było 10 zł dziennie za wyżywienie. W sumie: 790 zł miesięcznie. Po podwyżce opłata za pobyt dziecka wzrosła gigantycznie – bo do 1750 zł plus 250 zł za wyżywienie. Zatem miasto zabierze od rodziców całą dopłatę z rzą-

dowego programu, a oni dopłacą jeszcze 500 zł miesięcznie.

Na portalu X wiceminister rodziny, pracy i polityki społecznej Aleksandra Gajewska napisała wówczas: „Wolałabym, żeby takie pomysły do głowy nie przychodziły. Przyszły, więc trzeba wziąć się z tym za bary i jak najszybciej to przeciąć. Wspólnie z prezydentem znaleźć wyjście – po to, żeby zdecydowanie pokazać, jak powinien być realizowany »Aktywny Rodzic«. Jutro jadę do Koszalina”.

I pojechała. Następnego dnia na konferencji w Koszalinie prezydent Sobieraj zapowiedział, że złoży wniosek o nadzwyczajne posiedzenie sesji rady miasta, żeby obniżyć opłatę za pobyt dziecka w miejskim żłobku do 1,5 tys. zł. Zarzekał się, że obniżka nie ma nic wspólnego z interwencją minister, która stała obok niego podczas przemowy. Mówił, że chodzi o „dobro dzieci”. – Opieka wczesnodziecięca, gdy dziecko jest najbardziej chłonne i podatne na naukę, jest najważniejsza i powinna być jak najbardziej powszechna – przekonywał.

Jeśli minister Gajewska chce wyjazdowymi interwencjami ochronić portfele rodziców (i podatników, którzy się na rządowe dopłaty do żłobków przecież żożą), to będzie musiała ruszyć w długą trasę. Bo nie tylko jeden samorząd zaplanował już wchłonięcie tego, co rozda rząd.

Radni z Częstochowy dwa dni po podpisaniu przez prezydenta ustawy też na sesji od razu podnieśli opłaty dla rodziców. Do tej pory za utrzymanie dziecka w żłobku w tym mieście trzeba było zapłacić 721,40 zł miesięcznie, a do tego 15 zł dziennie za wyżywienie. A od teraz opłata wyniesie 1,5 tys. zł. Plus wyżywienie, oczywiście.

Częstochowscy samorządowcy nawet się nie kryli, że biorą, co będzie dane. „Zaproponowane w projekcie uchwały rozwiązanie dotyczące ustalenia opłaty za pobyt dziecka w żłobku w wysokości 1,5 tys. zł ma na celu zmniejszenie wysokości środków z budżetu gminy na utrzymanie Żłobka Miejskiego. Zwiększenie wysokości opłaty nie spowoduje obciążenia rodziców dzieci objętych opieką w Żłobku Miejskim, którzy będą beneficjentami ustawy »Aktywny Rodzic«” – napisali w projekcie uchwały.

– Nie będzie miało miejsce wsparcie rodzin uczęszczających do żłobka, ale

wsparcie podmiotów, które prowadzą żłobki – mówił o tym ruchu Paweł Ruksza, radny PiS. Inni ostrzegali, że podwyżka za miejskie żłobki może pociągnąć za sobą podwyżki w placówkach niepublicznych.

Opłaty podnoszą radykalnie w górę nie tylko duże miasta. 28 sierpnia radni miejscy w Łukowie spotkali się na posiedzeniu zwołanym w przyspieszonym trybie. Powód? Projekt uchwały podwyższający opłatę za żłobek z wysokości 700 zł za dziecko do 1,5 tys. zł od 1 października. Decyzję podjęto jednogłośnie. Lokalne media tłumaczyły, że dla rodziców i tak będzie to tańsze rozwiązanie. Dziś bowiem dopłacają 300 zł, korzystając z dofinansowania „400+”. Natomiast od października po prostu oddadzą całą rządową dopłatę.

1,5 mld zł

TYŁE RZĄD ZABEZPIECZYŁ W BUDŻECIE NA 2024 R. NA „BABCIOWE”

Podobnie postanowiono w Gostyninie, gdzie rodzice płacili za żłobek 440 zł miesięcznie. Rada miejska 31 lipca podjęła uchwałę, że od 1 października opłata wyniesie 1,6 tys. zł miesięcznie.

RZĄD NAŁOŻYŁ KAGANIEC

W tej sprawie można by napisać, że dokładanie pieniędzy „na dzieci” może być słuszne z socjalnego powodu, ale wszystko wskazuje na to, że problemu demograficznego nie uratuje. Tu można przypomnieć, że pierwsze duże wsparcie w gotówce dla rodziców było pomysłem Ligi Polskich Rodzin – 15 lat temu zaczęto wypłacać „becikowe” w kwocie 1 tys. zł. A urodzenia dzieci wciąż spadają.

Można by też przypomnieć – po raz który? – oczywistą obserwację dotyczącą tego, że jeśli rząd zaczyna do czegoś dopłacać pieniądze podatników, to rynek bardzo szybko w podwyżce cen jest w stanie te prezenty przyjmować.

Należy jednak napisać coś innego. Że podwyżki za żłobki mogą być lekcją pozwalającą lepiej zrozumieć demokrację bezpośrednią, którą Polakom w takim kształcie zaserwowano za czasów rządu

Jerzego Buzka w 1999 r. Od ćwierć wieku każdy w najmniejszej miejscowości może postawić krzyżyk na karcie wyborczej i wybrać sobie dokładnie takiego prezydenta, burmistrza i wójta, o jakim marzy. W ten sam sposób można wybierać także radnych, którzy mogą rozwiązywać lokalne problemy.

Od kiedy rząd Zjednoczonej Prawicy wprowadził ograniczenie władz samorządowych do dwóch kadencji, nie można już przedstawiać wymówek, że „nie da się” wybrać lepszych władz lokalnych, bo przez 25 lat narosły lokalnie układy paramafijne i nie da się z nimi zadrzeć, wystawiając konkurencyjnego kandydata na wójta. Nie tylko dziś się da, lecz także nawet trzeba będzie to robić.

Tylko czy Polacy to zrozumieli? Patrząc już nie tylko na odzianie z „babciowego”. W ubiegłym tygodniu ujawniono raport radnych Koalicji Obywatelskiej z Wrocławia: Roberta Suligowskiego i Sławomira Czerwińskiego. Wyliczyli oni, że w mieście zarządzanym przez prezydenta Jacka Sutryka (bezpартyjny, ale rekomendowany przez KO) 16 radnych poprzedniej kadencji zatrudnionych było w spółkach z udziałem gminy i zarobiło w nich w blisko 5 mln zł. Jeden tylko radny – Jarosław Charłampowicz – zarobił w dwóch spółkach 850 tys. zł.

No ale przecież nikt mieszkańcom miasta tych radnych i tego prezydenta nie narzucił. Sami ich wybrali. Może po prostu chcieli, żeby tak to wyglądało?

Dlatego nie bardzo podoba mi się reakcja rządu na możliwe podwyżki opłat za żłobki prywatne. Ministerstwo Pracy, Rodziny i Polityki Społecznej wskazało bowiem, że ustawa o „babciowym” ma zapisany mechanizm ochronny – chodzi o maksymalny koszt pobytu dziecka w placówce prywatnej, którego przekroczenie oznaczać będzie, że taki żłobek nie będzie mógł brać pieniędzy rodziców ze świadczenia „Aktywnie w żłobku”. Od 1 października limit ten wynosił będzie 2,2 tys. zł. A potem co roku ma być waloryzowany.

A po co? Dajmy samorządom rządzić się samym. Ludziom zrozumieć zarówno to, że to oni wybierają sobie władze i że to dopłaty do czegośkolwiek koniec końców pochodzą z danin zbieranych od nich przez państwo w podatkach. Czy taka lekcja nie jest nam potrzebna?



Wiesław Chelminiak

Urodzili się w czasach przełomu, gdy zachodnia cywilizacja rzucała się w objęcia modernizmu. Mieli ambicję stworzenia nowej sztuki, która byłaby zaprzeczeniem starej. To się nie udało. Rewolucja surrealistów wpłynęła jednak na kulturę Europy i Ameryki bardziej niż jakiegokolwiek inny ruch awangardowy

Sam termin ukuli i rozpropagowali ludzie pióra: Guillaume Apollinaire-Kostrowicki, a po jego przedwczesnej śmierci André Breton. Nadrealizm, który w tym roku świętuje stulecie, na początku był zjawiskiem literackim, dopiero później zainfekował malarstwo, rzeźbę, film i fotografię. 15 października 1924 r. światło dzienne ujrzał manifest surrealistyczny (pierwszy z trzech napisanych przez Bretona).

Dla każdego rebelianta z mieszczańskim rodowodem wrogiem numer jeden jest burżuj. Dwudziestoosmioletni autor na przekór środowisku, które go ukształtowało, postulował „przekaz myśli bez jakiegokolwiek kontroli rozumu, bez zamierzeń estetycznych czy moralnych”.

PRE CZ Z FRANCJĄ!

Nienawistna triada – ojczyzna, rodzina, religia – już wcześniej znalazła się na celowniku młodych gniewnych. Breton, domagając się rozwiązania armii i otwarcia więzień, szydząc z uznanych artystów starszego pokolenia, był w gruncie rzeczy epigonem dadaizmu. Tamten bunt był odpowiedzią na rzeź wielkiej wojny i wypalił się wraz z jej zakończeniem. Skandal i estetyka szoku pozostały jednak skutecznymi metodami autopromocji. „Cały Paryż” był wstrząśnięty zachowaniem surrealisty, który podczas bankietu uwiesił się na żyrandolu, krzycząc: „Niech żyją Niemcy!” i „Precz z Francją!”. Interweniowała policja, co – rzecz jasna – było wodą na młyn prowokatora i jego kolegów.



René Magritte, „Ćwiczenia akrobatki”, 1928 r.

FOT. ROYAL MUSEUMS OF FINE ARTS OF BELGIUM

Freud, Lenin i dolary

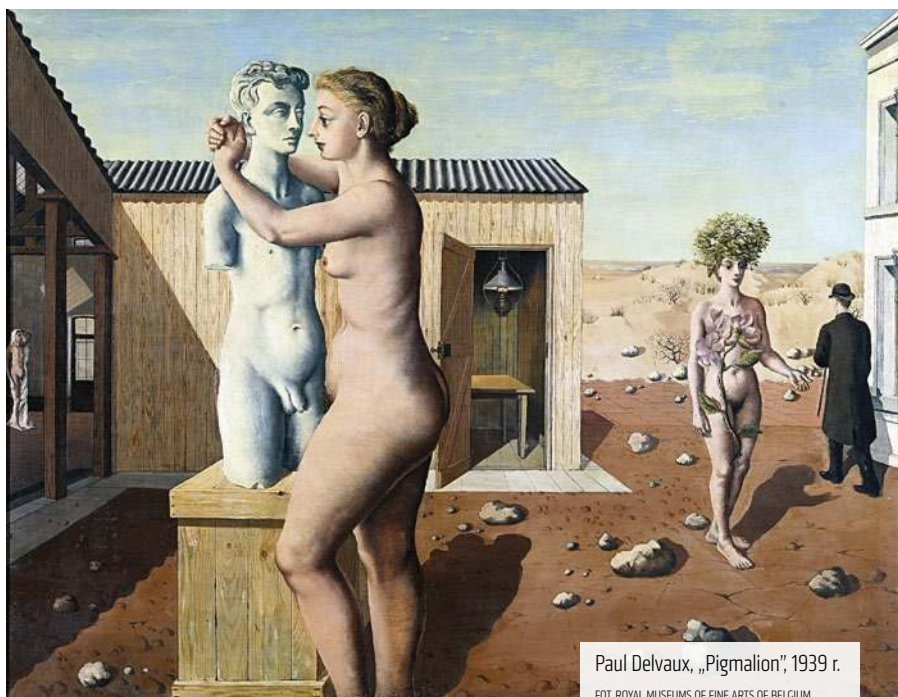
Walka z tradycją i obalanie autorytetów, acz efektowne, nie gwarantowały trwałości ruchu. Breton uznał, że rozwiązaniem problemu będzie jednoosobowe kierownictwo. Trudno dziś zrozumieć potulność, z którą utalentowani indywidualiści znosili pośmiewki tego doktrynera. Breton, jak na „papieża surrealizmu” przystało, ogłaszał listy pasterskie i rzucał klątwy na heretyków. Niestrudzenie dostarczał też podopiecznym ideologicznego paliwa, wieszcząc rychły upadek ładu cywilizacji. Chrześcijaństwo było *passé*, miała je zastąpić filozofia Wschodu.

Deklarowany antykolonializm i antyfaszizm tudzież niechęć do establishmentu pchały nadrealistów w objęcia radykalnej lewicy. Flirt grupy Bretona z komunizmem, aczkolwiek intensywny, zakończył się obustronnym rozczarowaniem. Partia nie miała (poza propagandowym) wielkiego pożytku z wolnomyślicieli o anarchistycznych ciągach. Artystów głoszących pogardę dla zdrowego rozsądku mierzył z kolei materializm towarzyszy. Dał, malując „Sześć objawień Lenina na pianinie”, *de facto* obśmiał bolszewickiego guru. Uszło mu to na sucho, ale trzy lata później Breton usunął Hiszpana z grupy za rzekome sprzyjanie faszystom.

Po prawdzie, rewolucja obyczajowa interesowała naszych bohaterów bardziej niż przewrót społeczny. Na nowojorskiej wystawie z 2001 r. „Surrealizm: pożądanie bez granic” niektóre eksponaty umieszczono za zasłoną. Ich twórcy byliby zachwyceni. Gorszenie publiki, wpuszczanie w maliny krytyków interpretujących dzieła pozbawione sensu należało wszak do ulubionych rozrywek nadrealistów. Absurdalne poczucie humoru często ratuje tę sztukę, choć można sądzić, że ów komizm nie zawsze był zamierzony.

SEKRETY PODŚWIADOMOŚCI

Surrealizm w swych szczytujących latach lubował się w eksperymentach. Uwolniwszy się od „tyrani” narracji, bezceremonialnie zmieniał sens słów i właściwości przedmiotów. Cenił wszystko, co odstawało od normy. Artystów i literatów z kręgu Bretona frapowały obłąd, magia oraz telepatia. Wierzyli, że prawdziwa sztuka powinna być sponta-



Paul Delvaux, „Pigmalion”, 1939 r.
FOT. ROYAL MUSEUMS OF FINE ARTS OF BELGIUM

niczna, rodzić się ze swobodnego przepływu strumienia świadomości i przypadkowych skojarzeń. Manifest z 1924 r. utożsamiał surrealizm z „psychicznym automatyzmem”.

Czy halucynacje i marzenia senne mówią o człowieku więcej niż jego działania na jawie? Sigmund Freud był o tym święcie przekonany. Skandaliści z Paryża uważali teorie wiedeńskiego neurologa za pewnik. Ba, naukowy przewrót na miarę kopernikańskiego! Próbowali nawet tworzyć pod wpływem hipnozy. Co ciekawe, ojciec psychoanalizy dystansował się od takich wielbicieli. Miał nawet stwierdzić, że każdy artysta ma w sobie coś z neurotyka (i odwrotnie).

Tworzenie nowej estetyki jest niełatwym zadaniem, zwłaszcza gdy każdy widzi ją inaczej. Pomysły nadrealistów miały tylko jeden wspólny mianownik: wybujała wyobraźnia. Rozłam przyspieszyło zachowanie lidera, który ochoczo piętnował odstępców, sam pogrążając się w ezoterycznych obsesjach. Gdy Francja skapitulowała przed Hitlerem, apostołowie awangardy schronili się w Stanach Zjednoczonych. Breton, człowiek słowa, nie znał angielskiego i cierpiał tentalowe męki. Artyści radzili sobie lepiej – język sztuki jest międzynarodowy. Zresztą Amerykanie jeszcze przed wojną dostrzegli komercyjny potencjał twórczości w Europie wciąż uważanej za kontrower-

syjną (naziści woleli używać przymiotnika „zdegenerowana”).

ŻYRAFA W KIELISZKU

Nie dziwota, że Stary Kontynent fetuje jubileusz surrealizmu. Ale dlaczego w Brukseli? Oczywiście miejscówką byłby Paryż. Francuzi świętują jednak 250. rocznicę debiutu impresjonistów, mają też na głowie igrzyska olimpijskie (o politycznym maratonie nie wspominając). Niemcy żyją mistrzostwami Europy w piłce kopanej tudzież retrospektywą twórczości Caspara Friedricha. W Belgii powstała zaś pierwsza poza Francją grupa surrealistyczna. Tamtejsi historycy twierdzą, że ruch, którego sprężyną był poeta Paul Nougé, trwale wpisał się w kulturę Walonów i Flamandów, zmieniając ich spojrzenie na świat.

Forsują również tezę, że nadrealizm, dziecię awangardy, korzeniami tkwi w symbolizmie. Ten zaś nad Skaldą panoszył się znacznie dłużej niż nad Sekwaną. Wystawę, przypominającą belgijski wkład w najbardziej żywotny z XX-wiecznychizmów, urządzono nie byle gdzie, bo w Centrum Sztuk Pięknych. Budynek zaprojektował Victor Horta, gwiazda architektury Art Nouveau. Tytuł ekspozycji: „Histoire de ne pas rire” (czyli „Historia braku śmiechu”) to zarazem tytuł zbioru pism Nougé’a, który skupił wokół siebie grupę podobnie myślących pisarzy i artystów.

■ Międzynarodowy sukces pisany był tylko jednemu z nich. René Magritte (bo o nim mowa) zdominował również wystawę w brukselskim Centrum Sztuk Pięknych. Od wczesnych, kubistycznych prac do płócien z powojennego, „krowiego” okresu, gdy tworzył w tempie iście stachanowskim. Rzecz jasna, kuratorzy nie pozostali głusi na vox populi. Sprowadzili na wystawę sztandarowe dzieła rodaka: „Podwójny sekret”, „Stopnie lata”, „Pamięć” i „Zamek w Pirenejach”. Nie zabrakło też najsłynniejszych kreacji Belga: portretów mężczyzny w meloniku oraz wizerunku fajki, która – jak głosi podpis – fajkę nie jest.

Tytuły obrazów Magritte’a rzadko mają coś wspólnego z ich treścią.

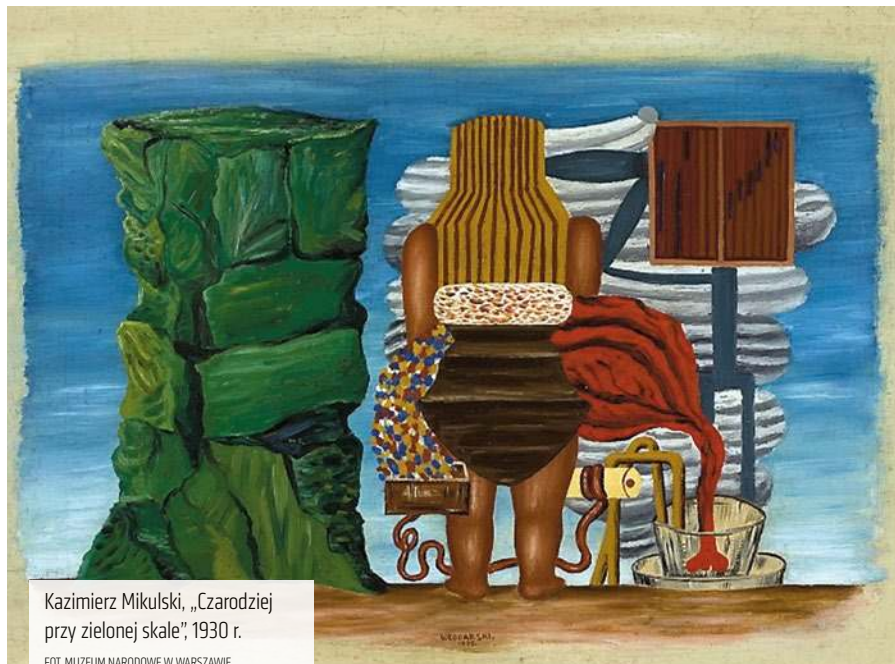
„Kryształowa kąpiel”, wybrana na logo wystawy, przedstawia żyrafę uwięzioną w kieliszku od szampana. „Pokój przesłuchań” wypełnia gigantyczne zielone jabłko.

„Gwałt” mami twarz kobiety skomponowaną z części jej ciała: piersi są oczami, pępek nosem, a łono – ustami. Dzieło to zdobiło okładkę książki Bretona „Czym jest surrealizm?”, lecz przyjaźń łącząca obu panów była raczej szorstka. Belg gardził psychoanalizą. W głębi duszy był bardziej poetą i filozofem niż malarzem. Nigdy nie sprawił sobie pracowni – malował w jadalni połączonej z kuchnią.

WŁADCY WYOBRAŹNI

Na miano artysty osobnego jeszcze bardziej zasługuje Paul Delvaux. Belgijscy nadrealiści nie uważali go za swojaka, gdyż inspirował się klasyką. Od strony technicznej to sztuka tradycyjna, wręcz naiwna. Jednak współczynnik alienacji i melancholii jest taki sam, a może nawet wyższy niż u Magritte’a. Nagie kobiety z obrazów Delvaux przypominają antyczne posągi, manekiny lub figury z wosku daremnie wyczekujące nadejścia Pigmaliона. Są elementem scenografii podobnie jak szkielety, wyludnione place, ulice czy dworce kolejowe.

Wystawa „Histoire de ne pas rire” przeszła już do historii, ale w sercu Brukseli, w Królewskim Muzeum Sztuk Pięknych, można obcować z surrealizmem międzynarodowym. Pod szyldem „Imagine!” zebrano ponad 130 dzieł sygnowanych nazwiskami takich gwiazd jak Max Ernst, Man Ray, Francis Picabia, Joan Miró czy Salvador Dalí, którego obraz „Miękka konstrukcja z gotowaną fa-



Kazimierz Mikulski, „Czarodziej przy zielonej skale”, 1930 r.

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

solką”, znany też jako „Przecucie wojny domowej”, trafił na plakaty reklamujące ekspozycję. Śmiem sądzić, że katastroficzne nastroje końca lat 30. lepiej oddaje „Anioł ognisty” Ernsta. Obaj byli ekscentrykami, lecz Niemiec popełnił błąd. Nie ogłosił się geniuszem.

Fanów jego twórczości zapewne pociesza to, że w Królewskim Muzeum wystawiono prace bez dwóch zdań wybitne. „Ubieranie poślubionej” dokumentuje słabość, którą Ernst miał do ptaków i dekalkomanii. „Narodziny galaktyki” świadczą zaś, że nawet w sędziwym wieku można pozostać marzycielem. Obraz powstał w 1969 r., gdy ludzie wylądowali na Księżycu. Breton, Nougé i Magritte tego nie doczekali. Żył natomiast Giorgio de Chirico, ojciec pierwszego nadrealizmu, który jeszcze przed pierwszą wojną światową malował widmowe miejskie pejzaże. Jak na ironię miał uczulenie na sztukę nowoczesną. Twierdził, że zabrnęła w ślepią uliczkę.

Obecność „metafizycznych” dzieł Włocha na obu brukselskich wystawach jest zrozumiała, podobnie jak pojedynczych prac Picassa, Arpa, Giacomettiego i Pollocka, przynależnych do „sztuki wyśnionej”. Kuratorka ekspozycji w Królewskim Muzeum zadbała o silną reprezentację kobiet. Jest ich 18, co stanowi jedną trzecią wszystkich autorów. Bądźmy szczerzy: z feministycznego punktu widzenia nadrealiści byli seksistami. Nie traktowali płci pięknej po partnersku.

W Brukseli postanowiono wyróżnać rachunek krzywd, umieszczając w centrum uwagi partnerki i modelki artystów, które same parały się sztuką. Belgijskie Rachel Baes i Jane Graverol były córkami malarzy, Amerykanka Dorothea Tanning – trzecią i ostatnią żoną Ernsta. Jej rodaczkę, Lee Miller, fotografować nauczył (i zaciągnął do łóżka) mistrz kolażu Man Ray. Najbliższej dzisiejszego ideału artystki wydaje się Czeszka Toyen. Nosiła męskie stroje i dobrze знаła Bretona, lecz bliższa jej sercu była twórczość markiza de Sade’a.

SKÓRKA ZIEMNIAKA

Eurodeputowani mają szansę na poszerzenie horyzontów. Ale nie tylko oni. „Imagine!” to wystawa objazdowa. Z Brukseli trafi do Paryża, Hamburga, Madrytu i Filadelfii. Każda odsłona będzie nieco inna od poprzedniej. Hiszpanie nie omieszkają pochwalić się filmami Luisa Bunuela, Amerykanie zaś – pokaznym zbiorem prac Marcela Duchampa.

Warszawa obchodzi jubileusz, przypominając surrealistyczne wątki w polskiej sztuce. Zgodnie z aktualną tendencją, każąc rozszerzać, czasowo i geograficznie, zasięg ruchu.

Historia nadrealizmu nie skończyła się bowiem wraz z odejściem generacji pionierów. Owszem, synonimem nowoczesności stała się abstrakcja, lecz fantazji nikt nie stracił z piedestału, na którym umieszcili ją Ernst i spółka. Kry-

tycy dopatrywali się paryskich inspiracji u artystów spod znaku pop-artu i action painting. To śliska kwestia. Nie ulega natomiast wątpliwości, że surrealizm był bez przerwy obecny w modzie, kinie i reklamie. „Trwałość pamięci” popularnością przebija arcydzieła renesansu. W warszawskim Muzeum Narodowym reprodukcje ikonicznych prac królów wyobraźni, wyświetlane na ekranie, są zaledwie kontrapunktem.

W siedmiu salach udało się zmieścić ponad 300 eksponatów. Najwyraźniej polscy nadrealiści wcielali w życie zasadę „małe jest piękne”. Nie byli ulubieńcami władzy ani publiczności. Notalie mieli konserwatywny gust. W II RP najmilej widzianym stylem było art déco z elementami zakopiańszczyzny. W PRL odstępstwa od neoklasycyzmu zaczęto tolerować dopiero po śmierci Stalina. Historia polskiego surrealizmu zaczęła się w 1930 r. we Lwowie, wraz z pierwszą wystawą Zrzeszenia Artystów Plastyków Artes. Wiodącą postacią tego środowiska był Henryk Streng alias Marek Włodarski, który studiując w Paryżu, poznał luminarzy tamtejszej awangardy, na czele z Bretonem.

Ów wątek zauroczenia „stolicą świata” tudzież buntowniczymi trendami w sztuce i literaturze powtarza się w wielu biografiach. Bakcyła połąkali m.in. Tadeusz Kantor i Jerzy Tchorzewski (jego „Dychotomia słońc” w 1947 r. znalazła się na paryskiej wystawie



surrealistów). Jerzy Kujawski, który osiadł nad Sekwaną na stałe, wzorem francuskich kolegów zdrapywał farbę z obrazów (ta metoda twórcza nazywa się gratażem). Po wojnie nasi artyści sporadycznie kolaborowali z międzynarodowym ruchem Phases, oficjalnie wypierając się związków z nadrealizmem. Dziś są one powodem dumy.

Gdyby z Polski nie uczyniono satelity czerwonego imperium, bez problemu uzyskałaby członkostwo europejskiej wspólnoty surrealistycznej. Proza Witkacego i Schulza, kolaże Jerzego Skarżyńskiego i animacje Alfreda Lenicy święciłyby triumfy po obu stronach Atlantyku. Po ujrzeniu obrazów Teofila Ociepki, górnika okultysty, Breton uznałby swoją misję za wypełnioną. Nad Wisłą nikogo by to nie obeszło, bo mielibyśmy od dawna własnego papieża w osobie Adama Ważyka. Fortunatę Obrąpalską fotografującą pajęczynę i skórę z ziemniaka studenci nowojorskich uczelni artystycznych nosiliby na rękach.

TRWAŁOŚĆ FANTAZJI

Historia potoczyła się inaczej. Może dlatego fantastyczne wizje polskich twórców z wystawy „Surrealizm. Inne mity” wydają się bardziej ponure niż ich kolegów z Zachodu. Kuratorka Hanna Doroszek chyba nie ceni artystów wybierających jasną stronę ulicy, takich jak Kazimierz Mikulski.

Po wizycie w Muzeum Narodowym zacząłem podejrzewać, że najbardziej konsekwentnym polskim surrealistą był Władysław Hasior.

Trzeba trafu, w dawnej Bibliotece Królewskiej otwarto wystawę „Trwałość

przeżycia”. Pretekstem jest 50. rocznica eksponowania prac Hasiora w murach odbudowywanego zamku. Skończyło się po dwóch tygodniach, autor „Wyszywania charakteru” już wtedy bowiem wzbudzał uczucia ambiwalentne. Odebrał solidne akademickie wykształcenie, zwieńczone ministerialnym stypendium w Paryżu, lecz pielęgnował wizerunek prostaczka. Jego asamblaże, świadczące o smolistym poczuciu humoru, przetrwały próbę czasu. Brawa dla konserwatorów, choć ich wysiłki zdałyby się psu na budę, gdyby dotyczyły epigona wykorzystanego z rodzimej kultury.

Hasior zasłynął z uwagi, że fantazja jest piątym żywiołem. Nonkonformizm twórcy „Chuci domowej” miał jednak granice. Zadeedykowanie monumentalnych „Organów” utrwalaczom władzy ludowej i wsparcie stanu wojennego wepchnęły go do narodowego czyścica. Dwadzieścia pięć lat po śmierci Hasiora „ludowość” znów jest w cenie, podobnie jak szalone pomysły. W Muzeum Narodowym śmiesz, tumani i przestrasza instalacja Goshki Macugi z lewitującą spirytystką Heleną Bławatską. Czyżby rację mieli malkontenci twierdzący, że to nie jest sztuka, tylko kpiny ze sztuki?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

„Imagine!” (Bruksela, Królewskie Muzeum Sztuk Pięknych)

Wystawa była otwarta do 21 lipca.

„Surrealizm. Inne mity” (Warszawa, Muzeum Narodowe)

Ekspozycja była czynna do 11 sierpnia.

„Hasior. Trwałość przeżycia” (Warszawa, Zamek Królewski)

Wystawa otwarta do 8 września.



Marek Włodarski, „Świąteczne popołudnie świąrszcza nad miastem”, ok. 1948 r.

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Miłuj nieprzyjaciół



Piotr Gociek

„Próba wiary” nawiązuje do głośnej „Misji” Rolanda Joffého nie tylko tym, że kaznodzieja jest tu postacią pozytywną



Wspaniałe pejzaże Nowej Zelandii: majestatyczne góry, dziewicze lasy, gęste mgły. Samotnie szybujący ptak w ułamku chwili pada ofiarą latającego drapieżcy. Piękno zamienia się w horror: oto świat, który wygląda na raj, a w którym tak naprawdę panuje brutalne prawo silniejszego. Takim obrazem otwiera swój najnowszy film Lee Tamahori.

Chwila później: sztorm na Morzu Tasmana. Kruchy statek Brytyjczyków przetrwa ciężkie chwile, ale straci jednego z członków załogi. Po burzy, nim ciało zmarłego zostanie powierzone morzu, rozbrzmia słowa Psalmu 107: „Ci, którzy na statkach ruszyli na morze...”, ale wypowiadający je Thomas Munro szybko odejdzie od biblijnego tekstu, by zamiast pocieszać żałobników (wszak jest to dziękczynny psalm ocalonych),

przypomnieć o tym, że ruszamy w świat, wiedząc, iż w nieprzewidzianej godzinie przyjdzie nam za to zapłacić wielką cenę.

CZASEM W SEDNO

Jest rok 1830. Thomas Munro, świecki kaznodzieja i były żołnierz, dotarł na drugi koniec świata, by nieść kapłańską posługę w niewielkiej osadzie Epworth założonej przez Brytyjczyków. Przybysze nie są konkwistadorami, lecz kupcami. Ziemię dzierżawią od jednego z miejscowych wodzów. Nie wszystkim tubylcom to się podoba. Maoryskie plemiona nieustannie walczą ze sobą, mało które jest przychylne białym. Zaraz po wylądowaniu Munro jest świadkiem krwawej rozprawy między wojownikami plemienia, któremu przewodzi Akatarewa, a ludźmi jego konkurenta, wodza Maianui. Uda mu się ocalić Ragimai, córkę tego ostatniego.

Jej mąż ma mniej szczęścia. Munro bierze Ragimai pod swoją opiekę.

W Epworth życie jest niełatwe, a zyski niepewne. Jedni ciulają na powrót do Anglii, inni lękają się niepomysłnego dla kolonistów obrotu wojny plemiennej. Miejscowi wojują ze sobą nieustannie w myśl zasady „oko za oko, ząb za ząb”. Wojna nie zna litości – usłyszymy w pewnym momencie od jednego z wodzów – giną kobiety, giną dzieci, ale w ostatecznym rachunku liczy się tylko to, kto wygrał.

Z napisów otwierających „Próbkę wiary” („The Convert”, 2023) dowiadujemy się, że przez ponad 500 lat Maorysi walczyli ze sobą drewnianą i kościaną bronią własnego wyrobu. Dopiero w wieku XIX dotarły do nich muszkiety i chrześcijaństwo. Lee Tamahori opowiada o jednym i o drugim, czasem trafiając w sedno, a czasem gubiąc drogę. Bez wątpienia trudno podczas



Guy Pearce jako świecki kaznodzieja
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Przemoc to główny temat większości filmów Lee Tamahoriego, także tych niepoważnych

seansu nie wspomnieć „Misji” Rolanda Joffého, głośnego filmu z 1986 r., w którym pamiętną kreację stworzył Robert De Niro. Thomas Munro, którego zagrał Guy Pearce, to podobna figura. Też ma za sobą pełną przemocy przeszłość, także szuka odkupienia wśród tych, których w poprzednim życiu skrzywdził: ofiar podboju. I on również, choć w nowym wcieleniu odrzuca przemoc, ostatecznie sięgnie po broń, śpiesząc z pomocą skrzywdzonym.



Filmowi mieszkańcy Epworth zbudowali kościół, dom i opłacili podróż misjonarza
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Przemoc to główny temat większości filmów Tamahoriego, także tych niepoważnych. Tych ostatnich nakręcił wiele w Hollywood (łącznie z Bondem nr 20, czyli „Śmierć nadejdzie jutro”). Przez 15 lat od debiutu okrzykniętego nie tylko w Nowej Zelandii rewelacją sezonu („Tylko instynkt” – „Once Were Warriors”, 1994), filmu ambitnego i drażniącego, Tamahori podpisywał się pod produkcjami, które równie dobrze mógł nakręcić kto inny. „Nieugięci” (1996) – rutynowy kawałek o gangsterach, „Lekcja przetrwania” (1997) – thriller survivalowy. „W sieci pajaka” (2001) – ekranizacja jednej z powieści Jamesa Pattersona o detektywie Alexie Crossie. „xXx 2: następny poziom” (2005) – tandetna political fiction. „Next” (2007) – jedna z najbardziej nijakich adaptacji opowiadań Philipa K. Dicka. No i wspomniany już nieszczęsny Bond, zamykający erę Pierce’a Brosnana jako agenta 007. Widać – lepszych propozycji nie było albo Tamahori wybierał nie najlepiej (choć z korzyścią dla portfela).

„Próba wiary” pokazuje, że Lee Tamahori talentu nie stracił, zmuszony go był jedynie w Hollywood ukrywać. Bo przecież debiutancki „Tylko instynkt” broni się do dziś: gniewna, pełna żalu i wściekłości opowieść o przemocy i upadku tradycyjnych wzorców męskości. Główna bohaterka, Beth Heke, rzuciła w nim swemu oprawcy w twarz słowa: „Nasi ludzie byli kiedyś wojownikami. Ale w przeciwieństwie do ciebie byli to ludzie mający manę i dumę; ludzie z duszą” („mana” ma w religii Maorysów wiele znaczeń, najprościej ujmując, jest to nadprzyrodzona siła, z której płyną prestiż i władza). „Próba wiary” to opowieść o czasach, kiedy mana

przenikała Maorysów, a plemiona były niezależne i bitne. Ich wojowniczość miała zaś wejść na nowy poziom dzięki dostarczanej przez brytyjskich kupców nowince – broni palnej.

Lee Tamahori w swoim najnowszym filmie próbuje połączyć ogień i wodę. Z jednej strony sięga po niepoprawną dziś politycznie figurę czyniącego dobro misjonarza, z drugiej zaś darzy wielką empatią i sympatią Maorysów, przeciwstawiając ich chciwym i zdeprawowanym białym. Na szczęście nie maluje obrazu nadmiernie prostackiego i czarno-białego. Mieszkańcy Epworth – Brytyjczycy, a więc anglikanie – pełni są uprzedzeń wobec tubylców, ale również wielką niechęcią darzą jedynego w osadzie katolika. Jednocześnie nie zamierzają krzewić wiary ogniem i mieczem, wolą handlowe umowy i obopólne zyski. Maorysi wypadają na ich tle lepiej (w każdym razie bardziej malowniczo) do momentu, kiedy uświadomimy sobie, że nie tylko bez litości wyrzynają swoich wrogów, lecz także ich zjadają.

Zaznaczyć trzeba jednak, że Thomas Munro nie jest typowym misjonarzem. Nie przybył do Nowej Zelandii niesiony zapałem nawracania, dostał po prostu propozycję od mieszkańców Epworth, którzy dotąd obywali się bez księdza. Zbudowali kościół, zbudowali dom i opłacili podróż swojego nowego kaznodziei. Munro wyznaje w pewnej chwili, że nie mogą znieść ciężaru starych grzechów, szukał najpierw w różnych zakątkach świata śmierci. Bóg wysłał go jednak w niespodziewaną podróż. Wielkie dzieła zaczynają się jednak od drobnych czynów. Oto towarzyszący mu maoryski młodzieniec sam z siebie zaczyna słuchać tego, co ma do powiedzenia dziwny biały

■ człowiek z czarną książeczką w ręku. A potem próbuje samemu skłecić krzyż. Cóż to za nowy dziwny wynalazek? „Jeśli chce pan zbawić ich dusze, to czeka pana sporo pracy” – mówi Munro kapitan statku, na którego pokładzie przybił do nowych brzegów. Ma na myśli tubylców, ale szybko się okaże, że pomocy potrzebują tu wszyscy: biali, Maorysi, a nawet sam kaznodzieja targany wyrzutami sumienia. Inna sprawa, że nie wszyscy sobie to jeszcze uświadamiają.

TRZY TROPY

„Próbę wiary” oglądać można na trzy sposoby. Trop najbardziej oczywisty, bo wizualny, podpowiada nam śledzenie tej historii jak czegoś w rodzaju nowozelandzkiego „Tańczącego z wilkami”. To nie biali przybysze są tu najważniejsi, lecz mieszkańcy wyspy (waham się napisać „rdzenni”, bo inni przecież też skądś na łodziach przybyli). Nie jestem fachowcem od historii Nowej Zelandii, ale ci, którzy się na tym znają, chwalą Tamahoriego i jego ekipę za wiarygodne i porywające odtworzenie obrazu życia ery prekolonialnej. Jako kinoman mogę potwierdzić tylko, że nowozelandzki reżyser jest jednym ze współczesnych mistrzów opowiadania obrazem i że wizualna warstwa filmu jest imponująca.

Drugi trop – religijny. Ważny, choć nie nachalny. O najważniejszych rzeczach już wcześniej wspominałem; Thomas Munro

nie chce niczego osiągnąć na siłę, jeśli zapracuje na szacunek dla siebie i głoszonych przez siebie słów, to przykładem, dobrym uczynkiem i miłością bliźniego niezależnie od tego, jaki ma kolor skóry. Scena, w której poznajemy ponurą przeszłość kaznodziei, mogła się ześliznąć w tandetę i banał, ale Guy Pearce nadaje jej wiarygodność swoją interpretacją, a reżyser Lee Tamahori zaskakującym kontekstem. Oto grzesznik spowiadać się musi przed obcymi z odmiennej kultury.

Trop trzeci wskazywany jest najczęściej przez krytyków z Nowej Zelandii i Australii oraz przez znawców historii tego kraju. Jak ładnie ujął to recenzent z „Sydney Morning Herald”, Lee Tamahori zamyka filmem „Próba wiary” nieformalną trylogię maoryską, o której sam nie wiedział, że ją nakręci. Debiutancki „Tylko instynkt” był lamentem nad tym, jak nisko upadł lud niegdyś dumny i dzielny. Mało znany w Polsce „Patriarcha” („Maha-na”, 2016) był rodzinną sagą osadzoną w latach 60. XX w., czyli w czasach jeszcze przed odrodzeniem maoryskiej kultury, opowieścią ukazującą skalę dyskryminacji. „Próba wiary” cofa nas do chwil, kiedy to biali przybysze byli intruzami na ziemi maoryskich plemion. Wszystkie te filmy uzupełniają się nawzajem, tworząc spójną emocjonalnie opowieść.



LEE TAMAHORI
„PRÓBA WIARY”

Jakim obrazem zamyka Lee Tamahori dzieje Thomasa Munro? Znów patrzymy na niebo, ale zamiast krwawych łowów widzimy stado ptaków bezpiecznie przemierzających przestworza. Przeszliśmy z czasów „oko za oko” i „liczy się tylko, kto wygra” do czasów „dla każdego znajdzie się miejsce pod wielkim dachem nieba”. Z czasów przedchrześcijańskich do chrześcijańskich, od

pomsty do przebaczenia. Ale postawienie kropki w ten sposób byłoby zbyt łatwe i jednoznaczne, Tamahori zaś jednoznaczny być nie chce. Nieco wcześniej widzimy, jak nowy maoryski król negocjuje z wysłannikami brytyjskiego monarchy. Kaznodzieja Munro występuje jako doradca tubylców. Co oczywiście sprawia, że trzeba się zastanowić nad znaczeniem oryginalnego tytułu filmu: „The Convert”. Na twarzy Munra widzimy maoryskie tatuaże. Kto tu kogo nawróci? Wcześniej przekonywał Maorysów, by przestali się nawzajem mordować nie dlatego, że trzeba miłować swoich nieprzyjaciół, lecz dlatego, że zjednoczeni mają większą szansę na skuteczny opór wobec zakusów białych. Zatem co tu ważniejsze: zbawienie duszy czy Realpolitik?

Wszystkie te niejednoznaczności i sprzeczności zapisywał będę po stronie zalet filmu Tamahoriego. Dokonał sztuki niełatwej – w czasach, kiedy od kina dotykającego problemów religijnych i tematyki kolonialnej wymaga się prostactwa, jednoznaczności i ordynarnej wręcz służalczości wobec obowiązujących wykładni ideologicznych, nakręcił opowieść otwartą na interpretację. Co oczywiście oznacza, że zwolennicy filozofii cepa w kinie będą poirytowani.

Dla mnie szkłanka jest do połowy pełna, a nie do połowy pusta. „Próbę wiary” można od niedawna oglądać w streamingu (Amazon Prime, Cineman, Canal+ Online, Rakuten, Polsat Box Go). Tamahori pięknie maluje obrazem, Guy Pearce tworzy ciekawą kreację jako Thomas Munro, Tioreore Ngatai-Melbourne jest zachwycająca jako młoda Rangimai (i szerzej – cała maoryska obsada jest doskonała). Rzadko mamy okazję oglądać film, który nie popada ani w hollywoodzkie klisze, ani w nieznośną ciężkość sztuczności produkcji festiwalowych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



„Próbę wiary” Lee Tamahori zamyka nieformalną trylogię maoryską

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Bracia

Amerykane mają braci Niland i braci Sullivan, Francuzi braci Jardot, a Polacy braci Krajewskich” – to trafne porównanie dr. hab. Przemysława Wywiśla często przytaczane jest w kontekście rodziny Krajewskich. Amerykanie na kanwie historii braci Niland nakręcili znakomitego „Szeregowca Ryana”, historia Krajewskich to także gotowy filmowy scenariusz.

Rodzina głęboko patriotyczna, a w niej czterech braci. Każdy z nich rwie się do walki z Niemcami, choć nie każdy musi. Wojnę przeżywa tylko jeden. Marian zginął pierwszy, w Szpitalu Ujazdowskim, po tym, jak 15 września 1939 r. został ranny podczas obrony Warszawy. Leon, który zginął 27 września, nie dostał powołania, poszedł na ochotnika. W całym krótkim życiu tylko raz widział na oczy swojego synka, Wojciecha. Władysław, pracownik zakładów zbrojeniowych w Skarżysku-Kamiennie, został aresztowany przez Niemców, gdy wyruszył do stolicy szukać grobu brata. Odmówił współpracy. Został stracony w 1940 r. Wojnę przeżył tylko Jerzy, który także walczył z najeźdźcą.

Wystawa trafiła do Michniowa dzięki współpracy z Muzeum Armii Krajowej im. gen. Emila Fieldorfa „Nila” w Krakowie. ©©

GDZIE? *Mauzoleum Martyrologii Wsi Polskich w Michniowie*
KIEDY? *do 15 stycznia 2025 r.*



FOT. MAUZOLEUM MARTYROLOGII WSI POLSKICH W MICHNIOWIE



FOT. CS DWÓR KARWACJANÓW W GORLICACH

BOZNAŃSKA W GORLICACH

Wystawa Muzeum Narodowego w Krakowie prezentowana będzie w Gorlicach do 20 października. Portrety, martwe natury oraz rzadkie w twórczości Olgi Boznańskiej pejzaże. „Jej twórczość malarska wyrosła w atmosferze nostalgii, ale i fermentu i ożywienia intelektualnego młodopolskiego Krakowa. Szukała również inspiracji w sztuce europejskiej, fascynował ją Velázquez czy James Whistler” – przypomina muzeum. ©©

GDZIE? *Galeria Sztuki Dwór Karwacjanów w Gorlicach*
KIEDY? *do 20 października*



GRZEGORZ BRZÓZOWICZ

NA SŁUCH

Romans w Dublinie

Po trzech albumach, na których muzycy Fontaines D.C. zgłębiali literacką spuściznę Dublina, zespół nagrał płytę o bardziej przyziemnej tematyce. Wokalista Sam Chatten określił „Romance” jako serię śnieżnych kul wypełnionych schwytanymi chwilami i emocjami.

„Romance” jest przełomową płytą w karierze zespołu, i to nie tylko ze względu na treści. Członkowie Fontaines D.C. (nazwa zespołu pochodzi od postaci z filmu „Ojciec chrzestny” – Johnny’ego Fontane’a, a D.C. to Dublin City) odeszli od surowości punkowych schematów i zaczęli pisać piosenki. Raz lepsze, raz gorsze. Jak sami wyznali, inspirowały ich m.in. japońska manga i włoskie kino, a utwór „Horseness

Is the Whatness” wciąż nawiązuje do ich irlandzkich korzeni, a dokładniej „Ulissesa” Jamesa Joyce’a.

Zapewne wielu fanów uzna te zmiany za pójście w stronę komercji. Faktycznie, utwory są bardziej wygładzone niż wcześniej, na co niewątpliwie wpływ miał producent James Ford, który w ostatnich latach nagrywał z Pet Shop Boys, Blur i Gorillaz. Na szczęście na płycie są utwory znakomite („Romance”, „Starbustler”, „Desire”), choć środkowa część albumu jest nieco nużąca. Dobrze wrażenie ratuje zamykający płytę utwór „Favourite”, stanowiący doskonałą mieszankę nadziei, nostalgii i melancholii. W warstwie brzmieniowej jest to spotkanie The Cure z tradycją dream popu. ©©



★★★★★
FONTAINES D.C.
„ROMANCE”
XL



★★★★★
JON ANDERSON & THE BAND GEEKS
„TRUE”
FRONTIERS RECORDS

W Yes został już tylko jeden oryginalny Yes. Nie jest nim Jon Anderson, ale za to wokalista dostojnie reprezentuje chwałę zespołu z najlepszych dni. W październiku Jon kończy 80 lat, a mimo to jego alttenor brzmi świetnie. ©©



★★★★★
BLUR
„LIVE AT WEMBLEY STADIUM”
PARLOPHONE

Giganci brit popu dali w ubiegłym roku na stadionie Wembley dwa największe koncerty w swej 33-letniej karierze. Na podwójnym albumie zespół doskonale balansuje między uczuciami alienacji i melancholii zawartymi w tekstach a energicznym, agresywnym popem. ©©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK



★★★★★
REŻ. ROBERT CONNOLLY
„SUSZA 2: FORCE OF NATURE”
 („FORCE OF NATURE: THE DRY 2”)
AUSTRALIA 2023

wyst. Eric Bana,
 Anna Torv, Deborah
 Lee Furness

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Zaginiona

Pięć kobiet weszło do lasu. Wróciły cztery. Co właściwie się wydarzyło?

Dlaczego zwykła korporacyjna wycieczka integracyjna zamieniła się w tragedię? Sprawę próbuje wyjaśnić detektyw Aaron Falk, którego poznaliśmy w filmie „Susza”. Polecałem kiedyś tę produkcję czytelnikom „Do Rzeczy” (nr 34/2021); był to jeden z najlepszych thrillerów roku. Ciąg dalszy nastąpił – tak jak w literackim oryginale, bo australijska pisarka Jane Harper napisała trzy tomy opowieści o Falku.

Ekranizacja tomu drugiego – „Siła natury” – trafiła niedawno w Polsce do streamingu. Tytuł („Susza 2: Force of Nature”) zwodzi: tym razem nie jesteśmy na przesuszonym pustkowiu, lecz wśród gęstych lasów i stro-

mych gór stanu Wiktorja, gdzie wszystko ocieka wodą. O żadnej więc suszy nie może być mowy, co nie zmienia tego, że zdjęcia natury kręcone w górach Dandenong i Yarra Valley są zachwycające.

Detektyw Falk ma własne powody, dla których chce koniecznie odnaleźć zaginioną Alice, ma też własne traumy związane z niebezpiecznymi, dzikimi górami. Opowieść toczy się trzema torami: na zmianę śledzimy wydarzenia w trakcie feralnej wyprawy, to, co się dzieje podczas poszukiwań, oraz to, co przydarzyło się młodemu Falkowi pośród tych samych szczytów, tyle że cztery dekady wcześniej. Trochę za dużo tych grzybów w barszczu – w odróżnieniu od pierwszego filmu, który perfekcyjnie łączył dwie

polsat box go

player

Rakuten

linie czasowe, teraz nadmiar sytuacji dramatycznych paradoksalnie dramatyzm filmu osłabia, zamiast wzmacniać. Być może lepiej rzecz sprawdziłaby się w formie miniserii, może mocniej wybrzmieć powinien poboczny wątek seryjnego zabójcy sprzed lat.

Nie zmienia to tego, że „Susza 2” to solidna robota, zwłaszcza na tle sierpniowych propozycji konkurencji. Wielkie serwisy zaproponowały widzom w ostatnich tygodniach własne pełne gwiazd kosztowne premiery kryminalne: „Układ” (Netflix) i „Podżegacze” (Apple TV+). Tak słabe i puste, że nawet nie chce mi się ich recenzować. Na tym tle film Connolly’ego wyróżnia się choćby tym, że widzimy w nim prawdziwych ludzi i prawdziwe ludzkie dramaty, a nie kukiełki. Jest więc nieco przygnębiający, bo tak jak w prawdziwym życiu okazuje się, że dobre intencje przynoszą czasem fatalne skutki, a zwycięstwo ostatecznie zbyt często miewa smak popiołu. ©©



NOWE SERIALE: „PARA IDEALNA”

Kłopoty na bogato: w dniu wystawnego ślubu w Nantucket morze wyrzuca ciało pierwszej drużyny. I nagle wszyscy są podejrzani, w tym matka pana młodego, znana pisarka (w tej roli Nicole Kidman). Nowa miniseria Netflix’a to ekranizacja powieści kryminalnej Elin

Hilderbrand, wydanej właśnie w Polsce przez Poradnię K. W obsadzie również Liev Schreiber i Dakota Fanning. ©©

Piotr Gociek

• „Para idealna” („The Perfect Couple”), Netflix 2024

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 4 „Kulawe konie” („Slow Horses”)
- sezon 2 „Władca Pierścieni: Pierścienie Władzy” („The Lord of the Rings: The Rings of Power”), USA 2024
- reż. Doug Liman „Podżegacze” („The Instigators”), USA 2024

Dama i diabeł

KINO

Ulubiony bohater Ameryki: seryjny, bezlitosny morderca powrócił! J.T. Mollner, pojętny uczeń Tarantina, dysponując nader skromnym budżetem, stworzył widowisko elektryzujące. Księgowi z Hollywood na pewno to zauważą i docenią. Krytycy? Wystarczy użyć taśmy 35 mm i poprzestawiać akty, by padli na kolana. Reżyser, urodzony w Las Vegas, posiadał również inną cenną umiejętność. Umie manipulować widzami. Ani się obejrzyś, a już kibicujesz psychopacie. Zresztą ludzka powierzchowność może być myląca. Ten złoczyńca jawi się raczej figurą bosko-diabelskiego chowu.

W „Strange Darling” zbrodnie się celebrytuje. Ofiara przed śmiercią musi zaznać cielesnych

lub chociaż psychicznych katuszy. Jasne, J.T. Mollner tego nie wymyślił. W thrillerach i horrorach epatowanie sadyzmem jest normą. Na ekranie można do woli eksterminować starców, nieletnich, kobiety, policjantów oraz hippisów (ci ostatni i tak są na wymarcu). Narkotyki? Nie ma problemu.

Odwaga opuszcza twórców, gdy wkraczają do krainy Eroś. Tu dopuszczalne są jedynie werbalne sprośności. Film, jak mniemam, spodoba się amatorom mocnych wrażeń, obrońcom prawa do posiadania i używania broni tudzież romantyk. Motywem tej krwawej odysei jest bowiem poszukiwanie uczucia. A miłość – jak śpiewał zespół Nazareth – rani, kaleczy i zostawia blizny. ©©

Wiesław Chełminiak



★★★★★
REŻ. J.T. MOLLNER
„STRANGE DARLING”
USA 2023

wyst. Willa Fitzgerald, Kyle Gallner, Barbara Hershey



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KAMIENNY OKRĘT

arte

Statystyczny urlopowicz na Monciau i Krupówkach czuje się jak ryba w wodzie. Są jednak ekscentrycy, którym overtourism przeszkadza i którzy wolą raczej zrezygnować z podróży niż kontemlować cuda natury i kultury w asyście tłumy bliźnich. Dla nich kręcone są takie filmy jak „Enigmatyczny labirynt”, solenny dokument o 1500-letniej historii jednej z najsłynniejszych wysp świata. Mont-Saint-Michel to architektoniczny pa-limpsest. Sanktuarium goszczące pielgrzymów pragnących zobaczyć kawałek płaszcza Archaniola ciągle przebudowywano. Klasztor wzniesiony na skale był twierdzą i więzieniem. Rewolucjoniści umieścili w nim opornych księży. Rozmowy z archeologami, których odkrycia pozwoliły ustalić pierwotny wygląd i przeznaczenie płataniny pomieszczeń, schodów i korytarzy, uzupełniają animacje. Film, zamiast zniechęcać, zachęca do złożenia wizyty na krańcu Normandii. Ktoś tu się całkiem pogubił. ©©

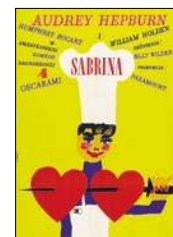


★★★★★
REŻ. MARC JAMPOLSKI
„MONT-SAINT-MICHEL. ENIGMATYCZNY LABIRYNT” („LE LABYRINTHE DE L'ARCHANGE”)
FRANCJA 2017

CÓRKA SZOFERA

prime video

Komedie znoszą próbę czasu lepiej od dramatów, a bajki nie starzeją się w ogóle. „Sabrina”, która 70 lat temu zauroczyła publiczność po obu stronach Atlantyku, już introdukcją zdradza, że z realizmem nie będzie tej historii po drodze. Tytułowa bohaterka „chce osiągnąć Księżyc”, czyli wydać się za milionera. Do wyboru ma dwóch: czarującego utracjusza i zgorzkniałego pracoholika. Kopciuszek A.D. 1954 przeczuwa, że ładna buzia, paryska fryzura tudzież ciuchy od Givenchy'ego rekompensują brak posagu. Film Wildera, razem z „Rzymskimi wakacjami”, uwiecznił dziewczęcość Hepburn, uderzającą zwłaszcza na tle zmęczonego życiem Bogarta. Na planie gwiazdor ponoć pastwił się nad Audrey, gdy zorientował się, że obiektyw kamery częściej wycelowany jest w nią niż w niego. Scenariusz, choć pisany na kolanie, skrzy się humorem. „Demokracja jest w gruncie rzeczy niesprawiedliwa” – pisał tata Sabrina. Prorok? ©©



wyst. Audrey Hepburn, Humphrey Bogart, William Holden

★★★★★
REŻ. BILLY WILDER
„SABRINA”
USA 1954

Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „AGE OF MYTHOLOGY: RETOLD”

Powrót do przeszłości w bardzo dobrym stylu. Klasyczna strategia RTS w nowej odsłonie wygląda, brzmi i działa bardzo dobrze, a co najważniejsze – dostarcza dużą dawkę podszytą nostalgią przyjemności z gry. Być może fabuła tej gry

osadzonej w czasach antycznych nie porywa, ale twórcy „Age of Empires” zrobili przed ponad 20 laty kawał dobrej roboty, oddając w ręce graczy bardzo dobry RTS, w którym w starciu czterech cywilizacji uczestniczą mityczne stworzenia i starożytni



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
bogowie. Po odświeżeniu gra „AiM” broni się i dziś. ©© Radosław Wojtas
• Gatunek: strategiczna, RTS
• Platforma: PC, XSX
• Producent; wydawca: World's Edge/Forgotten Empires; Xbox Game Studios



KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Henryk Sławik: Ocalenie

Kiedy w 2003 r. ukazało się pierwsze wydanie „Czerwonego ołówka”, opowieści Elżbiety Isakiewicz o – jak głosi podtytuł tej książki – „Polaku, który ocalił tysiące Żydów”, nazwisko Henryka Sławika dopiero stawało się rozpoznawalne. Od tamtego czasu przybyło książek o nim, zrealizowano film dokumentalny, wzniesione zostały pomniki (ostatni trzy lata temu w Szerokiej, dzielnicy Jastrzębia-Zdroju, miejscu urodzenia bohatera), patronuje też trzem szkołom na Śląsku, a Poczta Polska wydała znaczek z jego podobizną. A jednak autorka „Czerwonego ołówka” na końcu przedmowy do obecnego, rozszerzonego wydania książki przywołuje swoje marzenie sprzed 20 lat, wciąż to samo: „Że – powiedzmy – jadę tramwajem, a jeden z pasażerów czyta sobie Sławikową historię. Albo pytam napotkanego nastolatka:

– Wiesz, kto to był Henryk Sławik?

A on, obruszony, odpiera:

– No pewnie! A pani nie wie?”

Ten patriota polski, powstaniec śląski, działacz PPS i redaktor „Gazety Robotniczej” po wybuchu wojny 1939 r. znalazł się na Węgrzech, gdzie organizował pomoc polskim uchodźcom. We współpracy z delegatem węgierskiego rządu, Józsefem Antallem, wystawiał dokumenty ratujące życie – w sumie – ok. 30 tys. uchodźców z Polski, w tym 5 tys. Żydów. Ci ostatni z dnia na dzień stawali się katolikami, co nie byłoby możliwe bez pomocy duchownych, w tym węgierskiego prymasa i nuncjusza apostolskiego. Sławik, przedwojenny antyklerykał, kooperował z księżmi – czytamy – „na szeroką skalę bez oporu, ręka w rękę,

na śmierć i życie”, bo dla niego „liczyło się tylko ocalenie istnień i nic więcej”.

W Vacu pod Budapesztem utworzył oficjalnie nazwany Domem Polskich Sierot sierociniec dla dzieci żydowskich: „Kiedyś Antall trochę żartem, trochę serio zapytał księdza Wilk-Witośławskiego, który sprawował pieczę nad duszpasterstwem, czy to nie grzech nadawać Żydom nową tożsamość, ale ojciec Piotr zaczerpnął powietrza i odparł z powagą: – W zaistniałych okolicznościach to się Bogu podoba. Bóg bowiem nie nazwisko stworzył, lecz człowieka. I uczynił to, by na Ziemi zaistniało rozumne życie. Skoro papiery ratują ludzkie życie, jest to czyn błogosławiony”.

O pamięć o polskim bohaterze upominał się jego współpracownik z czasów budapeszteńskich, imiennik Sławika – Henryk Zvi Zimmermann. Ten izraelski polityk, m.in. były wiceprzewodniczący Knesetu, napisał wspomnienia pod wymownym tytułem „Przeżyłem, pamiętam, świadczę”. „Zabiegał – czytamy w »Czerwonym ołówku« – żeby o tamtych wydarzeniach powstał film na miarę »Listy Schindlera«, i wytrwale szukał na ten cel sponsorów. Ze swoją idée fixe wielokrotnie nawiedzał ambasadę Izraela w Warszawie. Zwracał uwagę na istotne różnice między sytuacjami, w jakich ratując cudze życia, znaleźli się Henryk Sławik i Raoul Wallenberg, szwedzki dyplomata przybyły do Budapesztu z misją uchronienia przed deportacją na Wschód jak największej grupy węgierskich Żydów”.

Jak to w istocie wyglądało? „Był lipiec roku 1944, szefa KO [Henryka Sławika – przyp. K.M.] zgarnęło już Gestapo. Wallenberg dysponował

praktycznie nieograniczonymi funduszami od Amerykanów i Światowego Funduszu Żydów. Sławik zapewniał opiekę kilkudziesięciu tysiącom obywateli polskich na Węgrzech ze skromnych sum przekazywanych tylko przez rząd na uchodźstwie i w pewnym stopniu przez władze w Budapeszcie. Ponadto jako dyplomacie z neutralnym szwedzkim paszportem Wallenbergowi za działalność uderzającą w interesy Rzeszy nie groziła śmierć i nie za to zginął – zabili go Sowietci, bo najprawdopodobniej nie zgodził się na współpracę z nimi. Sławika Niemcy powiesili między innymi za ratowanie Żydów.

– Tym bardziej nie pojmuję – zwykł mawiać Zimmermann – dlaczego Polska nie wykorzystała atutu, jakim jest postać Sławika, w zmaganiach z rozpowszechnianymi za granicą opiniami o antysemityzmie Polaków i przekonaniu wielu, że obozy śmierci były polskie”.

No właśnie. Polska rzeczywistość atutu tego nie wykorzystała i nie wykorzystuje nadal, bo na przeszkodzie stają wciąż ci sami Polacy in spe. Którym przeszkadza oddawanie czci rodzinie Ulmów, którzy wytykają antysemityzm Zofii Kossak, a ktoś taki jak Henryk Sławik – Sprawiedliwy wśród Narodów Świata – zakłóca im wykreowany obraz polskiego społeczeństwa rzekomo złożonego głównie ze współpracujących z nazistami (bo przecież nie z Niemcami) Franciszków Kłósów czy donosicieli podobnych Zofii Chomiczowej, że na postaciach znanych z literatury poprzestaną. To nie odwieczni wrogowie szyją nam buty. Jan Krzysztof Kelus ujął to przed laty tak: „Nie był potrzebny żaden sąsiad, / rodzimej dosyć jest kanalii”. ©©



★★★★★

ELŻBIETA
ISAKIEWICZ
„CZERWONY
OŁÓWEK”

PIW,
WARSZAWA 2024



POCZYTANKI

Co się komu śni

Norman Spinrad, wielki oryginał amerykańskiej fantastyki, autor genialnych opowiadań i mętnych powieści. Jedna z najgłośniejszych, „Żelazny sen”, właśnie się u nas ukazała: książka drażniąca, prowokacyjna, ktoś powie idiotyczna – jednak ważna.

Zagłębiamy do alternatywnej rzeczywistości, w której Adolf Hitler wyemigrował do USA. Tam zdobył sławę jako ilustrator i autor powieści SF. Jedną z nich, „Władca swastyki”, wypełnia niemal całość „Żelaznego snu”. Jest to dzieło żenujące i przepętnione fantazjami, których po Hitlerze (w każdej wersji historii) można się spodziewać. Spinrad poszedł na całość, nie każdemu chciałoby się zmarnować kawałek życia, żeby celowo napisać złą prozę. Robi to jednak, żeby sprowokować nas do myślenia. Nad czym?

Cóż, prowokacja jest wielopoziomowa. Z fikcyjnego postawia do fikcyjnej powieści dowiadujemy się, że alternatywna Ziemia okupowana jest przez Wielki Związek Sowiecki. Oazą wolności pozostają tylko USA i Japonia. Komuniści zamieniają podbite ludy w beznadziejnych niewolników i masowo eksterminują Żydów. Jak się im przeciwstawić? Nie brak głosów, że trzeba być równie okrutnym i zmo-

bilizowanym. Z fikcyjnego wstępu do fikcyjnej powieści dowiadujemy się, że Hitler fantasta był cenionym pisarzem, a stworzona przez niego sadomasochistyczna, nazistowska (określenie moje, bo w alternatywnej wersji historii żaden nazizm nie powstał) ikonografia inspirowała miłośników przebieganiek na konwentach fantastyki. Co więcej, „Żelazny sen” został nawet wyróżniony nagrodą Hugo dla najlepszej powieści SF roku.

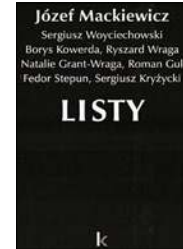
Z jakże wielu rzeczy Spinrad szydzi beztrosko. Z czytelników – sugerując, że zamiłowanie miłośników fantastyki do opowieści o nadludziach jest wyrazem ich tępoty i autorytarnych tęsknot. Z naiwnych interpretatorów nazizmu – wskazując, że zrzucanie całego zła świata jedynie na Hitlera jest absurdalne, bo zawsze znajdą się chętni do ludobójstwa. Z zakochanych w demokracji ślepców, którzy uważają, że „u nas to nigdy nie mogłoby się zdarzyć”. Ale i z tych, którzy w walce z imperiami nienawidzą widzą w przyjęciu równie radykalnych metod, wedle zasady „zło złem zwyciężaj”. „Być może podbiliśmy świat, lecz stałoby się to za cenę naszej duszy” – konkluduje fikcyjny krytyk fikcyjnej powieści, Homer Whipple. ©



★★★★★
NORMAN SPINRAD
„ŻELAZNY SEN”
REBIS 2024

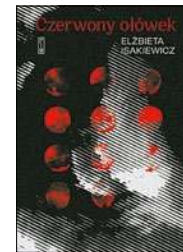
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Tom 36 dzieł autora „Drogi donikąd” przynosi m.in. korespondencję z sowietologiem Ryszardem Wragą oraz listy pisane do Mackiewicza przez Rosjan. Niestety, jego część tej ostatniej wymiany myśli zaginęła.



JÓZEF MACKIEWICZ
„LISTY”
KONTRA

Nowe uzupełnione wydanie opowieści o Henryku Sławiku, który uratował przed niemieckimi katami blisko 30 tys. istnień, w tym 5 tys. Żydów. Zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym Gusen I (Mauthausen).



ELŻBIETA ISAKIEWICZ
„CZERWONY OŁÓWEK”
PIW

Zamiłowanie do strasznych opowiadań z Internetu sprawia, że dwie 12-latkę próbują zamordować koleżankę. Dostaje się lekarzom i sędziom. Ale czemu nie popkulturze i fałszywej wolności sieci?



KATHLEEN HALE
„SLENDER MAN”
CZARNE

Kontynuacja powieści „Jeleni sztylet”, jednej z nielicznych udanych i oryginalnych polskich powieści fantasy ostatnich lat. Bora, dziewczę wychowane w szkole najemników, powróci jeszcze nie raz.



MARTA MROZIŃSKA
„BURSZTYNOWY MIECZ”
ZYSK I S-KA

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA: „LEONARDO 2 VINCI”

Powieść graficzna stworzona dla muzeum w Luwrze z okazji wielkiej retrospektywnej wystawy dzieł Leonarda w 2019 r. Dwa lata pracy przyniosły imponujący efekt. Levallois (uczeń polskiego mistrza plakatu Romana Cieślewicza) sięgnął po dzieła włoskiego geniusza, by utkać z nich



STÉPHANE LEVALLOIS
„LEONARDO 2 VINCI”
SCREAM COMICS
2024

– i własnych ilustracji – niezwykle hołd i oryginalną fantazję graficzną.

Piotr Gociek



Między zwycięstwem a klęską Kijowa

Na łamach „Do Rzeczy” kilka razy już pisałem, że toczony od lutego 2022 r. konflikt na południowy wschód od naszych granic może zakończyć się w trojaki sposób: zwycięstwem Moskwy, sukcesem Kijowa i wreszcie starcie może mieć charakter nierozstrzygnięty. W pierwszym przypadku wojska rosyjskie stanęłyby na Bugu. W drugiej sytuacji Ukraina, być może wracając do granic sprzed 2014 r., odgrywałaby rolę centralnego ośrodka



Lech Mażewski

Obecna faza konfliktu rosyjsko-ukraińskiego wyraźnie zmierza ku zakończeniu. Jaki wynik wojny byłby w polskim interesie?

siły w regionie. I wreszcie wojna nad Dnieprem może nie przynieść ostatecznego sukcesu żadnej z walczących

stron i w takim właśnie kierunku będą obecnie wydarzenia – mimo ostatnich sukcesów Ukrainy w obwodzie kurskim.



mówi, przyjąć pewne ograniczenie co do kształtu swego życia politycznego. Przypominałoby to nieco status Finlandii po 1947 r. W rezultacie możliwy nacisk Moskwy na Warszawę byłby mniejszy, niż gdyby państwo ukraińskie przestało w ogóle istnieć albo zostało w pełni podporządkowane Federacji Rosyjskiej. To byłoby rozwiązanie skrajnie niekorzystne dla nas. Wtedy bowiem na całej prawie północnej i wschodniej granicy, z wyjątkiem krótkiego odcinka granicy polsko-litewskiej, czyli od Zalewu Wiślanego, poprzez dawne Prusy Wschodnie, dalej bramy: Grodzieńską i Brzeską, Bug, aż do Bieszczad, mielibyśmy do czynienia z obecnością mocarstwa rosyjskiego, osłabionego, co prawda, udziałem w długiej wojnie, ale jednak zwycięskiego.

Wbrew analitykom ze Strategy and Future wszystkie te rozwiązania nie musiałyby oznaczać, że w krótkim czasie doszłoby do konfliktu rosyjsko-polskiego, choć nie można tego wykluczyć. W dużym stopniu zależałoby to od prowadzonej przez Polskę polityki, w szczególności, czy udało się doprowadzić do wytworzenia systemu regionalnej równowagi z udziałem Rosji, Białorusi i być może Ukrainy. Wiem, że dla większości Polaków to horribile dictu, ale w realistycznie rozumianych stosunkach międzynarodowych nie byłoby to nic nadzwyczajnego, bo liczą się jedynie posiadana siła i realizacja interesów, a wartości nie są pożądaną walutą.

Nie zastąpią tego nadzieje związane z art. 5 traktatu waszyngtońskiego z 4 kwietnia 1949 r. Nie zakłada się tam wcale automatyzmu działań paktu północnoatlantyckiego lub któregoś z jego członków na rzecz zaatakowanego innego uczestnika paktu, jak się to wydaje większości z nas. Tak czy owak, Polska powinna się zbroić, ale użycie armii należy traktować tylko jako ultima ratio regum, a nie wyłączny sposób uprawiania polskiej polityki wobec Rosji, jak chcą Jacek Bartosiak z kolegami.

Zwycięstwo Rosji mogłoby prowadzić do jeszcze innego rezultatu, a mianowicie z Ukrainy nastąpiłoby wydzielenie Galicji wraz z Wołyniem. Od razu zaznaczam, że to dziś jeszcze bardziej hipotetyczna ewentualność niż poprzednio analizowane. Włączenie tych terenów do ZSRS przez Józefa Stalina w 1945 r.,

co naśladowało decyzje władz carskich z początku pierwszej wojny światowej, było oczywistym błędem, którego państwo Włodzimierza Putina może nie chcieć popełnić.

W rezultacie na południowo-wschodniej granicy mielibyśmy do czynienia z czymś, co można by określić mianem Banderlandu, terenem ludobójstwa Polaków w okresie drugiej wojny światowej. Należałoby się wtedy w każdy możliwy sposób odgrodzić od tego martwo narodzonego tworu geopolitycznego, obszaru nieustannych działań antyrosyjskich, a być może też antypolskich, bo przecież roszczenia nacjonalizmu banderowskiego sięgają daleko poza współczesną granicę polsko-ukraińską. Może jednak chęć budowy „ruskiego miru” wzięłaby górę nad racjonalnie rozumianym interesem państwowym Federacji Rosyjskiej?

Przejdźmy do sytuacji, gdy wiktorię odnosi Ukraina, wracając co najmniej do granic sprzed 2014 r. Wtedy Kijów pretendowałby do odgrywania roli regionalnego ośrodka siły, spychając Polskę do pozycji sługi narodu ukraińskiego, jak chciał tego były rzecznik polskiego MSZ i co w gruncie rzeczy realizują kolejne rządy w Warszawie. Byłoby to jednak na dłuższą metę nierealne, ponieważ jedyny atut Ukrainy to zwycięska armia, co nie mogłoby przesłonić gospodarczej ruiny kraju i towarzyszącej temu demograficznej klęski. Wkrótce musiałby nastąpić kres dominacji tego jednowymiarowego regionalnego mocarstwa.

Co dalej działoby się w tej części Europy – trudno powiedzieć. Gdyby nad Dnieprem po 1991 r. nie zwyciężył banderowski nacjonalizm jako ideologia państwowa, a ponadto uporano by się tam z panowaniem oligarchicznych klanów, które uzależniły państwo ukraińskie od swoich interesów, to sprawy mogłyby się ułożyć inaczej. Program Ołeksija Arestowycza powstania nienacjonalistycznej Ukrainy-Rusi Kijowskiej w miejsce obecnego państwa próbuje nadrobić stracony czas. Jednak na nasze szczęście jest wyraźnie spóźniony.

Dziś już nikt nie opowiada kocopołów o utworzeniu unii polsko-ukraińskiej, kolejnej plagi, która mogłaby spaść na nas, nawet w Strategy and Future panuje na ten temat milczenie. Jedynie Marek Budzisz niekiedy nieśmiało przypomni

Od razu trzeba stwierdzić, że z różnych powodów na ostateczny przebieg wydarzeń nie mamy żadnego wpływu. Które z tych rozwiązań byłoby w polskim interesie?

TRZY SCENARIUSZE

Deklarowanym celem Rosji nie jest aneksja Ukrainy. Miałaby ona utracić możliwość wejścia do NATO, ulec demilitaryzacji, a także poprzez debanderyzację, o której teraz już się nie

FOT. ANDRZEJ STOCK

■ tę koncepcję, ale nikt nie chce tego podjąć. Ta czaszka nigdy się nie uśmiechnie, chyba że szyderczo, jako element antypolskiej propagandy uprawianej przez Kreml, która ponownie wzmacnia się w związku z walkami toczonymi w obwodzie kurskim, w których jakoby mają licznie uczestniczyć Polacy.

Polska teoria zakończenia obecnej fazy konfliktu rosyjsko-ukraińskiego powinna zatem wykluczyć w równym stopniu zwycięstwo Rosji i Ukrainy, bo nie obsługiwałoby to naszego interesu. Bez wątpienia najlepszym rozwiązaniem dla nas byłoby, aby wojna nad Dnieprem miała charakter nierozstrzygnięty, i w takim właśnie kierunku biegają wydarzenia, z czego powinniśmy być zadowoleni. Usprawiedliwiałoby to koszty poniesione przez nas po 24 lutego 2022 r., a przede wszystkim nie byłoby okupione krwią polskiego żołnierza.

POLSKA TEORIA ZAKOŃCZENIA KONFLIKTU

Wreszcie ostatnia możliwość: w obecnej fazie konfliktu nie ma wyraźnego zwycięzcy. Ukraina, co prawda, zachowałaby niepodległość wobec Rosji, pozostając całkowicie zależna od państw zachodnich, głównie USA i Wielkiej Brytanii, będąc jednocześnie uszczuplona terytorialnie i z wielkimi stratami zarówno ludzkimi, jak i materialnymi.

Również Rosja nie byłaby w stanie zaliczyć tego konfliktu do swoich największych sukcesów, gdyż znacznie pomniejszony zostałby jej potencjał, a to z kolei powodowałoby, że przestawałaby – przynajmniej na jakiś czas – być zagrożeniem dla Polski. Nierozstrzygnięty charakter konfliktu nad Dnieprem byłby zatem dobrą przesłanką do twierdzenia, że na razie żadnej wojny rosyjsko-polskiej nie będzie. Najpierw bowiem Rosjanie musieliby dojść do Bugu, a po dotychczasowych doświadczeniach wydaje się to mało prawdopodobne, a z pewnością nie nastąpiłoby to szybko i byłoby okupione stratami jeszcze większymi niż dotąd. Ukraina w takiej sytuacji nie walczyłaby w obronie Polski, jak niektórzy naiwni ukrajinofili wygadują, ale własnej, co nie znaczy, że beneficjentem oporu Kijowa nie byłaby Warszawa.

Jest oczywiste, że nierozstrzygnięty charakter konfliktu rosyjsko-ukraińskiego

sprawi, że rosyjskie żądania z 17 grudnia 2021 r. w sprawie nowej architektury bezpieczeństwa w Europie tylko w części będą spełnione. Sednem tych żądań było wyrzeczenie się przez Ukrainę możliwości wejścia do NATO, ale nie zakaz stania się członkiem Unii Europejskiej.

24 lutego 2022 r. pojawiło się ponadto żądanie demilitaryzacji i debanderyzacji (szerzej: denazyfikacji) Ukrainy. Kijów zapewne nie będzie przyjął w szybkim terminie do NATO, ale nie ulegnie też demilitaryzacji, wręcz przeciwnie – już dziś posiada bodaj najsilniejszą armię lądową w Europie. Rozmowy akcesyjne mogą wyglądać tak jak w przypadku Turcji, która toczy je z Brukselą od ponad pół wieku, ale nie musi tak być.

Prawdopodobnie powstanie „chory człowiek” Europy, przepełniony antyrosyjskim rewanżyzmem

W zakończeniu swojej ostatniej książki Budzisz sformułował realistyczną konstatację odnośnie do sytuacji Ukrainy, że „w wyniku wojny będziemy mieli za naszą wschodnią granicą drugą Bośnię, państwo słabe, dysfunkcyjne, żyjące ze środków pomocowych i eksportu siły roboczej”. Ale to niejedyne zagrożenie, które stanęłoby przed Polską. Drugim byłoby podsycanie przez Zachód ukraińskiego rewanżyzmu.

Umowa podpisana 12 stycznia 2024 r. w Kijowie między Wielką Brytanią a Ukrainą o zasadach współpracy w sprawach bezpieczeństwa przez 10 lat miałyby przygotować Kijów po okresie zamrożenia konfliktu do podjęcia kolejnych działań zbrojnych. Wyraźnie bowiem stwierdza się, że celem brytyjskiej pomocy jest „przywrócenie jej [Ukrainie – L.M.] integralności terytorialnej w granicach uznanych na arenie międzynarodowej, w tym na morzu terytorialnym i wolnej strefie gospodarczej (morskiej)”. Wkrótce kilkanaście innych państw zachodnich zawarło podobne umowy. Przyjęte 8 lipca 2024 r. w Warszawie porozumienie pomiędzy Polską a Ukrainą o współpracy w dziedzinie

bezpieczeństwa zawiera zbliżone stypulacje, przewidziane na ten sam okres.

Jednak przewidziane w warszawskim porozumieniu tworzenie na terenie Polski czegoś w rodzaju legionu powinno raczej odnosić się do udziału w nim tych Ukraińców, którzy po zakończeniu walk zechcieliby dołączyć do swoich żon lub kochanek, obecnie znajdujących się u nas. Inaczej możemy znaleźć się w sytuacji buntujących się Kozaków zaporoskich w XVII w., którym Polska odmawiała umieszczenia w rejestrze, próbując zmusić ich do stania się chłopami pańszczyźnianymi, a oni uważali się za wojskową szlachtę. Dziś chodziłoby o wykonywanie niskopłatnych prostych robót przez zdemobilizowanych żołnierzy ukraińskich, mających się za zbrojnych bohaterów zmagających z Rosją.

NIE MA POWROTU DO ROKU 1991

Najbardziej prawdopodobny wariant zakończenia obecnej fazy konfliktu rosyjsko-ukraińskiego nie zakłada ewentualności zwycięstwa którejś z walczących stron, a raczej nierozstrzygnięty charakter wojny. Bez wątpienia obsługiwałoby to nasze interesy, bo ani nie wzmocniałoby to pozycji Rosji, ani nie wracałibyśmy do sytuacji po rozpadzie ZSRS w 1991 r., kiedy to Ukraina ze względu na swój potencjał gospodarczy i ludnościowy miała wszelkie dane, aby zająć stanowisko lidera środkowo-wschodniej części kontynentu.

Jednak takie rozwiązanie ma swoje słabości i nie musi być trwałe. Powstanie bowiem kolejny „chory człowiek” Europy, i to w dodatku przepełniony antyrosyjskim rewanżyzmem. W zderzeniu z moskiewskimi planami ustanowienia nowej architektury europejskiego bezpieczeństwa, które przedstawione w połowie grudnia 2021 r. nie zostały dotąd zrealizowane, o przejście do kolejnej fazy zbrojnego starcia nad Dnieprem nietrudno.

Zatem polska teoria zakończenia konfliktu rosyjsko-ukraińskiego to krucha konstrukcja, utwierdzająca w jakimś stopniu naszą pozycję w tej części Europy, dająca nam czas na budowę ośrodka siły – nie tylko w sensie militarnym – i to bez względu na wynik zmagających rosyjsko-ukraińskich. Mimo wszystko to niemało, gdybyśmy tylko potrafili z tego skorzystać.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Jednostronna szaleńcza miłość



Łukasz Warzecha

Relacje polsko-ukraińskie przechodziły różne fazy po 1991 r. (ogłoszenie przez Ukrainę niepodległości) i różnie bywały opisywane przez rządzących w danym momencie Polską. Mało kto pamięta np., że pan Donald Tusk po objęciu władzy w 2007 r. zaczął prowadzić politykę ochłodzenia relacji z Kijowem

Po 24 lutego 2024 r. rozpoczął się etap, gdy jedyną obowiązującą w głównym nurcie narracją stało się twierdzenie, że te relacje są świetne, a między naszymi państwami panuje wielka przyjaźń. Tyle że gdyby zapytać, na czym konkretnie ta wspinała jakość wzajemnych stosunków polega, okazałoby się, że jest to faktycznie miłość szaleńcza, lecz wybitnie jednostronna.

Czasami sytuację najlepiej ilustrują konkretne wydarzenia albo wypowiedzi. Niedawno prezydent Andrzej Duda pojechał do Kijowa na Dzień Niepodległości Ukrainy. Przy okazji warto przypomnieć, że żaden przedstawiciel Kancelarii Prezydenta nie pojawił się na uroczystości w Domostawie podczas odsłonięcia

pomnika ofiar rzezi wołyńskiej dłuta śp. Andrzeja Pityńskiego. W Kijowie prezydent wygłosił kolejne przemówienie z serii „przy tobie, Ukraino, stoimy i po wsze czasy stać będziemy”. Oto kilka fragmentów, wszystkie spod jednej sztafki:

Od przeszło dwóch lat bohatercko walczyć o swój kraj i bronienie niepodległości, płacąc za to najwyższą cenę – cenę życia, cenę krwi. Pamiętajcie proszę, że w tej najcięższej próbie nie jesteście sami. Polska wspierała, wspiera i będzie nadal wspierać Waszą słuszną walkę aż do zwycięskiego końca [...].

I choć dzisiaj Ukraina zmagą się z rosyjskim agresorem, walcząc „na śmierć i życie” w obronie swojej niepodległości, to jestem przekonany, że już wkrótce wojna zakończy się zwycięstwem sił wolności nad światem tyranii!

Wówczas z „mroku wojny” na zgłiszczach i pogorzeliśkach zacznie wykuwać się nowy świat [...].

Pamiętajmy, że terytoria naszych państw były żyznym gruntem dla rozwoju tradycji demokratycznych oraz swobód obywatelskich, które służyły jako punkt odniesienia i inspirowały ruchy niepodległościowe kształtujące tożsamość europejską krajów naszego regionu [...].

Pamiętajcie, że Polska nie spocznie i nie zostawi Ukrainy samej sobie w drodze do Europejskiej Wspólnoty. Miejsce niepodległej Ukrainy jest w Europie! Swoją determinacją, wolą walki, a dziś, niestety, także krwią udowodniliśmy, że należycie już od dawna do europejskiej rodziny! Polska nie opuści was w tej walce!

W przytoczonych fragmentach najbardziej intrygujące jest, które to „tradycje demokratyczne” kształtujące „tożsamość europejską” rozwijały się na Ukrainie, która jest częścią cywilizacji Wschodu, nie Zachodu. Chyba że prezydent ma na myśli swoistą demokrację kozackich kureni, w której środkiem dyscyplinującym było wbijanie na pal. Lecz o to Andrzeja Dudy oczywiście nikt nie zapyta. Szkoda.

GIGANTYCZNE DARY DLA UKRAINY

W drodze powrotnej z ukraińskiej stolicy, w pociągu regularnie przewożącym polityków na trasie Rzeszów – Kijów, wywiad z głową polskiego państwa przeprowadziła Arleta Bojke z Kanadu Zero. Wywiad niestety marny, dziennikarka bowiem zamiast drążyć, dopytywać i wychwytywać liczne niekonsekwencje czy bezzasadne stwierdzenia polskiego prezydenta, wielokrotnie spieszyła z zapewnieniami, że ona także gorąco Ukrainę popiera. Nie jest to rola dziennikarza przeprowadzającego wywiad.

Mimo to kilka ciekawych fragmentów w tej rozmowie się pojawiło. Być może najbardziej interesujące było podliczenie przez pana prezydenta pomocy, której dotychczas Polska udzieliła swojemu sąsiadowi w czasie wojny. Andrzej Duda powiedział: „Myśmy w sumie dali prawie 400 czołgów Ukrainie, [...] prawie 1 tys. sztuk ciężkiego sprzętu, T-72, PT-91 »Twardy«, leopardy, poprzez transportery opancerzone różnego rodzaju, i bojowe wozy piechoty, i »rosomaki«, armatohau-bice »Krab«, wyrzutnie rakiet, które mieliśmy jeszcze na stanie, 10 samolotów

■ MiG-29, 10 śmigłowców – naprawdę dużo tego sprzętu daliśmy Ukrainie jak na nasze możliwości. Sumaryczna pomoc dla Ukrainy, cała, ta militarna i niemilitarna, czyli pomoc humanitarna, pomoc, którą daliśmy uchodźcom z Ukrainy – to jest 3,3 proc. naszego PKB, ok. 100 mld zł [...]. Zachowaliśmy się jak dobry sąsiad – i to jest na Ukrainie doceniane”.

OSTENTACYJNA BEZCZELNOŚĆ

Trudno powiedzieć – a pani redaktor Bojke nie dopytywała – czy prezydent wliczył również stały koszt związany z wypłacaniem Ukraińcom w Polsce świadczeń socjalnych wszelkiego rodzaju czy przyjmowaniem do szkół ukraińskich dzieci. Tak czy owak, kwota 100 mld zł jest gigantyczna – to nie tylko znaczący odsetek PKB Polski, lecz także ok. jednej piątej polskiego rocznego budżetu.

Dziennikarka Kanału Zero nie zapytała niestety, w czym prezydent widzi docenianie przez Ukrainę tego poświęcenia – a szkoda. Mniej więcej w tym samym czasie na Campusie Polska Przyszłości – partyjnej imprezie Platformy Obywatelskiej – w dyskusji z młodzieżą wzięli udział Radosław Sikorski i Dmytro Kułeba, ministrowie spraw zagranicznych Polski i Ukrainy. Z publiczności pod adresem Ukraińca padło pytanie o ekshumacje ofiar zbrodni wołyńskiej. Kułeba odpowiedział następująco:

„Zdaje sobie pani sprawę z tego, czym była operacja »Wisła«, i wie pani, że ci wszyscy Ukraińcy zostali przymusowo wygnani z terytoriów ukraińskich, żeby zamieszkać m.in. w Olsztynie [...]? Gdybyśmy dzisiaj zaczęli grzebać w historii, to jakoś rozmowy byłaby zupełnie inna i moglibyśmy pójść bardzo głęboko w historię, i wypominać sobie te złe rzeczy, które Polacy uczynili Ukraińcom i Ukraińcy Polakom [...]. Nie mamy problemu z kontynuacją ekshumacji. Mamy tylko taki wniosek do rządu w Polsce, żeby też upamiętniać Ukraińców. Chcemy, żeby to było dwustronne. A jeżeli nasza relacja miałaby być zdominowana przez emocje, to znaleźlibyśmy się w takim miejscu, w którym Rosja by wygrywała. To są prowokacje właśnie w obszarze historii, które są organizowane przez Rosję. Tak więc myślę: zostawmy historię historykom, a przyszłość budujemy razem. Przyszłość niech będzie dla was”.

Wypowiedź ukraińskiego ministra jest charakterystyczna z dwóch powodów. Po pierwsze – ponieważ Kułeba stosuje metodę typową dla wschodnich dyplomacji, głównie rosyjskiej, a także właśnie ukraińskiej: ostentacyjną wręcz bezczelność, używaną wobec tych, którzy sobie na to pozwalają. Polska sobie na to pozwala, wobec czego Kijów do tej właśnie metody uciekał się wielokrotnie. Po drugie – ponieważ Kułeba sięgnął po doskonałą dopracowaną przez Niemców metodę relatywizacji win. Postawił na jednym poziomie przesiedleńczą akcję „Wisła” i rzeź wołyńską, podobnie jak Niemcy próbują na tym samym poziomie stawiać swoje zbrodnie czy materialne wyniszczenie Polski i niewątpliwie nieszczęścia, które dotknęły niemieckich cywilów uciekających na zachód przed Sowietami i Polakami w latach 1944–1945 z terenów Prus Wschodnich czy Pomorza. Niemcy przedstawiają ten eksodus – z tragicznymi epizodami, takimi jak zatopienie statku „Wilhelm Gustloff” przez sowiecki okręt podwodny w styczniu 1945 r., co pochłonięło 6,6 tys. ofiar i było największą katastrofą morską w historii – jako tragedię na poziomie ludzkim i starają się sprowadzić bilans drugiej wojny właśnie do takiego spojrzenia: nieważne, czy było się częścią narodu agresorów czy ofiar, ważne, że doznało się cierpienia. I o ile na poziomie indywidualnym śmierć jest zawsze tragiczna, o tyle na poziomie rozważań historycznych i polityki historycznej nie sposób jednak nie widzieć jej w kontekście.

Wypowiedź Kułeby jest jednak dużo bardziej skandaliczna. Porównał on bowiem przesiedlenia – motywowane zresztą zbrodniczą aktywnością ukraińskich nacjonalistów, która przecież nie ustała wraz z końcem niemieckiej okupacji wschodnich terenów powojennej Polski – z masowym mordowaniem Polaków jedynie z powodów ich przynależności etnicznej. Mówiąc brutalnie – dla szefa ukraińskiego MSZ wysiedlenie Ukraińca z kurnej chaty na wschodzie Polski i przesiedlenie go do większego polskiego miasta jest tym samym co rozkrojenie sierpem brzucha ciężarnej Polce przez Ukraińca, wyciągnięcie dziecka i nabicie go na sztachetę.

W dalszym ciągu ukraiński minister oznajmił, że można ewentualnie rozmawiać o ekshumacjach, jeśli na drugiej szali



Prezydent Andrzej Duda pojechał do Kijowa na Dzień Niepodległości Ukrainy na spotkanie z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim

FOT. PRESIDENT.GOV.UA

będzie upamiętnienie Ukraińców – czyli członków UPA. A w ogóle to najlepiej nie mówmy o historii, bo to rosyjska prowokacja.

KOLEJNE ŻĄDANIA UKRAINY

W tym samym momencie Ukraina wysuwała pod adresem Polski kolejne żądania dotyczące pomocy wojskowej. „Dzisiaj uwaga strony polskiej, jeśli chodzi o nasze zdolności obronne, trochę osłabła. To znaczy, Polska prawdopodobnie dała nam to, co mogła. Jednak pewne rzeczy w Polsce zostały. Są konkretne kwestie. Bardzo potrzebujemy migów. – oznajmił prezydent Zełenski. I tu wydarzyło się coś faktycznie niezwykłego jak na warunki polskiego życia publicznego w ciągu ostatnich dwóch i pół roku: minister obrony, Władysław Kosiniak-Kamysz, odpowiedział ukraińskiemu prezydentowi dość jak na polskie warunki stanowczo: „Polska przekazała Ukrainie wszystko, co mogła. Rząd, zarówno nasz, jak i poprzedników, przekazał wielomiliardowe donacje sprzętu na Ukrainę. To wszyst-



Czy jest choć jedna kwestia, w której Ukraina ustąpiłaby ze względu na udzieloną jej przez Polskę pomoc?

ko, co byliśmy w stanie przekazać. Ale bezpieczeństwo państwa polskiego jest dla mnie zawsze najwyższym nakazem i wszystkie decyzje, które podejmujemy w tej sprawie, są podejmowane przez pryzmat bezpieczeństwa państwa polskiego [...]. Wiem, że Ukraina potrzebuje wielu rodzajów broni, ale nasi partnerzy muszą też zrozumieć, że państwo polskie musi zachować swoje zdolności. I to jest dla mnie priorytet”.

Obojętnie, jakie były motywacje lidera PSL, była to być może najbardziej asertywna odpowiedź, której kiedykolwiek jakikolwiek polski polityk zasiadający na oficjalnym stanowisku udzielił w odpowiedzi na ukraińskie dezynwoltady.

Wróćmy jednak do pytania o wzajemność relacji. Po jednej stronie mamy wspomniane przez Andrzeja Dudę olbrzymie sumy wyłożone na pomoc dla Kijowa – w tym 12 mld zł samej pomocy wojskowej. Mamy obdarowywanie Ukraińców nadużywanych przez nich nagminnie uprawnieniami socjalnymi, mamy wspieranie ich członkostwa w Unii Europejskiej i NATO – bez śladu rzetelnej dyskusji na temat wynikających z tego dla Polski korzyści i strat. Mamy też wspieranie praktycznie każdego nowego pakietu sankcji wobec Rosji – również bez śladu bilansu, jakie są ich skutki dla Polski i czy kolejne sankcje w ogóle mają ekonomiczny sens. To dyplomatyczne wsparcie dla Ukrainy jest równie bezwarunkowe jak wsparcie materialne.

Co natomiast mamy po stronie ukraińskiej? Czy jest choć jedna kwestia, w której Ukraina ustąpiłaby ze względu na udzieloną jej pomoc? Czy jest jakaś sprawa, w której zgodziłaby się uznać polskie racje? Wszędzie tam, gdzie pojawiały się tematy sporne, Kijów absolutnie bezwzględnie forsował swoje racje, a jego przedstawiciele – w tym wspomniany wyżej Kułeba czy odznaczony niedawno przez prezydenta byłym ambasador Ukrainy w Polsce Wasyl Zwarycz – bywali nie tylko nieustępliwi, lecz także po prostu aroganccy.

Na podstawie wypowiedzi prezydenta Dudy w wywiadzie dla Kanału Zero można odtworzyć jego sposób rozumowania. Andrzej Duda powiedział, że w polityce układa się sprawy w hierarchii znaczenia, a dla Polski sprawą najbardziej podstawową jest to, aby Ukraina istniała jako niepodległe państwo. Albo jest to duża, świadoma manipulacja, albo immanentna wada w myśleniu znacznej części polskiej elity, trwająca od 24 lutego 2022 r. Owszem, z zasadniczą częścią tej wypowiedzi można się zgodzić: tak, dla Polski korzystne jest, aby Ukraina obroniła się przed Rosją, natomiast fałszem jest przedstawianie tego jako układu zero-jedynkowego. Nie jest tak, że warunkiem tej obrony jest całkowita rezygnacja z tego, co rodzimi ukraińcy nazywają pogardliwie polityką transakcyjną. Obronienie się przed Rosją nie oznacza także, że w polskim interesie jest przeciąganie wojny w nieskończoność z nierealistycznym zamiarem odzyskania wszystkich

zagarniętych przez Moskwę terytoriów. Patrząc na chłodno, Polsce powinno zależeć na tym, aby Ukraina nie została odcięta od Odessy, ponieważ oznaczałoby to, że cały ukraiński handel płodami rolnymi musiałby iść drogą lądową, a zatem w większości przez Polskę. Lepiej byłoby również, gdyby Ukraina zachowała kontrolę nad możliwie dużą częścią własnego terytorium. I tyle.

Quid pro quo, czyli warunkowanie działań na korzyść innego państwa działaniami tego państwa na naszą korzyść, nie jest w polityce międzynarodowej czymś nagannym albo „niegodnym”, ale wręcz przeciwnie: jest sprawą całkowicie normalną, a polscy obywatele mają prawo oczekiwać takiej właśnie postawy od swoich przedstawicieli. Zapłacenie rachunku może być na jakiś czas odłożone w czasie i ewentualnie w taki sposób można było uzasadniać polską pomoc dla Ukrainy w pierwszych miesiącach wojny. Ale tylko w pierwszych miesiącach.

Własne poczynania na rzecz innego państwa można też potraktować jako długoterminową inwestycję – i tak zdaje się uzasadniać bezwarunkowość poparcia spora część polskiej klasy politycznej. Problem w tym, że bilans tej inwestycji nie jest bynajmniej oczywisty. Narastający ukraiński nacjonalizm, całkowicie już oficjalne odwoływanie się do banderyzmu jako fundamentalnej ideologii państwa ukraińskiego, konkurencyjność Ukrainy wobec Polski w sferze produkcji rolnej – co zresztą przyznał sam Andrzej Duda w wywiadzie, konkurencja na rynku pracy i o fundusze w przypadku wejścia do UE – wszystko to przeczy tezie, że Polsce długoterminowo opłaca się dawać i nie żądać niczego w zamian. W ten sposób wspieramy państwo, które nie dało najmniejszego dowodu – poza czczą retoryką – swojej przychylności, a w przyszłości nie tylko może się stać naszym rywalem na polu gospodarczym, lecz także może się okazać ideologicznie agresywnie wobec Polski.

Kto wie, czy nie w ten sposób należy odczytywać wypowiedź Dmytra Kułeby na Campusie Polska Przyszłości: jeżeli będziecie się upominać o ekshumację ofiar mordów na Wołyniu, to skierujemy przeciwko wam na poważnie ostrze naszego nacjonalizmu i wtedy zobaczymy, kto jest mocniejszy.

Donald Trump być może nigdy nie zostałby prezydentem, gdyby nie zaufanie, którym obdarzyła go... katoliczka. Chodzi o Phyllis Schlafly, która w 2016 r. poparła w Partii Republikańskiej jego kandydaturę. Schlafly to legenda amerykańskiej prawicy. W 1972 r. założyła słynne The Eagle Forum, konserwatywną grupę polityczną, która wzięła się do ostrej walki z „Equal Rights Amendment”, forsowaną przez liberałów poprawką o „równości praw” kobiet i mężczyzn. Schlafly, sama wierna tradycyjnemu i sprawdzonemu wzorcowi podziału ról w rodzinie, była przekonana, że ustawa doprowadzi do pogorszenia sytuacji Amerykanek. Kampanię wymierzoną w poprawkę prowadziła z niesamowitym wigorem – i odniosła zwycięstwo. Dzięki temu jeszcze w latach 70. osiągnęła wśród republikanów bardzo silną pozycję. Na początku lat 80. Schlafly zaangażowała się w poparcie kandydatury Ronalda Reagana, znowu z sukcesem. Dlatego gdy osiem lat temu postawiła na Trumpa, republikańscy konserwatyści mieli twardy orzech do zgryzienia. Dla wielu z nich lepszym kandydatem na prezydenta wydawał się Teksasczyk Ted Cruz, uznawany za pewniejszy wybór. Poparcie Schlafly ważyło jednak dużo i m.in. dzięki niej to Trump otrzymał nominację. Wynik wyborów pokazał, że miała nosa.

MIMO WSZYSTKO... TRUMP?

Wychowany jako protestant, później w ogóle nieszczególnie religijny, kilkakrotny rozwodnik, w gruncie rzeczy niemal jawny rozpustnik... Słaby wybór jak na kandydata katolików, prawda? A jednak to właśnie on jako prezydent doprowadził do absolutnie kluczowej dla katolików zmiany politycznej: powołał do Sądu Najwyższego ludzi, którzy w 2022 r. obalili fundament amerykańskiej kultury aborcyjnej – wyrok *Roe v. Wade*. To również on konsekwentnie bronił swobód religijnych chrześcijan w USA, w ostatnich latach coraz częściej nękanych przez wokeistowskie zasady na uniwersytetach czy w biznesie. Mało kto pamięta, że jednym z ostatnich aktów jego prezydentury było wydanie bardzo symbolicznej proklamacji. 28 grudnia 2020 r. ogłosił tekst z okazji 850. rocznicy męczeńskiej śmierci Tomasza Becketa;



Katolicy za Trumpem



Paweł Chmielewski

Donald Trump mówi, że nie wie, jak katolicy mogliby głosować na demokratów. Sami katolicy też nie: większość wierzących jest absolutnie przekonana, że wyboru w ogóle nie ma – Trump to oczywistość. Jednocześnie rośnie jednak grupa katolików mocno rozczarowanych republikaninem



Boga. Trump tylko wzmocnił te nastroje, kiedy w jednej z pierwszych wypowiedzi po zamachu ogłosił, że odbiera swoje ocalenie w kategoriach Bożej interwencji. Drugi moment euforii nastąpił już 15 lipca. Wtedy Trump ogłosił, że jego wiceprezydentem byłby J.D. Vance, człowiek, który kilka lat wcześniej podjął decyzję o przyjęciu chrztu w Kościele katolickim – wybór nieoczywisty i bynajmniej niekoniecznie politycznie opłacalny dla republikanina. Katolickie portale zamieściły w odpowiedzi niezliczone teksty o drodze Vance’a do wiary, cytowały jego wypowiedzi przeciwko aborcji i LGBT albo płomienne i inteligentne słowa w obronie tradycyjnego modelu rodziny. Pojawiły się nawet porównania tandemu Trump-Vance do Konstantyna Wielkiego: ludzie przekonani, że w kolejnych wyborach to właśnie Vance będzie kandydatem republikanów na prezydenta, wyrażali nadzieję, że może zdecydować się na jakieś autentycznie kontrrewolucyjne katolickie działania i rozpocząć w ten sposób moralną odnowę Ameryki.

MĘTNIE O ABORCJI

Niestety, już kilka dni później ta euforia mocno przygasła. Na republikańskiej konwencji w Milwaukee duet Trump-Vance mógł zachwycać siłą retoryki i polityczną energią, ale to, co działo się dookoła – już zdecydowanie mniej. Katolicy komentatorzy bardzo ostro krytykowali zaprezentowanie w roli apologetki Trumpa... czarnoskórej raperki, która, ujmując rzecz eufemistycznie, jest znana ze swobodnego podejścia do cnoty czystości. Kompletnym niezrozumieniem przyjęto też zorganizowanie... hinduskich modłów o pomyślność Ameryki. Cóż – powie ktoś – popkulturowe bzdury, konieczne do zwycięstwa w kampanii XXI w. Być może. Gorzej, że republikanie zdecydowali się także na poważniejsze odejście od katolickich czy w ogóle chrześcijańskich ideałów. Z odświeżonego programu wykreślili kluczowy antyaborcyjny zapis, wprowadzony tam jeszcze w 1984 r.: „Dziecko nienarodzone ma fundamentalne indywidualne prawo do życia, które nie może zostać naruszone”. Teraz te słowa zastąpiono wyrażeniem sprzeciwu wyłącznie wobec późnych aborcji, czyli zabijania dzieci

w ostatnich tygodniach ciąży. Co więcej, w programie zaznaczono wsparcie dla in vitro oraz dla „kontroli urodzeń”, co zasadniczo oznacza antykoncepcję. Phyllis Schlafly byłaby głęboko rozczarowana, tym bardziej że wykreślony zapis antyaborcyjny znalazł się w programie republikanów właśnie dzięki jej staraniom.

Dlaczego republikanie podjęli taką decyzję? Amerykańscy katolicy komentatorzy zwracają uwagę, że PR-owcy Donalda Trumpa stoją na prostym stanowisku: zbyt wyraźne wsparcie dla ruchu pro-life przysporzy mu wyłącznie kłopotów. Większość Amerykanów ma w sprawie aborcji dość mętne poglądy: owszem, sprzeciwiają się forsowanej przez część demokratów legalności zabijania dzieci aż do końca ciąży, ale uważają, że całkowity zakaz aborcji byłby przesadą. Sformułowanie programowe z 1984 r. sugerowało właśnie tę drugą opcję, czyli dążenie republikanów do wprowadzenia w całych Stanach Zjednoczonych rozwiązań prawnych uniemożliwiających dzieciobójstwo niezależnie od okoliczności, a taki krok otoczenie Trumpa zdecydowanie odrzuca. Postawiono na inną narrację: po wyroku Sądu Najwyższego z 2022 r. sprawa jest w rękach poszczególnych stanów, nie trzeba się tym zajmować na szczeblu federalnym, a poza tym należy unikać wszelkich „skrajności”. Kandydat na wiceprezydenta J.D. Vance w przeszłości optował za całkowitym zakazem aborcji; teraz mówi nieco enigmatycznie, że skoro Donald Trump wyznaczył republikanom inny kierunek, to on nie będzie tego kwestionował. Po konwencji w Milwaukee widziałem w sieci wiele wyrazów głębokiego rozczarowania: katolicy i protestanci pro-liferzy deklarowali wprawdzie, że nadal będą głosować na Trumpa, ale już bez dawnego przekonania, niejako z duszą na ramieniu.

Cóż, mimo wszystko dziś wyborcy rzeczywiście nie mają, choć historycznie bywało zupełnie inaczej. Jeszcze pod koniec XX w. katolicy byli mocno oddani demokratom. Na tę partię głosowało nawet 70 proc. członków Kościoła katolickiego. Decydowały kwestie migracyjne: Amerykanie o korzeniach irlandzkich czy włoskich nie chcieli popierać protestanckich republikanów, bardzo niechętnych

w proklamacji wychwalano katolicką postawę odwagi w obliczu śmierci i gotowości do oddania życia za wolność wyznawania prawdziwej wiary. Phyllis Schlafly już tego wszystkiego nie dożyła; zmarła jeszcze w 2016 r., dwa miesiące przed wyborami. Dzień po jej śmierci opublikowano jej ostatnią książkę: „The Conservative Case for Trump” – manifest konserwatywnego poparcia dla Trumpa. Pewnie mogłaby Trumpowi wiele zarzucić, np. utrzymywanie progejowskiego kursu amerykańskiej dyplomacji, ale ostatecznie byłaby chyba zadowolona.

Nic dziwnego, że w tegoroczne wybory praktykujący katolicy weszli z jednoznacznym przekonaniem: stawiamy na Trumpa. W ostatnich tygodniach mieli zresztą dwie duże okazje do prawdziwej euforii. Kiedy 13 lipca lewacki ekstremista niemal zastrzelił Trumpa, wierzący zareagowali, ogłaszając, że doszło do cudu. Katolicki Internet – tak samo zresztą jak ewangelicki – został dosłownie zalany obrazkami, które prezentowały republikanina osłoniętego przez rękę

■ otwieraniu granic dla przybyszów z państw katolickich. Preferencje wyborcze katolików zaczęły zmieniać się dopiero po drugiej wojnie światowej, wraz z marginalizacją wcześniejszych sporów migracyjnych; zmiany zachodziły jednak powoli. Fundamentalna zmiana przyszła wraz z nową odsłoną wojny kulturowej. Jeszcze kilkanaście lat temu demokraci odrzucali małżeństwa homoseksualne, a o transgender w ogóle mówiło się mało. Teraz partia Bidena i Harris jest w awangardzie czysto marksistowskiej ideologii woke. Polaryzacja jest ogromna, bo spór nie dotyczy już kwestii szczegółowych, ale absolutnych fundamentów funkcjonowania społeczeństwa: republikanie wierzą, że są Bóg i natura; demokraci nie – a przynajmniej na to wskazują ich wypowiedzi i działania.

Z badania przeprowadzonego niedawno przez Pew Research Center wynika, że katolicy będą w efekcie głosować na Trumpa zdecydowanie chętniej niż na kandydata demokratów. Dotyczy to zwłaszcza białych wyborców. Wśród tych, którzy chodzą regularnie na Mszę św., Trump ma ponad 60 proc. poparcia. Co ciekawe, tylko katolicycy Latynosi wolą demokratów (to znowu kwestia migracji), ale nawet wśród nich wygrywa Trump, jeżeli ograniczyć się do grupy regularnie praktykujących. Biden czy Harris to wybór przede wszystkim tych członków Kościoła, którzy mają do wiary raczej luźny stosunek: rzadziej chodzą do kościoła i nie traktują poważnie wszystkich elementów jego nauki.

BEZALTERNATYWNOŚĆ

Można prognozować, że z czasem katolickie poparcie dla republikanów będzie tylko rosnąć, zwłaszcza jeżeli demokraci nie porzucą wokeistowskiej agendy, a na to nic nie wskazuje. Tym bardziej że zaangażowani katolicy w USA stają się coraz bardziej tradycyjni: do seminariów idą ci młodzi mężczyźni, którzy akceptują całość katolickiej doktryny, a w kościołach zostają ludzie o zdecydowanie konserwatywnym nastawieniu. Tylko w takich rodzinach istnieje też realny przekaz wiary. Katolicyzm liberalny w USA po prostu wymiera. Można zobrazować to na przykładzie różnic między sędziwym Bidenem a młodym Vance'em. Katolicyzm Bidena,

łączy polityczne poparcie dla dzieciobójstwa i genderyzmu z odmawianiem Różańca, został przez praktykujących uznany za wewnętrzną sprzeczność – i odrzucony. Na fali wznoszącej jest raczej katolicyzm w stylu Vance'a (przynajmniej „wczesnego” Vance'a, bo zobaczymy, jak będą rozwijać się jego poglądy): pewny siebie i przekonany do bezwzględnej prawdziwości nauki Kościoła. Ludzie o nastawieniu takim jak Vance nigdy nie poprą zideologizowanych demokratów. Tym bardziej że demokraci traktują tradycyjnych katolików jak groźnych przeciwników politycznych. FBI prowadziła w ostatnich latach działania wymierzone w środowiska związane z mszą trydencką, ewidentnie gwałcąc w ten sposób amerykańską

Wśród tych, którzy chodzą regularnie na Mszę św., Donald Trump ma ok. 60 proc. poparcia

zasadę wolności religijnej: śledzono katolików tradycyjnych tylko ze względu na ich przynależność do danej wspólnoty. W jednej z ważnych placówek szkoleniowych amerykańskiego wojska, Fort Liberty w Karolinie Północnej, pokazywano z kolei slajdy, zgodnie z którymi organizacje broniące prawa do życia to... grupy terrorystyczne.

To właśnie o takich działaniach demokratów mówi Trump, kiedy przekonuje, że katolicy tak naprawdę nie mają wyboru. Jak można głosować na kogoś, kto chce cię zniszczyć?

Dlatego – pomimo wszystkich rozczarowań – nie dziwi skala zaangażowania katolików na rzecz Trumpa. Już przy okazji kampanii 2020 r. powstał republikański ruch katolicki Catholics for Trump; jednym z jego liderów był popularny tradycjonalistyczny publicysta i youtuber Taylor Marshall. W tym roku organizacja działa znowu. Jej członkowie rozpoczęli ciekawą i bezprecedensową inicjatywę: zamawiają Msze w intencji Trumpa. Sympatycy ruchu zobowiązali się do zamówienia w sumie ponad 2 tys. Mszy, które mają być sprawowane aż do samych wyborów. Dość otwarcie za Trumpem

opowiada się też wielu katolickich publicystów, dziennikarzy i influencerów. Oprócz wspomnianego Taylora Marshalla to także Michael Matt, Eric Sammons, John-Henry Westen, Matt Walsh i wielu innych. Również duża część biskupów tylko z trudem ukrywa, kogo popiera. Wydają komunikaty dotyczące polityki pozbawione wprowadzienia nazwisk, ale jednoznaczne w swojej wymowie, trochę tak jak przedwyborcze odezwy biskupów w Polsce, niby bez partyjnych odniesień, ale przecież ewidentnie propisowskie. Frakcja demokratyczna w episkopacie ogranicza się do topniejącej grupy liberalnych hierarchów skupionych wokół pontyfikatu Franciszka, dla których najważniejsze sprawy to migracja, LGBT, ekologia i kara śmierci. Episkopat USA jako całość stawia jednak sprawy inaczej: z republikanami jest wiele problemów, ale priorytet to walka o prawo do życia dla każdego człowieka. To czyni demokratów niewybieralnymi. Nie ma też wątpliwości, co myślą księża, zwłaszcza ci młodsze pokolenia. Według ostatnich badań aż 80 proc. młodych kapłanów w Stanach Zjednoczonych ma konserwatywne poglądy. To wszystko kształtuje postawy tych wiernych, którzy regularnie uczęszczają na Mszę.

Bezalternatywność wyborów politycznych nie jest dobra, znamy to nazbyt dobrze z Polski. Przez długie lata Prawo i Sprawiedliwość, przekonane o poparciu Kościoła i katolickiej opinii publicznej, prowadziło politykę, która w wielu kwestiach była głęboko rozczarowująca. To samo może stać się w USA, jeżeli republikanie uznają, że głosy wierzących katolików i tak mają już w kieszeni. Jest jednak realna nadzieja na to, że będzie inaczej. Oprócz katolików twardym zapleczem politycznym republikanów są przecież ewangelicy protestanci, często o zupełnie zdrowych poglądach moralnych. Obie te grupy razem są siłą nie do zlekceważenia. Nawet jeżeli Trump i Vance w razie zwycięstwa nie dadzą bynajmniej początku nowej „epoce konstantyńskiej”, to mogą zdziałać wiele dobrego, choćby zwalczając szaleństwo ideologii wokeistowskiej. Zapowiadają, że tak właśnie zrobią – i nie ma powodów, by w to nie wierzyć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone
Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Akcja „Burza”

Miała być szczytowym osiągnięciem Polskiego Państwa Podziemnego wobec kończącej się wojny na ziemiach polskich. Stała się zaś klęską i unicestwieniem jego zasobów, istotnych szkód Niemcom nie wyrządziła i spowodowała ujawnienie się przed wkraczającymi Sowietami. Z wiadomym skutkiem. Mimo upływu dziesiątków lat od tej akcji nadal panują chaos pojęciowy i elementarna niewiedza.

W depeszy z 26 listopada 1943 r. do Naczelnego Wodza gen. Tadeusz Komorowski „Bór” informował o swych planach wojskowych i politycznych: „Nakazałem ujawnienie się wobec wkraczających Rosjan dowódcom i oddziałom, które wezmą udział w zwalczaniu uchodzących Niemców”. Faktycznie wkraczali Sowietci, a nie tylko Rosjanie, ale mniejsza o to. Ważniejsze jest przyznanie się gen. „Bora”, że wykażął się inicjatywą własną: „W tym punkcie rozkaz mój jest niezgodny z Instrukcją Rządu”. Była to zatem wojskowa i polityczna samowola!

W kolejnej depeszy, z 7 stycznia 1944 r., gen. „Bór” informował, że oddziały AK mają wystąpić wobec Armii Czerwonej w roli gospodarza. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie dalszy ciąg jego rozkazu: „Dowódca polski winien się zgłosić wraz z mającym się ujawnić przedstawicielem cywilnej władzy

administracyjnej u dowódcy oddziałów sowieckich i stosować się do jego życzeń!” To było niesłychane, Sowietci wkraczali na nasze ziemie nie jako nasi sojusznicy, ale jako nowi-starzy okupanci, a ich życzenia wobec nas były powszechnie znane.

Niestety, większość Okręgów AK przyjęła to z entuzjazmem, na szczęście były wyjątki, szczególnie tam, gdzie Sowietci zwalczali AK od dawna, jak np. okręg nowogródzki. Ale wyjątkową klasę pokazał ppłk Władysław Liniarski, komendant okręgu białostockiego. Zapytał bowiem wprost dowódcę AK: „Proszę o wyjaśnienie, kiedy ostatnio został zawarty nowy traktat przyjaźni z ZSRR [...], ponieważ prasa oficjalna polska i bolszewicka stwierdza, że bolszewicy są wrogami Polski”. Pismo „Mściśława” zatrzymał komendant obszaru Białystok (płk Edward Godlewski „Garda”), uznając, że jest ono... niestosowne! W dodatku usiłował skarcić ppłk. „Mściśława”, że jeśli dowódca AK wydał takie rozkazy, to „miał jakieś dane, być może dla nas niezrozumiałe... i jest on patriotą i Polakiem nie mniejszym od nas”. W związku z tym ppłk „Mściśław” nie przeprowadził mobilizacji, w „Burzy” udział wzięły tylko te nieliczne oddziały AK, które i tak były w polu (partyzantka). Dzięki temu Okręg Białystok nie uległ rozbiciu, zachowując swe aktywa w stanie prawie nienaruszonym. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Uczelnie pod żaglami

Gdy w 1920 r. powołano do życia Szkołę Morską w Tczewie, niemal natychmiast zakupiono bark „Lwów”. Żaglowiec miał stać się prawdziwą „kolebką nawigatorów” i faktycznie ta 50-letnia jednostka w ciągu kilku lat pokonała 65 tys. mil, a na jej pokładzie praktykę odbywała późniejsza elita polskiej marynarki handlowej. „Lwów” zarabiał na swoje utrzymanie (żaglowiec miał ładownie towarowe), dlatego jego rejsy uzależnione były od zleceń transportowych. Bark jako pierwszy polski statek przekroczył równik, a jego wspaniąły wygląd stanowił znakomitą reklamę polskiej bandery. Przy okazji była to prawdziwa szkoła życia dla kolejnych roczników słuchaczy Szkoły Morskiej. Inna sprawa, że uczestnicy rejsów nigdy nie zapomnieli swoich wypraw na pokładzie „Lwowa”.

Bark zakończył służbę w 1929 r. i przekazany Marynarce Wojennej został zdegradowany do roli hulku. Jego następcą został „Dar Pomorza”, fregata zakupiona ze składek mieszkańców Wybrzeża. Gdy żaglowiec holowano na remont do duńskiej stoczni w Nakskov, dostał się w silny sztorm, uratowało go jednak doświadczenie jego dowódcy Konstantego Matyjewicza-Maciejewicza. Fregatę przebudowano na jednostkę szkolną, a doświadczenia zebrane przez duńskich stoczników przydały się podczas budowy

sławnego, pływającego zresztą do dzisiaj, żagłowca „Danmark”.

„Dar Pomorza” rozpoczął służbę latem 1930 r., a jego najbardziej spektakularnym przedwojennym osiągnięciem było opłynięcie Ziemi. Jednostka przebyła 39 tys. mil morskich, dokonując tego wyczynu jako pierwszy polski statek (zakończenie rejsu miało miejsce 3 września 1935 r. w Gdyni). Dwa lata później fregata opłynęła przylądek Horn, a w latach 1937–1938 odbyła rejs na Karaiby.

W ostatnich dniach sierpnia 1939 r. „Dar Pomorza” odbywał rejs szkoleniowy po Bałtyku i na polecenie władz wpłynął do szwedzkiego portu Oxelösund. Tam zastał go wybuch wojny, z tego powodu został przeholowany do Sztokholmu i tam internowany. Większość jego załogi przedostała się do Anglii, by tam kontynuować walkę z Niemcami.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej fregata wróciła do kraju i służyła pod polską banderą aż do lipca 1982 r. (10 lat wcześniej wygrała etap Operacji „Żagiel”). Obecnie stoi zacumowana przy skwerze Kościuszki w Gdyni jako statek muzeum, oddział Centralnego Muzeum Morskiego. Miała więcej szczęścia niż jej poprzednik przekazany przed wybuchem wojny na złom, zabrakło bowiem środków na uratowanie zasłużonej jednostki. ©

Pluton Głuchoniemych



Powstanie Warszawskie. Pogrzb powstańców na dziedzińcu Instytutu Głuchoniemych

FOT. ARCHIWUM SZCZECIŃSKICH/EAST NEWS



Jerzy Dąbrowski

Na pomniku w Instytucie Głuchoniemych w Warszawie jest inskrypcja przypominająca o udziale wychowanków i ich nauczycieli w Powstaniu Warszawskim. Niemcy byli zdumieni, gdy dowiedzieli się, kto z nimi walczył

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. wielu głuchoniemych skupionych wokół najstarszego w Polsce Instytutu Głuchoniemych przy pl. Trzech Krzyży w Warszawie odczuwało potrzebę większego zaangażowania w życie społeczne nowo powstającego państwa. Do tej pory głównie zajmowali się zbiórką pieniędzy

dla najbardziej potrzebujących członków swojej społeczności.

18 czerwca 1922 r. utworzono pierwszy w Polsce Klub Sportowy Głuchoniemych. Po kilku latach organizacja zbudowana przez 14 podopiecznych Instytutu liczyła już 50 członków. Tuż przed wojną nauczycielem wychowania fizycznego w Instytucie został Wiesław Jabłoński. Ten gorący patriota i wojskowy razem z nauczycielem i wychowawcą Edmundem Malinowskim zaraził swoich uczniów chęcią obrony ojczyzny, nad którą zbierały się już czarne chmury niemieckiej agresji.

W pierwszych dniach września 1939 r. do pustej szkoły zaczęli powracać z wakacji jej uczniowie i nauczyciele. Jeden z wychowanków szkoły, Edward Góra ps. Cichy, dobrze zapamiętał bombardowania i oblężenie stolicy. Skala zniszczeń, które wtedy zobaczył w stolicy, przeszła jego oczekiwanie. Góra włączył się w ruch oporu i w połowie 1941 r. został łącznikiem w organizacji dywersyjnej „Wachlarz”, utworzonej w celu torpedowania zaopa-

trzenia armii niemieckiej, która właśnie rozpoczęła walkę w Rosji sowieckiej.

Inny niesłyszający, Janusz Będyński, opowiadał, jak łapanki i terror hitlerowski zamiast strachu spowodowały u niego chęć walki z okupantem. Do tworzącego się na początku wojny ruchu oporu zgłaszali się ludzie bardzo młodzi, często kilka lat przed uzyskaniem pełnoletności. Na początku wojny 20 uczniów ze swoimi nauczycielami wstąpiło do ZWZ. Grupa Wojciecha Jabłońskiego ps. Łuszczyc weszła w skład 4. kompanii „Zygmunta” (ppor. Zygmunta Supały) oraz V Zgrupowania „Siekiera” (ppor. Romana Rożałowskiego).

Edmund Malinowski ps. MundeK, weteran pierwszej wojny światowej, który walczył w Pierwszym Korpusie Polskim gen. Dowbor-Muśnickiego i wojnie polsko-bolszewickiej, zajmował się wojskowym szkoleniem teoretycznym z posługiwania się bronią i taktyką walki. Uczniowie Instytutu udawali, że przychodzą na zebrania towarzyskie, a w rzeczywistości zapozna-

wali się z bronią i taktyką walk ulicznych. Po skończonych zajęciach przenosili amunicję i „bibułę” do punktów kontaktowych.

Głuchoniemi podczas okupacji musieli nosić na rękę opaski z wroną i napisem „Taubstumme” (głusi). Niemcy nie zwracali na nich uwagi, bo byli przekonani, że osoby niepełnosprawne nie biorą udziału w konspiracji. Ignorowali ich i byli dla nich nieprzychylni – jak dla wszystkich niepełnosprawnych.

Dla głuchoniemych opaski były parawanem ochronnym przed częstymi kontrolami, którym poddawano osoby słyszające. Dzięki temu mogli przemycać broń, kolportować ulotki i prasę konspiracyjną. Wielu z nich zatrudniono w zakładach zajmujących się transportem, co jeszcze bardziej pomagało im w pracy konspiracyjnej. W jednej z takich warszawskich firm, o nazwie Pol-Stephan, prowadzonej przez austriackiego członka SS, pracowali głuchoniemi, którzy często wyjeżdżali ciężarówkami na dalekie trasy do Pińska i Brześcia, wożąc w specjalnych skrytkach broń i podziemną prasę dla wspomnianej już organizacji „Wachlarz”.

DO WALKI BEZ BRONI

27 lipca 1944 r., po zarządzeniu przez kierownictwo AK ostrego pogotowia, drużyna głuchoniemych zebrała się w kąpielisku Instytutu, aby przygotować się do nadchodzącego powstania. Byli w szoku, kiedy się dowiedzieli, że nie ma dla nich broni. Głusi nie mogli samodzielnie walczyć z Niemcami i posiadać broni. Podczas akcji zawsze musieli być z nimi żołnierze słyszający, aby zwrócić im uwagę na nadlatujące bomby lub na potrzebę zachowania ciszy.

Z bronią zawsze były największe problemy. Jeśli ktoś już miał pistolet czy karabin, to pożyczał go innemu żołnierzowi na czas, kiedy szedł się przespać. Edward Góra, który jako dziecko stracił słuch w wyniku przebytej choroby zapalenia opon mózgowych, opowiadał, że jego głuchoniemy kolega podczas zdobycia gmachu YMCA zabrał niemieckiemu jeńcowi pistolet, który na rozkaz dowództwa musiał oddać żołnierzowi walczącemu na pierwszej linii.

Kiedy nadeszła Godzina „W”, w Instytucie przebywało kilkadziesiąt osób. Już w pierwszych godzinach powstania w punkcie sanitarnym, przerobionym



Pluton Głuchoniemych FOT. DOMENA PUBLICZNA

z pokoju lekarskiego, opatrzone dwóch ciężko rannych Polaków i jednego niemieckiego jeńca. Wspomniani ranni odnieśli obrażenia podczas pierwszego w powstaniu ataku AK-owców na koszarzy żandarmów niemieckich przy ul. Frascati.

Na pl. Trzech Krzyży znajdował się czołg niemiecki z wycelowaną lufą na Instytut. Na szczęście nie oddano z niego strzału, co pozwoliło powstańcom na przegrupowanie swoich sił i przejście z rezerwy do grupy bojowej. Jak relacjonowała Irena Halska „Jagienka” – kilkadziesiąt metrów od placu, przy ul. Pięknej, Niemcy zajęci byli oddzielaniem kobiet od mężczyzn, których przed chwilą wyrzucili z domów. Hitlerowcy stawiali cywilów przed czołgiem, po czym wmieszali się w tłum niewiast, mając na sobie prochowce i chustki na głowach, maskując w ten sposób helmy i ukrywając karabiny. Liczyli na to, że powstańcy przepuszczą kobiety przez barykadę, a im uda się z nimi przejść. Jednak Polki się rozpięchły, uciekając w pobliskie uliczki. Niemcy nie zdobyli barykady. W nocy wszystkie okoliczne domy płonęły, oświetlając okoliczne ulice upiornym blaskiem dopalających się budynków. Plac Trzech Krzyży przechodził z rąk do rąk.

W wiele z opisów i relacji z powstania nie można było po wojnie uwierzyć. Jedną taką historię przytoczył Edward Góra w wywiadzie z reżyser Małgorzatą Bramą. Opowiadał o ukraińskim głuchoniemym Mikołaju Kozyrewie, który uciekł z transportu i jako żołnierz Armii Krajowej walczył w Powstaniu Warszawskim. Kiedy po wojnie wrócił do rodzinnego Dniepro-

pietrowska, nikt nie chciał mu uwierzyć w opowieści. Dopiero byli powstańcy, którzy pojechali tam z wizytą w latach 60., potwierdzili jego relacje.

W pierwszych dniach sierpnia 1944 r. została zorganizowana grupa powstańcza pod dowództwem byłego wychowanka Instytutu kpr. Kazimierza Włostowskiego ps. Igo. Jej członkowie pełnili głównie wartę i zatrudnieni byli przy ewakuacji rannych, gaszeniu pożarów i odgruzowywaniu.

Na początku słysząc żołnierze mieli problem z komunikowaniem się z głuchoniemymi, ale w miarę spędzonego z nimi czasu język migowy stawał się dla nich bardziej zrozumiały. Głusi mieli wyostrożony wzrok i orientację, która często ratowała ich przed śmiercią. Potrafili bardzo szybko dojrzeć i zlokalizować snajperów wroga, tzw. gołębiarzy. – Nie słyszeli świstu kul i wybuchów artyleryjskich i często udawali się tam, gdzie inni by nie poszli – twierdził Edward Góra w wywiadzie.

PLUTON 1107

Po nieudanym nocnym ataku powstańców z 1 na 2 sierpnia na gmach Sejmu, w którym stacjonowali Niemcy, „Łuszczyc” został przeniesiony do oddziału walczącego na Czerniakowie, a oddział głuchoniemych włączono do plutonu sierż. Małinowskiego, którego awansowano na porucznika.

Pluton Głuchoniemych o numerze 1107 składał się z 50 żołnierzy, wśród których w różnym okresie walczyło od 26 do 33 głuchoniemych,

■ w tym trzy kobiety, był ewenementem w historii wojen.

Podlegał trzeciej kompanii kpt. „Redy”, batalionu mjr. „Miłosa”, który stworzono w wyniku improwizacji. Inicjatorem jego powstania był por. Kazimierz Leski „Bradł”, oficer wywiadu i kontrwywiadu, osoba o przebogatym życiorysie i zasługująca na osobne opracowanie. Wystarczy wspomnieć, że „Bradł” w mundurze niemieckiej generała, z dokumentami na nazwisko von Hallmann, zdobył część niemieckich planów Wału Atlantyckiego. Rozpracowywał również niemieckie służby policyjne (strukturę i obsadę personalną) w ramach referatu 997, wchodzącego w skład kontrwywiadu KG AK.

Opiekunem i kapłanem Plutonu Głuchoniemych był ksiądz prałat Jan Kulczyński, p.o. kapłan kompanii „Reda”. Msze św. odbywały się w języku migowym.

W nocy 3 sierpnia powstańcy zaatakowali od ul. Wiejskiej zajęty przez Niemców gmach Gimnazjum Królowej Jadwigi. Dla drużyny głuchoniemych był to chrzest bojowy. Po krótkiej wymianie strzałów Niemcy się wycofali. Powstańcy zdobyli magazyn broni i żywności.

Głuchoniemi przeszli pod komendę dowódcy III kompanii kpt. „Redy”. Z zajętego przez nich „domu włoskiego” powstańcy Gajda i „Karabin” podjęli próbę podkopania się pod gmach YMCA zajęty przez oddział niemieckich żandarmów. Dwaj inni powstańcy plutonu – Sułkowski i Szyzskowski – codziennie przenosili z narażeniem życia z ul. Książęcej broń i amunicję.

W połowie sierpnia na stanowiska plutonu nasiliły się naloty Luftwaffe. Co chwila kogoś ratowano i przenoszono do szpitali. 3 września sztukasy obrócili w gruzy kościół św. Aleksandra, Gimnazjum Królowej Jadwigi i „dom włoski”. Głuchoniemi pomimo dotkliwych zniszczeń budynków, w których przebywali, wyszli z podziemi zniszczonego „domu włoskiego” ubieni wapnem, prawie bez strat. Zginęła tylko sanitariuszka Celina Kiluk „Poprad”. Został też ranny w głowę powstaniec Jerzy Obrycki „Bim”. Na dziedzińcu Instytutu grzebano poległych.

Niemieckie bomby trafiły również w gmach YMCA, gdzie bronił się oddział niemieckiej żandarmerii. Przyczyną tzw. friendly fire, którym poczęstowało Niemców ich własne lotnictwo, był po-



„Biuletyn Informacyjny” z 22 sierpnia 1944 r.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

grzeb niemieckiego żołnierza na podwórzu gmachu YMCA. Żandarmi ściągnęli z dachu flagę ze swastyką, aby przykryć nią ciało towarzysza. Wtedy nadleciały niemieckie samoloty, które nie widząc swojego znaku rozpoznawczego, zbombardowały budynek. Sytuację wykorzystali głuchoniemi powstańcy, przypuszczając atak na obiekt, w którym znajdowało się 30 niemieckich żandarmów. Jednym z nich był Kalmuk, którego oblał benzyną i podpalił 12-letni powstaniec.

Władysław Sieczyński ps. Władek Biały wspominał, że podczas walk zdarzały się sporadyczne ataki zemsty ze strony

młodych i zestresowanych powstańców. Przez całe swoje młode życie znali tylko hitlerowski terror, za który wreszcie mogli wziąć odwet. W wywiadzie udzielonym reżyserowi Bramie Sieczyńskiemu sam przyznał się do zastrzelenia rannego Niemca. Bał się, że po wyleczeniu z ran hitlerowiec wróci na pole walki i będzie ponownie strzelał do powstańców.

INSTYTUT W OGNIU

Po zdobyciu YMCA głuchoniemi powstańcy walczyli jeszcze z silnymi siłami niemieckimi zlokalizowanymi w Sejmie i Szpitalu św. Łazarza. Pełnili funkcje wartownicze, brali udział w wielu starciach z Niemcami, jednak z dnia na dzień powstanie chyliło się ku upadkowi w wyniku coraz większych ofiar oraz braku amunicji i jedzenia.

6 października rano na mocy porozumienia z Niemcami powstańcy opuścili Instytut pieszo i udali się do obozów. 26 października Niemcy podpalili Instytut, który Polacy odbudowali w 1948 r.

Większość głuchoniemych wyszła z Warszawy z ludnością cywilną. Do niewoli niemieckiej trafiło dziewięciu głuchoniemych wraz ze swoim dowódcą. Edmund Malinowski do końca wojny przebywał w Oflagu X C w Lubecie (numer jeniecki 224860). Polscy jeńcy pracowali do wyzwolenia w fabrykach i zakładach przemysłu kolejowego.

Po wyzwoleniu przez wojska angielskie Malinowski przebywał czasowo w obozie przejściowym w Oberlangen Stalag VI C. W 1945 r. wrócił do Polski i zamieszkał na Wybrzeżu w wynajętym mieszkaniu. W końcu 1945 r. objął gospodarstwo ogrodnicze w Gdańsku-Oliwie przy ul. Opackiej 8, gdzie wraz z żoną zajmował się hodowlą kwiatów i uprawą warzyw. Do Instytutu już nie wrócił. Od 1945 r. do marca 1954 r. był zarządcą cmentarza w Gdańsku-Oliwie, przy ul. Opackiej. W 1964 r. przeszedł na emeryturę. Po śmierci żony w 1978 r. schorowany przeniósł się do Państwowego Domu Rencistów w Gdyni-Redłowie, gdzie zmarł 5 czerwca 1980 r.

Dowództwo AK odznaczyło kpr. Kazimierza Włosowskiego Krzyżem Walecznych i awansowało do rangi starszych strzelców zastępcę drużynowego Ostachiewicza, Klimaszewskiego, Andersa i Obryckiego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Pomnik poświęcony pamięci głuchych żołnierzy Armii Krajowej na dziedzińcu Instytutu Głuchoniemych w Warszawie. FOT. RAFAL GUZ/PAP



MIELI LECIEĆ NA TYDZIEŃ, UTKNĘLI NA ORBICIE

Dwoje astronautów – Suni Williams i Butch Wilmore – miało polecieć na Międzynarodową Stację Kosmiczną na osiem dni. Tymczasem dni pobytu na orbicie liczą już w dziesiątkach. Doszło do usterki w ich statku – wycieku helu i unieruchomienia niektórych silników. Debata nad tym, czy jednostka jest wystarczająco bezpieczna, aby powrócić z astronautami na Ziemię, trwała długo i zakończyła się w ubiegłym tygodniu. Specjaliści z NASA doszli do wniosku, że do przeprowadzenia tej akcji należy użyć kapsuły SpaceX Crew Dragon, która wykonała już kilka misji załogowych od roku 2020. Wszystko wskazuje na to, że najdłuższy tydzień w życiu astronautów dobiegnie końca.

FOT. NASA

SZALIKI W UPALE

Na Sycylii w Dolinie Świątyń w Agrigento latem nagrywany będzie bożonarodzeniowy koncert. 31 sierpnia widzowie będą zmuszeni zastosować się do dress code'u zimowego, mimo temperatury przekraczającej 30 st. C. Długie rękawy, szaliki, marynarki, wszystko w ciemnych kolorach. Wydarzenie będzie emitowane we włoskiej telewizji komercyjnej Mediaset w Wigilię.

STARCIE DYPLOMATÓW

W Tokio podczas przygotowań do Międzynarodowej Konferencji Rozwoju Afryki doszło do rękoczynów. Bójka została wszczęta przez przedstawicieli Algierii, Maroka i Sahary Zachodniej. Dyplomata z Maroka rzucił się na przedstawiciela ostatniego państwa z powodu ustawienia przez niego na stole tabliczki z napisem „Republika Sahrawi” (Sahara Zachodnia), ponieważ jest to kraj, który nie został uznany przez Rabat. Na pomoc zaatakowanemu delegatowi przybył przedstawiciel Algierii.

NIE MA RYŻU W JAPONII

W Japonii sklepowe półki świecą pustkami. Zapasy ryżu są, według statystyk, najmniejsze od 25 lat. Za winnych uznano m.in. turystów. Od początku 2024 r. państwo zostało odwiedzone przez ponad 18 mln obcokrajowców. W połączeniu z ostatnimi trzęsieniami ziemi i kupowaniem przez ludzi żywności na zapas doprowadziło to do prawdziwego kryzysu ryżowego. Nawet jeśli artykuł pojawia się w sklepie, to jest zazwyczaj reglamentowany do jednej paczki na osobę.

ZAMKNĘLI PARKI. WINNE KOMARY

Komary w Plymouth w stanie Massachusetts przenosić mają końskie zapalenie mózgu. Władze miasta zdecydowały, że nocami zamykać będą wszystkie parki i boiska. W miejscach szczególnie niebezpiecznych umieszczane będą znaki ostrzegawcze. Urzędnicy apelują do mieszkańców, by używali preparatów odstraszających insekty. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Najstarszy człowiek świata

Był rok 1912. W kwietniu światem wstrząsnęła wiadomość o katastrofie na Atlantyku, w maju na warszawskich Powązkach został pochowany Bolesław Prus, w czerwcu powstał najstarszy poznański klub piłkarski Warta Poznań, a w sierpniu... przyszedł na świat John Alfred Tinniswood.

Wiekowy dżentelmen przeżył już 24 brytyjskich premierów, dwie wojny światowe, lądowanie na Księżycu, pandemię COVID-19 etc., a od 2012 r. regularnie otrzymywał kartkę urodzinową od Elżbiety II. O tym, że uznawany za najstarszego

żyjącego człowieka John Alfred Tinniswood w ubiegłym tygodniu skończył 112 lat, informowały zaś media na całym świecie.

Brytyjczykowi, który swe urodziny 26 sierpnia kolejny już raz obchodził w domu opieki, daleko jeszcze do historycznego rekordu. Zmarły w kwietniu 2024 r. Wenezuelczyk Juan Vicente Pérez Mora miał lat 114. Dopytywany przez dziennikarzy przekonywał, że tak długie życie zawdzięcza ciężkiej pracy, regularnemu spożywaniu niewielkiej ilości wysokoprocenowej aguardiente, lekkim ćwiczeniom i miłości do Pana Boga. Alfred

Tinniswood uważa z kolei, że człowiek żyje długo albo krótko i poza kwestią szczęścia niewiele może z tym zrobić.

Podobne założenie zdaje się przyświecać wielu światowym rządcom, których społeczeństwa w dramatycznie szybkim tempie się starzeją, jednak recepty na odwrócenie tego trendu brak. Po tym, jak GUS podał, że w czerwcu w Polsce urodziło się zaledwie 19 tys. dzieci (najmniej od drugiej wojny światowej), podejrzewam, że wkrótce zamiast o urodzinach najstarszych media skupiać się będą na nielicznych noworodkach...



Maciej Pieczyński

Mąż lub syn na froncie „specoperacji” to powód patriotycznej dumy, a także możliwość dodatkowego zarobku. Jedne Rosjanki protestują przeciw wojnie, inne chętnie wysyłają na nią swoich mężów i synów

Opozycyjna dziennikarka rosyjska Irina Sniegowska opublikowała w mediach społecznościowych ironiczny wiersz o matce, która namawia bezrobotnego syna, żeby poszedł do pracy w prywatnej firmie wojskowej i tym sposobem spłacił swoje długi. Pod nagraniem pojawił się komentarz o treści: „Gdzie pani widziała matkę, która by chciała wysłać swoje dziecko na wojnę?”. Oburzonemu internaucie zaczęli odpowiadać inni użytkownicy, którzy zapewniali, że mieli takie właśnie doświadczenia. Żony i matki dosłownie wyganiały ich na wojnę z Ukrainą. Padły różne argumenty. Jedna kobieta wskazywała na możliwość zarobku. Inna zauważała: „Twój syn będzie uważać cię za bohatera, twoja żona będzie wdową po bohaterze”. Pewna matka zaś groziła, że zabierze synowi i synowej dziecko z powodu ich antywojennych poglądów. Sniegowska skontaktowała się z tymi mężczyznami. Tak powstał reportaż dla opozycyjnej, prozachodniej, związanej z Radiem Swoboda telewizji Nastojaszczje Wriemia (Czas Teraźniejszy).

UMRZEĆ JAK MĘŻCZYZNA

Gdy we wrześniu 2022 r. w Rosji ogłoszono częściową mobilizację, Siergiej rozklejał plakaty antywojenne. Został zatrzymany przez policję. Wtedy stwierdził, że musi uciekać z kraju wraz z rodziną – żoną i synem, który miał wówczas niewiele ponad rok. Rodziców nie poinformował. Wiedział bowiem, że są oni zwolennikami Putina. Jednak matka przypadkowo znalazła w jego kurtce rachunek z kantoru, w którym wymieniał ruble na dolary. „Powiedziałem jej, że już kupiliśmy bilety, że za dwa miesiące



Moskwa jest kobietą

wyjeżdżamy. Tak naprawdę planowaliśmy wyjechać szybciej, ale powiedziałem „dwa miesiące”, żeby nie mogła nam fizycznie przeszkodzić” – opowiada Siergiej w rozmowie ze Sniegowską. Matka była wściekła. „Dlaczego nie

chcesz bronić swojej ojczyzny?! To twój obowiązek!” – tak jej słowa przytacza syn. Według Siergieja matka chciała, by poszedł na front nie dlatego, że miałyby z tego jakąś korzyść materialną. Nie oczekiwała, że syn przysyłałby jej pieniądze



Groby żołnierzy poległych podczas rosyjskiej napaści na Ukrainę na cmentarzu w Kursku

FOT. VLADIMIR ALEKSANDROV/ANADOLU/GETTY IMAGES

zarobione na wojnie. „Chodziło o to, że chciała mieć powód, żeby mogła być ze mnie dumna. Z tym zawsze były problemy” – mówi młody Rosjanin. Dalej ironizuje: „Chciała, żebym, niczym w starożytnej Japonii, zmył z siebie wstyd. Żebym stał się bohaterem, o którym ona będzie wszystkim opowiadać i z którego będzie dumna”.

Według jego relacji matka wpadła w histerię. „Dlaczego?! To twój obowiązek, jesteś facetem [dosłownie „ty mężczyźni” – po rosyjsku chłop, a także silny facet, mężczyzna – przyp. red.], no dawaj, i tak nie masz dobrej pracy, nic cię nie trzyma! I dorobisz sobie, i bohaterem zostaniesz, i syn będzie z ciebie dumny” – przekonywała. Była wściekła. Rozmawiali na ten temat kilkakrotnie. Za każdym razem podwyższonym tonem. „Ona nigdy nie potrafiła spokojnie rozmawiać na takie tematy – o polityce, religii itd. Od razu zawsze robiła się cała czerwona ze złości” – twierdzi Siergiej. Z tej mimochodem

wyartykułowanej uwagi można wywnioskować, że bohatera reportażu i jego matkę prawdopodobnie dzieli typowe, stereotypowe wręcz różnice światopoglądowe. On jest nie tylko przeciwnikiem wojny, lecz także lewicującym liberałem. Ona jest nie tylko zwolenniczką wojny, lecz także prawosławną konserwatystką. Tak czy inaczej Siergiej użył w dyskusji argumentu ostatecznego: „Czy ty rozumiesz, że na 90 proc. zginę w pierwszym tygodniu walk?”. „Ale za to umrzesz jak mężczyzna. Wszyscy będą z ciebie dumni. I Miszka, twój syn, będzie cię uważał za bohatera, i twoja żona będzie wdową po bohaterze” – usłyszał w odpowiedzi. Początkowo nie chciał postawy matki przyjąć do wiadomości. Wierzył, że ona tego wszystkiego nie mówi poważnie. Zmienił zdanie, gdy okazało się, że poprosiła jego młodszego brata, by doniósł na niego odpowiednim służbom. Ten ostatni okazał się jednak lojalny wobec Siergieja. Wysłał bratu screeny wiadomości od matki. „Podejrzewam, że on chce po cichu zwiać do Ameryki. Podejrzewam, że będą próbować to zrobić jeszcze przed jesienią, zanim pojawią się elektroniczne wezwania do wojska. Dzwon do wojenkomatu, żeby zabrali go jak najszybciej. Idź do wojenkomatu i powiedz, że on chce do Ameryki. Może zablokują mu wyjazd” – pisała matka do syna w sprawie drugiego syna. Poza tym groziła Siergiejowi i jego żonie, że zabierze im dziecko, jeśli nie zmienią planów.

A NUŻ WRÓCI...

Podobną historię Irina Sniegowska usłyszała od innego młodego Rosjanina. Grigorij, mąż i świeżo upieczony ojciec, również postanowił uciec przed mobilizacją. Krewni zarówno jego, jak i jego żony wspierali „specoperację”. Podczas jednej z rozmów telefonicznych Grigorij wyznał matce, że zamierza wraz z rodziną wyjechać z Rosji, żeby uniknąć wysłania na wojnę. „Grisza, po co tobie wyjeżdżać? Przecież za to jest odpowiedzialność karna. Po co ci to? A może jednak tam (na front) pojedziesz, spróbujesz, a nuż wrócisz?” – Grigorij nie uwierzył w to, co usłyszał od matki. Myślał, że się przesłyszał. Udał, że ma słaby zasięg, poprosił, by matka powtórzyła. Przekazał telefon żonie, która usłyszała od teściowej dokładnie to samo. Zresztą

jej matka również uznała, że jej zięć powinien spełnić „patriotyczny obowiązek”. Nie rozumiała, jak on może nie chcieć „bronić ojczyzny”. Grigorij wysuwał ten sam ostateczny argument co Siergiej, pytając: „A co, jeśli zginę na froncie?”. Matka milczała. „A co miała powiedzieć? Że nie będzie jej żal, gdy straci syna na wojnie?” – zastanawia się młody Rosjanin. Gdy o to samo pytała jego żona, teściowa jej odpowiadała: „Wszyscy idą (na front), niech i on pójdzie. A nuż wróci”. Grigorij, znając charakter matki, twierdzi, że tak naprawdę chodzi jej o to, co ludzie powiedzą. Boi się, że sąsiedzi będą ją potępiać, bo „wychowała syna na zdrajcę”.

Trzecim rozmówcą Iriny Sniegowskiej była Anna. Przed kamerą opowiedziała o swojej szkolnej koleżance Swietłanie, która „sprzedała własnego męża”. Po wybuchu pełnoskalowej wojny kobiety rozmawiały o wspólnym znajomym, który za namową żony zaciągnął się do Grupy Wagnera i zginął na froncie. Swietłana relacjonowała tę historię z dziwną, sadystyczną fascynacją. A przy tym dodała: „Ja, jeśli swojego puszcę, to tylko w ramach mobilizacji, żeby dostać za niego 7 mln rubli (316 tys. zł). Za takie pieniądze, jak zauważa Sniegowska, prawie we wszystkich regionach Rosji, oprócz Moskwy, można kupić dobre mieszkanie. Anna była w szoku. Gdy ogłoszono mobilizację, Swietłana, będąc wówczas w zaawansowanej ciąży, zawiozła swojego męża do wojenkomatu i zaczęła tam wypytывать, czy powinien spodziewać się wezwania do wojska. Tłumaczyła, że chce się upewnić, czy go zabiorą czy też nie. Poinformowała też komisję wojskową, że jej mąż, choć zameldowany u matki, mieszka u niej. W lutym 2023 r. Swietłana zadzwoniła do Anny. Pochwaliła się, że jej mąż poszedł na front na ochotnika.

Skąd taka postawa rosyjskich kobiet? Każdy z bohaterów reportażu ma na to swoją odpowiedź. Grigorij i Siergiej uważają, że ich matki mają mózgi wyprane przez wieloletnią antyukraińską propagandę. „Moi rodzice nie kierują się materialną motywacją. Ich poglądy wynikają z wychowania. To są posłuszni obywatele. Jeśli coś jest nielegalne, to oni od razu zaczynają się tego bać. Nie chcieli, bym wyjechał, bo bali się odpowiedzialności karnej” – mówi Grigorij. Podobnego

■ zdania o swoich rodzicach jest Siergiej. Przyznaje, że wielu Rosjan żyje w biedzie, są więc gotowi „sprzedać synów w niewolę” za 200 tys. rubli miesięcznie. Ale jego rodzina nie może narzekać na brak pieniędzy. Jego matka chce być z niego dumna. „Ona jest bardzo religijnym człowiekiem, niemal fanatykiem. W cerkwi mówią jej, że trwa »święta wojna« i że nasz przywódca to wspinały człowiek, że trwa wojna z satanizmem. W radiu to

z ojcem już wcześniej trudne relacje, więc od niego nie słyszał nic – ani namów, ani grózb, ani próśb. Z kolei ojciec Siergieja, gorący zwolennik inwazji na Ukrainę, w żaden sposób nie próbował zatrzymać syna, gdy ten postanowił uciec z kraju. A po ucieczce nadal chciał z nim rozmawiać. Ich relacje są poprawne.

Paradoksalnie w patriarchalnym społeczeństwie rosyjskim kobiety odgrywają istotną rolę. Idealnie pasuje tutaj powie-

i jest nim albo szatan (Woland w „Mistrzu i Małgorzacie”), albo personifikacja sowieckiej propagandy (Korczagin z „Jak hartowała się stal”), albo odważny żołnierz, który może i potrafi walczyć, ale nie może się zdecydować, po czyjej stronie – bolszewików czy białych (Mielechow z „Cichego Donu”).

Najbardziej pożałowania godne typy bohaterów – „człowiek zbędny” (inteligentny, ale słaby, jak Hamlet) i „mały człowiek” (biedny, poniżany urzędnik) – to mężczyźni. Za to kobiety rządzą tym światem. Tatiana u Puszkina odmówiła romansu z Onieginem (człowiekiem zbędnym) w imię wierności mężowi i ojczyźnie. Nastasja Filippowna, femme fatale o trudnym dzieciństwie z „Idioty” Dostojewskiego, wodzi wszystkich za nos i samą swoją urodą sprawia, że traktowana jest jak caryca. Nawrócenie Raskolnikowa ze „Zbrodni i kary” nie byłoby możliwe bez Soni i potęgi jej wiary. Anna Karenina rzuciła się pod pociąg, ale przedtem zdradziła męża i rzuciła wyzwanie środowisku, dumnie obnosząc się ze swoim romansem. I mąż, i kochanek byli od niej słabsi. Wreszcie panicznie bojący się miłości Gogol przedstawiał w wielu swoich romantycznych utworach kobiety jako... wiedźmy. Pociągające, ale śmiertelnie niebezpieczne, jak Pannoczka z opowiadania „Wij”.

Wracając do współczesnej wojennej rzeczywistości, czasem ta odwieczna siła rosyjskich kobiet obraca się nie tyle przeciwko mężczyznom, ile w ich obronie, przeciwko państwu. Tak było po ogłoszeniu mobilizacji we wrześniu 2022 r. Kobiety wyszły na ulicę protestować przeciwko wysłaniu na Ukrainę ich synów i mężów. Powstała Rada Matek i Żon Żołnierzy. Założycielka ruchu Olga Cukanowa, której syn trafił na wojnę, zapewniała o zaangażowaniu kilku tysięcy kobiet ze wszystkich regionów kraju. Rada głosiła hasła antywojenne i nawoływała do odesłania poborowych z frontu. Gdy Putin organizował demonstracyjne spotkanie z matkami zmobilizowanych, zamiast przedstawicieli Rady zaproszono na nie urzędniczki, działaczki Jednej Rosji czy powiązanych z Kremlm organizacji pozarządowych. Ostatecznie Rada została uznana za agenta zagranicznego i zakończyła swoją działalność.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Idealnie pasuje tutaj powiedzenie, że jeśli ojciec jest głową rodziny, to matka jest szyją. Gdy mężczyźni walczyli na froncie lub wracali z wojny okaleczeni psychicznie, kobiety musiały nie tylko zajmować się domem, lecz także tym domem rządzić

samo – codziennie słyszałem, jak rodzice słuchali audycji Sołowiowa”. Siergiej nie ma pretensji do matki, tylko do propagandy. To przekaz kremlowskich mediów sprawia, że Rosjanie wyżej stawiają państwo niż własne dzieci.

Z kolei na postawę Swietłany, zdaniem Anny, wpłynęła nie tylko propaganda, lecz także ciężka sytuacja materialna i trudne relacje z mężem. Ślub wzięła nie z miłości, a z powodu ciąży. Przyszła matka nigdzie nie pracowała. Utrzymywała się z zasiłku w wysokości 15 tys. rubli (niecałe 700 zł) miesięcznie. Dochody męża spadły po wybuchu wojny. Musiał sprzedać samochód. Dorabiał jako taksówkarz, jeżdżąc autem żony. Anna przekonywała koleżankę, że jeśli wyśle męża na wojnę, to on albo z niej nie wróci, albo wróci nie on, tylko ktoś inny, ze złamaną psychiką. Swietłana odpowiedziała przysłowiem: „Niech z parszywej owcy choć garść sierści zostanie”. Najpewniej liczyła albo na wypłatę męża, albo na odszkodowanie po jego śmierci. Anna zerwała z nią kontakt.

GŁOWA I SZYJA

Siergiej i Grigorij uciekli z Rosji. Rodziców nie informowali. Kontakt z nimi ograniczyli do minimum. Dzwonią do rodziców od czasu do czasu tylko po to, by ich dzieci mogły zobaczyć dziadków. Co znamienne, w obu przypadkach oboje rodzice to zwolennicy Putina. A jednak w obu przypadkach to właśnie matka wypychała syna na wojnę. Grigorij miał

dzenie, że jeśli ojciec jest głową rodziny, to matka jest szyją. Gdy mężczyźni albo walczyli na froncie, albo wracali z wojny okaleczeni psychicznie, albo zamiast broni brali do ręki butelkę (czasem jedno i drugie), kobiety musiały nie tylko zajmować się domem, lecz także tym domem rządzić. To odwieczne zjawisko w dużym stopniu odzwierciedla literatura rosyjska, której nie można pominąć w dyskusji o tak literaturocentrycznym kraju, którym jest Rosja. Po rozpadzie ZSRS rozpoczęła się wielka debata o przyczynach tragedii XX w.

Skąd się wzięły komunizm, totalitaryzm, stalinizm, terror? Ta debata jest dziś nieaktualna, bo Rosja Putina nie widzi już w tym wszystkim niczego złego, niemniej wnioski, wysnute wówczas, są istotne dla zrozumienia tej dziwnej formy feminizmu. Otóż winą często obarczano klasyków literatury – Puszkina, Lermontowa, Gogola, Dostojewskiego, Lwa Tołstoja i wielu innych.

Zarzucono im m.in. przesadny humanizm, brak potępienia dla najgorszych grzeszników, a także przesadną słabość bohaterów i niepotrzebną siłę bohaterów. Rzeczywiście, choć znamy Rosję z przeżeniami muskułów, to w największych dziełach jej najwybitniejszych pisarzy ze świecą szukać „supermenów”. Zamiast walczyć – rozprawiają o Bogu, sensie życia, znaczeniu dobra i zła, grzeszą i kają się (jak u Dostojewskiego). A gdy już pojawia się jakiś silny bohater, to w czasach ZSRS



Dominika Ćosić

Mniej więcej dwa razy rocznie media obiega informacja, że na Bałkanach lada chwila wybuchnie nowy konflikt zbrojny. Najczęściej chodzi o Kosowo, największy punkt zapalny. Teraz znowu skrzy na linii Belgrad – Prisztina i chodzi o kontrowersyjny most na rzece Ibar. Zmieniło się jednak podejście aktorów zewnętrznych, zwłaszcza USA i Unii Europejskiej. O ile 25 lat temu to USA patronowały Kosowu i parły do nalotów NATO na Serbię, o tyle teraz otwieranie kolejnego frontu nie jest Ameryce na rękę. Również Komisja Europejska apeluje do polityków z Kosowa: nie prowokujcie Serbów, bo nałożymy na was sankcje

W marcu minęło 25 lat od rozpoczęcia nalotów NATO na Serbię. Dokładnie 24 marca 1999 r. z włoskiej bazy Aviano wyleciały pierwsze samoloty. Celem było wymuszenie na Serbach zaprzestania czystek etnicznych w Kosowie, a pośrednio obalenie Slobodana Miloševića. Regularne wręcz bitwy między serbską policją i wojskiem a Wyzwoleńczą Armią Kosowa trwały co najmniej od 1998 r. Obie strony oskarżały się o okrucieństwo i pacyfikację przeciwników. Obie także mówiły o swoim prawie do Kosowa. Historycznie Kosowo było kolebką serbskiej państwowości, stąd wywodziła się pierwsza serbska dynastia królewska – Nemanjiciów. Tu powstała serbska Cerkiew autokefaliczna. Tu w średniowieczu budowano klasztory prawosławne, w których grzebano serbskich królów. Tu wreszcie, w 1389 r., rozegrała się bitwa na Kosowym Polu, która była początkiem końca Serbii i początkiem tureckiej ekspansji. Z formalnego punktu

widzenia bitwa nie została rozstrzygnięta, bo zginęli obaj władcy: serbski książę Larar i sułtan turecki Murad I. Wraz ze śmiercią księcia Lazara rozpadła się jednak koalicja chrześcijańska i Turkom było łatwiej podbijać i Serbię, i Bałkany. Sama bitwa do dziś w tożsamości Serbów jest kluczowym punktem, z nią związane są najważniejsze legendy i wiara w to, że Serbowie są narodem wybranym.

POLITYCZNA PUSZKA PANDORY

Albańczycy zaczęli się w Kosowie osiedlać kilkaset lat temu, ale jeszcze na początku XX w. to Serbowie byli tam większością. Sytuacja zaczęła się zmieniać po drugiej wojnie światowej, kiedy wielu Serbów opuściło Kosowo, a ich miejsce zajmowali Albańczycy. Tuż po zakończeniu wojny marszałek Tito na krótki czas otworzył granicę między Jugosławią a Albanią, pozwalając wielu Albańczykom uciec spod reżimu Envera Hodży. Wielką

ny Zjednoczone pod wodzą Billa Clintona były jednak zdeterminowane. Decyzja o nalotach zapadła wbrew rezolucjom ONZ. Po 25 latach tamta decyzja wciąż budzi kontrowersje. Z jednej strony, NATO mówiło o „pierwszej wojnie o prawa człowieka, a nie o ropę naftową” i konieczności zakończenia czystek etnicznych dokonywanych przez Serbów. Z drugiej jednak strony (abstrahując od tego, że część oskarżeń okazała się być nieprawdziwa), Serbia nie zagrażała żadnemu krajowi członkowskiemu NATO, zatem nie było bezpośredniego powodu do bombardowań. Naloty nie doprowadziły od razu do obalenia Miloševića. Przeciwnie – Serbowie zjednoczyli się wobec rządu. Ofiarami „kosmetycznych nalotów” padło kilka tysięcy niewinnych ludzi. Zniszczona została też infrastruktura. Po ich zakończeniu rozpoczęły się czystki etniczne dokonywane przez Albańczyków na Serbach i Romach. Naloty doprowadziły

Most na rzece Ibar

rolę odegrała demografia, albańscy mieszkańcy Kosowa wzięli sobie do serca słowa Arafata, że najlepszą bronią Palestyny są płodne kobiety palestyńskie. Współczynnik dzietności jest u Albańczyków z Kosowa kilkukrotnie wyższy niż u tamtejszych Serbów. Na początku 1999 r. nie było jeszcze konsensusu wewnątrz NATO co do decyzji o bombardowaniu Serbii. Wątpliwości miała zwłaszcza Francja. Sta-

do secesji Kosowa, które w 2008 r. ogłosiła niepodległość i uznała ją większość krajów unijnych (poza Cyprem, Grecją, Hiszpanią, Rumunią i Słowacją). Otwarta została polityczna puszcza Pandory, bo zanegowano nienaruszalność granic. Kilka miesięcy później Rosja to sprytnie wykorzystała w przypadku Gruzji, Osetii i Abchazji, a w 2014 r. Krymu. Serbia została wypchnięta z kręgu transatlantyckiego. ■

■ Jeśli zastanawiamy się nad przyczynami prorosyjskości sporej części społeczeństwa serbskiego, to naloty NATO były tym, co zniechęciło Serbów do USA, NATO i UE, a jednocześnie zbliżyło do Rosji, która przez całe lata przypominała Serbom, że to ona jako jedna z niewielu sprzeciwiała się i nalotom NATO, i niepodległości Kosowa.

SYMBOL PODZIAŁU

Co do samego Kosowa spełniło się wiele obaw. Do dziś kraj jest finansowo uzależniony od pomocy z zewnątrz. Zarówno walka z bezrobociem, zwłaszcza wśród młodych ludzi (a przecież Kosowo to jedno z najmłodszych pod względem średniej wieku obywateli państw europejskich), jak i walka z korupcją idą mozolnie. O niestabilności systemu politycznego świadczy to, że co kilka miesięcy upadają kolejne rządy. Na czele kraju stali do niedawna ludzie poszukiwani przez trybunał do spraw zbrodni wojennych w Hadze.

No i wreszcie relacje między Albańczykami a Serbami. Do niedawna przedmiotem sporu była kwestia tablic rejestracyjnych samochodów. Serbia nie chciała się zgodzić na kosowskie tablice rejestracyjne, podobnie jak oczywiście mieszkający w Kosowie Serbowie. Mediatorem starała się być Komisja Europejska, która wobec i Serbii, i Kosowa stara się wykorzystywać ten sam wabik – obietnicę przyspieszenia rozmów negocjacyjnych w sprawie członkostwa. Choć może lepszym słowem byłoby „szantaż”. Oba kraje są w pewnym sensie zakładnikami. Serbia, chcąc wejść do UE, poza innymi warunkami musi również uznać Kosowo i uregulować z nim relacje. Kosowo również musi dbać o poprawne relacje z Serbią. Od kilku lat działa specjalna komisja Serbia-Kosowo i w miarę regularnie, najczęściej w Brukseli, odbywają się rozmowy z udziałem przedstawicieli Serbii, Kosowa i Unii. A spory jak były, tak są, dochodzą też nowe pola konfliktu.

Najnowszym jest most na rzece Ibar. Trudno o bardziej symboliczny obraz sytuacji w regionie i podziałów. Most dzieli Kosowską Mitrowicę na części północną serbską i południową albańską. Bywałam na nim kilka razy i za każdym razem tak samo mocne wrażenie robiło na mnie to, że



Przez całe lata Albańczykom uchodziło na sucho znacznie więcej niż Serbom

prawie żaden Albańczyk nie przechodzi na stronę serbską, podobnie jak prawie żaden Serb nie przechodzi na stronę albańską. Ten most, na którym najczęściej zobaczyć można tylko włoskich policjantów mających zapewniać bezpieczeństwo, jest symbolem podziału i wzajemnej nienawiści. Zresztą co jakiś czas wraca pomysł, by dokonać podziału Kosowa na części serbską i albańską, po czym serbską część przyłączyć do Serbii. W zamian Serbia miałaby oddać Kosowu leżący na południu kraju region Preszewa i Bujanovac. Most wzbudził ponownie zainteresowanie po

tym, jak premier Kosowa, Albin Kurti, ogłosił, że zaczął nim jeździć samochody. Na to Serbia absolutnie nie chce się zgodzić. Bruksela znów próbowała mediuwać, ale spotkała się z oporem ze strony prezydenta Kosowa. Vjosa Osmani oskarżyła KE o rasizm i stwierdziła, że Komisja nie ma żadnego prawa, by decydować o tym, jakie inwestycje będzie realizować Kosowo i jakie decyzje będzie podejmować. Ten butny ton nie dziwi. Przez całe lata Albańczykom uchodziło na sucho znacznie więcej niż Serbom i politycy kosowscy przyzwyczaili się do parasola ochronnego, który nad nimi rozpięty USA.

Nie zauważyli jednak, że sytuacja się zmieniła i tym samym zmieniło się podejście do Kosowa. O ile 25 lat temu Waszyngton był głównym adwokatem Prisztiny i jednocześnie parł do wojny, o tyle teraz wojny nie chce. Politycy amerykańscy doskonale zdają sobie sprawę, że mające problemy wewnętrzne USA



Patrol włoskich karabinierów na moście w Mitrowicy nad rzeką Ibar

FOT. KONSTANTINOS ZILDS/NURPHOTO/AFP/EAST NEWS

powinna ją zacząć traktować bardziej po partnersku. Był to jednocześnie sygnał wysłany do Rosji, że Serbia ma innego, jeszcze silniejszego partnera lub protektora.

WIELKA ALBANIA

Relacje Kosowa z Serbią to niejedyny powód do niepokoju. Coraz bardziej aktualny staje się stary projekt stworzenia „wielkiej Albanii”, czyli tej powstałej z połączenia Albanii, Kosowa i zachodniej części Macedonii Północnej – trójkąta Tirana-Prisztina-Kosowo. Ta koncepcja powstała ponad 100 lat temu i opiera się na pomysle stworzenia nowego państwa powstałego z połączenia ziem zamieszkiwanych przez Albańczyków. Choć pierwotnie mowa była także o części Grecji, to jednak najbardziej realne jest zjednoczenie Albanii, Kosowa i części Macedonii Północnej – w tym kraju, zwłaszcza na zachodzie, Albańczycy stanowią prawie 40 proc. ludności. Obawy podsycają wypowiedzi zwłaszcza Albina Kurta. Puszczając wodze fantazji, gdyby doszło do powstania Wielkiej Albanii, byłoby to pierwsze w większości muzułmańskie państwo w Europie.

Zresztą to ryzyko dostrzegł nawet amerykański dyplomata, Christopher Hill, który stwierdził, że lata 90. ubiegłego stulecia minęły pod znakiem obawy przed „Wielką Serbią”, a teraz te obawy zastępuje lęk przed „Wielką Albanią”. Kluczowe jest pytanie, czy ta koncepcja miałaby poparcie ze strony największych światowych graczy. Dwadzieścia pięć lat temu odpowiedź mogłaby być twierdząca, teraz jednak znak zapytania jest większy. Jeśli wielka Albania miałaby być równowagą dla Serbii, to w praktyce byłaby to raczej nierównowaga, bo Serbia byłaby w tym starciu na przegranej pozycji. Stąd też nie trzeba w ten sposób dodatkowo osłabiać Serbii.

Na koniec pytanie, które powinno się pojawić na początku tekstu: Czy faktycznie Bałkany znowu zapłoną? Nikt nie jest w stanie uczciwie na nie odpowiedzieć. Gdybym miała się założyć, obstawiałabym, że napięcie będzie się dalej utrzymywać, co jakiś czas polewane nowymi lub starymi sporami. Tak długo jednak, jak długo wojna nie opłaci się największym światowym graczom, ryzyko jej wybuchu na szczęście nie jest bardzo duże.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

muszą nie tylko oszczędzać, lecz także redukować punkty zapalne. Stanów Zjednoczonych pod żadnym względem nie stać na otwarcie kolejnego frontu. Wciąż trwa przecież wojna na Ukrainie, wciąż trwa konflikt na Bliskim Wschodzie, zbliża się konfrontacja (przynajmniej ekonomiczna) z Chinami i ostatnie, czego Białemu Domowi potrzeba, to konflikt na Bałkanach. Podobnie do tematu zaczyna podchodzić Unia Europejska, stąd też płynące do Prisztiny ostrzeżenia z Waszyngtonu i Brukseli oraz apel o nieprovokowanie Serbów. KE zagroziła Kosowu sankcjami, co spotkało się z zaczepną odpowiedzią ze strony polityków kosowskich. Przyzwyczaili się do praktykowanej od ponad 25 lat taktyki polegającej na prowokowaniu Serbii bądź Serbów z Kosowa (co, biorąc pod uwagę bałkański temperament, nie jest specjalnie trudne) i tego, że następnie to Serbię spotykała za to kara. Ta metoda

już jednak nie działa. O ile Serbowie dają się czasem sprowokować, o tyle Bruksela i Waszyngton winą za to obarczają Prisztinę, nie Belgrad. Krajem, który skorzystałby na wojnie na Bałkanach, jest Rosja. Odwróciłoby to uwagę od wojny na Ukrainie. Stąd też Rosja stara się dolewać oliwy do ognia.

Serbia zaczęła jednak grać już nie tylko na jednym instrumencie. Pokazała to majowa wizyta chińskiego prezydenta w Serbii. Podczas wyprawy do Europy odwiedził on tylko trzy kraje: Francję, Węgry i Serbię. Efektami były podpisane umowy o nowych inwestycjach – w tym budowie nowoczesnych połączeń transportowych między Serbią a Węgrami (budowanych przez Chiny) czy też wymianie naukowej. Podejmując iście po królewsku Xi Jinpinga, prezydent Serbii, Aleksandar Vučić, wysłał sygnał przede wszystkim do Unii. Chciał pokazać, że Serbia ma wybór. Nie jest skazana tylko na UE, zatem Unia



Turyści niemiłe widziani



Teresa Stylińska

Mieszkańcy najbardziej obleganych przez turystów miejsc Europy niejedno już widzieli, od zwykłych wandali dokumentujących na starych murach swą obecność do młodych Anglików zjeżdżających na zakrapiane imprezy kawalerskie. To jednak, co latem tego roku wydarzyło się we Florencji, przeszło wszelkie wyobrażenie i nic dziwnego, że florentyńczycy domagali się, by sprawczynię spotkała najsurowsza kara

Pewna młoda kobieta nie dość, że wspięła się na stojący w centrum miasta posąg Bachusa, to jeszcze zachowywała się obscenicznie, obsypując Bachusa pocałunkami i bez

żenady symulując akt seksualny. Swoją wyczyn zaprezentowała w Internecie, i słusznie. Bo – jak wszystkim wiadomo – coś, czego nie ma w sieci, w ogóle nie miało miejsca.

Bachus wyrzeźbiony przez XVI-wiecznego florenckiego rzeźbiarza Giambo-lognę to kopia – oryginał znajduje się w jednym z muzeów Florencji. Dla oceny postępowania owej kobiety wątpliwego rozumu i równie wątpliwych obyczajów nie ma to jednak żadnego znaczenia. Dziedzictwo jest dziedzictwem. „Ludzie pozwalają sobie na tak barbarzyńskie zachowania, ponieważ czują się bezkarni” – zauważyła Patrizia Asproni, przewodnicząca organizacji Concultura, której zadaniem jest promowanie włoskiej kultury.

Władze miasta zapowiedziały, że kobieta – jeśli zostanie zidentyfikowana – na całe życie otrzyma zakaz wstępu do Florencji. Czy jednak udało się ustalić jej tożsamość, nie wiadomo. Warto



Na turystach kto inny zarabia, a zupełnie kto inny musi zmagać się z konsekwencjami ich obecności. Stąd protesty m.in. mieszkańców Majorki

FOT. CARLOS ALVAREZ/GETTY IMAGES

równie ważne, a może nawet ważniejsze – fotografują się na tle cudów świata, by pochwalić się później w mediach społecznościowych. Ofiarą ciekawości i naporu mas, a po trosze także chciwości okolicznych mieszkańców, którzy za opłatą prowadzili turystów tam, gdzie nie było wolno, padły np. dwie wyjątkowe plaże – zielona plaża Papakolea na Hawajach, jedna z zaledwie czterech zielonych plaż na świecie, i malownicza Maya Beach w Tajlandii. Tę ostatnią na cztery lata zamknięto, by zdewastowana przyroda miała szansę się zregenerować – co też się stało.

Turystyka, niegdyś wynoszona pod niebiosa jako źródło wiedzy i relaksu dla jednych, a pracy i dobrobytu dla innych, ma dziś niedobrą prasę. I słusznie, bo dobrze sobie na to zasłużyła. To nie powinno właściwie dziwić bo – tak jak w bardzo wielu dziedzinach – ilość z reguły nie przechodzi w jakość. Tymczasem objeżdżanie świata stało się zjawiskiem masowym, napędzanym przez wiele czynników, poczynając od tanich lotów, przez łatwość znalezienia noclegu i porady internetowych podpowiadaczy, do aktywności biur podróży, które żyją z szukania, zachęcania i znajdowania klientów. Czy jest w tym wszystkim miejsce na względy inne niż interesy? I czy oczekiwanie tego nie jest aby naiwnością?

Na tym polu fatalną, choć niezamierzoną rolę aż nazbyt często odgrywają media. Media, zwłaszcza film i telewizja, to najskuteczniejsza, bo niewymuszona reklama. Miejsce, w którym kręcono hit kinowy czy telewizyjny, często samo w sobie staje się dla turystów celem wartym podróży. Gdyby nie „Niebiańska plaża” z Leonardem DiCaprio, któż by słyszał o istnieniu Maya Beach? Grecką wyspę Skopelos spopularyzował film „Mamma mia”, Sandomierz – oczywiście „Ojciec Mateusz”, wyprawom na safari do Kenii pomogło zapewne „Pożegnanie z Afryką”.

Połączeń turystyczno-medialnych jest więc pod dostatkiem i nic dziwnego, że władze i mieszkańcy wielu malowniczych, a szerokiej publiczności mniej znanych miejsc wręcz marzą o tego rodzaju bezpłatnej reklamie. Do czasu. Bo skutki bywają niepożądane. Oto miasteczko Atrani na Wybrzeżu Amalfitańskim, uchodzące za jedno z najpiękniejszych we Włoszech, zмага się z najazdem ludzi,

którzy po prostu muszą zobaczyć miejsce, gdzie nakręcono Netflixowy serial „Ripley”, kolejną ekranizację powieści Patricii Highsmith. Jeśli wierzyć relacjom dziennikarskim, to do spokojnego Atrani, mającego zaledwie 860 mieszkańców (to najmniejsza gmina Włoch), przyjeżdżają tysiące ludzi. Z pewnością – i to jest pocieszające – nie na zawsze, bo wcześniej czy później nowy film czy serial skutecznie popchną uwagę wędrujących mas w jakimś innym kierunku.

SPOKÓJ POD OSŁONĄ ŁAŃCUCHÓW

Uroków masowej turystyki Atrani doświadcza dopiero od dwóch lat i tylko dlatego, że uwagę zwróciła nań kultura, zresztą również masowa. Co jednak mają powiedzieć ci, którzy żyją w starych miastach pełnych śladów przeszłości, wśród cudów przyrody, albo też w miejscach szczególnie malowniczych? W Wenecji, Dubrowniku, Barcelonie, Rzymie, Amsterdamie czy Lizbonie? Na Majorce, Wyspach Kanaryjskich, Maderze, Santorini, Mykonos i wśród gejzerów Islandii? W austriackim miasteczku Hallstatt, odwiedzanym ponad wszelką miarę, bo sława „najpiękniejszego miejsca Europy” robi swoje, w szwajcarskich dolinach czy nad górskimi jeziorami, w których zbocza i szczyty odbijają się tak pięknie, że grzechem byłoby nie zamieścić fotek na Instagramie? Na świecie popularnością wszystkim tym miejscom dorównują Machu Picchu, Angkor Wat, Tadž Mahal, Hawaje i wiele innych miejsc.

Wszędzie tam ciągną hordy turystów – jak się je teraz określa – nie tłumy, nie grupy, nie gromady. I przed najazdem hord, jak niegdyś przed najazdami hord wikingów czy Tatarów, mieszkańcy się bronią. Co siłą rzeczy oznacza także nacisk na lokalne władze, by coś z tym problemem zrobić.

„Majorka nie jest na sprzedaż”, „Ograniczmy napływ turystów”, „To nie turystofobia, tylko liczby: 1 232 014 mieszkańców, 18 mln turystów” – bannery tej treści nieśli uczestnicy manifestacji przeciwko masowej turystyce, które w samym środku lata miały miejsce na Majorce i innych wyspach archipelagu Balearów. Był to kolejny z całej serii protestów, które już od kwietnia zaczęto organizować w najbardziej popularnych turystycznie

natomiast wiedzieć, że jest w tej sprawie precedens. Raper Kanye West i jego żona nigdy już nie będą mogli odwiedzić Wenecji, bo rok temu, pływając łodzią po weneckich kanałach, zachowywali się nieprzystojnie.

ŚWIAT W NIEUSTAJĄCEJ PODRÓŻY

Gdy turyści budzą zgorzelenie czy powodują zniszczenia, a sprawca jest znany, władze z reguły grożą srogimi konsekwencjami, z finansowymi włącznie. Tak było, gdy koło wyspy Maui na Hawajach luksusowy jacht Nakoa uszkodził rafę koralową. Częściej jednak winowajca ma charakter zbiorowy. Zabytki kultury czy przyrody niszczy nie jeden człowiek, ale niszczą masy ludzkie, które tłoczą się, zdeptują, wszystkiego dotykają i – co

■ miejscach Hiszpanii, od Teneryfy do Barcelony. W stolicy Katalonii niektórzy przeciwnicy masowej turystyki przeszli nawet od słów do czynów, oblewając grupy turystów wodą. Co – choć niespecjalnie przyjemne – jest działaniem dość niewinnym w porównaniu z podpalaniem zagranicznych samochodów, do czego dochodziło na wyspach parę lat temu.

W tym roku jednak prawdziwą determinacją wykazali się mieszkańcy Minorki, drugiej co do wielkości wyspy Balearów. Minorka popularnością ustępuje Majorce i Ibizie, nie na tyle jednak, by była wolna od obecności turystów, natarczywych i pozbawionych skrupułów. Turyści krążą wśród domów, gdzie i kiedy chcą, pukają do drzwi, a nawet wdrapują się na balkony. I oto mieszkańcy jednej z ulic w malutkim miasteczku Binibeca Vell – niestarym, bo wybudowano je w latach 60., ale z uwagi na wąskie, kręte, malownicze uliczki porównywanym do Mykonos – znaleźli na nich sposób: na noc ulica jest zamykana łańcuchem.

MAJORKA TYLKO DLA OBCYCH

Efektowne akcje przyciągają uwagę, proza życia w cieniu wszechobecnej turystyki przekłada się jednak na najzupełniej konkretne postulaty. Mieszkańcy ośrodków turystycznych pragną, by turystykę utrzymywano w rozsądnych granicach. Co to właściwie znaczy? Należy zadbać o to, by obecność rozrywkowo nastawionych gości nie utrudniała życia mieszkańcom. Nikt nie życzy sobie hałasu, brudu, śmieci, pijaństwa. Należy ograniczyć budowę nowych hoteli (to jedno z żądań mieszkańców Teneryfy). Przede wszystkim jednak nie wolno dopuścić do tego, by turystyka rozwijała się kosztem mieszkańców.

Miejscowi oczywiście dobrze wiedzą, że stan gospodarki – miast, regionów, a także państw takich jak Grecja, Hiszpania, Turcja czy Egipt – w dużym stopniu zależy od napływu turystów. Z ich obecności żyją właściciele i pracownicy hoteli, firmy, które te hotele budują, restauratorzy, przewodnicy, kierowcy autokarów, producenci pamiątek (czy może nawet częściej ci, którzy znacznie taniej sprowadzają je z Chin). Rzecz w tym, że to tylko jedna strona medalu. Drugą są uciążliwości. Na turystach kto inny zarabia, a zupełnie kto inny musi zmagać się z konsekwencjami ich obecności.

Taką konsekwencją, którą jeszcze kilkanaście lat temu trudno było przewidzieć, jest kryzys mieszkaniowy i związane z tym wyludnianie się atrakcyjnych turystycznie miast. Mieszkańcy się wyprowadzają, bo wobec drastycznego wzrostu cen nie stać ich na wynajęcie mieszkania czy domu. Praprzyczyną tych fatalnych dla mieszkańców zmian jest coraz powszechniej praktykowany, bo bardzo dochodowy, najem krótkoterminowy, obliczony właśnie na turystów. Z perspektywy kogoś, kto zwiedza miasto, jest to zjawisko niedostrzegalne, dane jednak nie pozostawiają wątpliwości. W 1970 r. Wenecja miała ponad 350 tys. mieszkańców. Dziś tylko 250 tys.

Przeciwko wzrostowi kosztów mieszkań protestują również mieszkańcy Majorki czy Wysp Kanaryjskich. „Nasze miejsce na Majorce zajmują ci, których stać na to, by tu mieszkać. A my jesteśmy wyrzucani” – mówił brytyjskiemu dziennikowi „Daily Telegraph” jeden z organizatorów protestów.

Trudno nie zauważyć, jak zdegenerowała się idea, która legła u podstaw platformy Airbnb. Założenie, by ludzie wymieniali się mieszkaniami, a więc mogli tanio podróżować, zrodziło nową formę wynajmu: często i na krótko.

NIE DO ROZWIĄZANIA

Wenecja, miejsce jedyne w swoim rodzaju, masowo więc oblegane, zarówno ilustruje negatywne trendy turystyczne, jak i inspirowa rozwiązania. Najnowsze to wprowadzenie wiosną tego roku opłaty pobieranej od turystów, którzy przyjeżdżają do miasta tylko na jeden dzień. Opłata wynosi 5 euro, jest pobierana w okresie szczytu turystycznego i ma zachęcić ludzi do przyjeżdżania poza sezonem. Czy skutkuje? Nie brakuje opinii, że jest za niska, by mogła kogokolwiek zniechęcić. Być może, jak sugerują ludzie, należałoby raczej wprowadzić limit osób wpuszczanych do miasta, na wzór rozwiązania przyjętego w Machu Picchu.

Wenecja nie bez przyczyny stara się ograniczyć liczbę turystów jednodniowych. Ich masowa obecność – co do tego zgodni są władze i obserwatorzy – ma wiele minusów i nie ma żadnych plusów. Jednodniowe zbiorowe wycieczki trwają często zaledwie kilka godzin, w ich trakcie zwiedzający przelatują standar-

dową trasę obejmującą zatłoczony ponad wszelką miarę plac św. Marka i most Rialto. Turyści tej kategorii hotelom w ogóle nie dają zarobić, restauracjom rzadko, najwyżej kupują pamiątki. Z tych samych powodów w Wenecji źle odbierano obecność turystów z wycieczkowców. Na domiar złego ogromne statki, wpływając do portu, powodowały fale, które działały niszcząco na budynki.

Właśnie problemy związane z wycieczkowcami zapoczątkowały w Wenecji protesty przeciwko turystyce w wydaniu masowym. Przede wszystkim to zwróciło uwagę na istnienie problemu i skłoniło władze miejskie do podjęcia pierwszych decyzji – może nie fundamentalnych, jednak łagodzących choć trochę niedogodności związane z codziennym napływem tysięcy ludzi. Grupy turystyczne nie mogą dziś być większe niż 25 osób, a przewodnikom nie wolno używać głośników. Już wcześniej zabroniono jedzenia na dworze i karmienia gołębi.

Do władz miast powoli dociera też świadomość, że istnienie najmu krótkoterminowego na potrzeby turystów może stanowić zarzewie problemów. Ostatnio burmistrz Barcelony ogłosił, że za pięć lat takiego najmu nie będzie, bo miasto w interesie społecznym położy mu kres. Brzmiałoby to nawet obiecująco, gdyby nie jednoczesna deklaracja, że zwolnione w ten sposób mieszkania zostaną przeznaczone dla potrzebujących. A co z prawem własności? – nie bez racji pytają sceptycy wątpiący w sens takich pomysłów.

Wszystko to razem wzięte nie ułatwia szukania odpowiedzi na pytanie, w jakim kierunku powinna rozwijać się turystyka, skoro powoduje tyle niedogodności w miastach i niszczenie natury poza nimi (mieści się w tym rzecz jasna również zabudowywanie wybrzeży i terenów podgórskich wielkimi hotelami), a jednocześnie dla wielu stanowi ważny element życia. Dla przyrody, od raf koralowych do alpejskich deptanych szarotek, ograniczenie turystyki podczas pandemii okazało się zbawienne w skutkach. A dla ludzi? Ruch turystyczny wraca już do dawnego, przedcovidowego poziomu. Co pokazuje, że chociaż bez podróży w dalekie strony można żyć, to niekoniecznie się tego chce. I to jest dylemat raczej nie do rozwiązania.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Obniżmy składkę zdrowotną!

Czy dyskusji na temat ochrony zdrowia nie można byłoby wreszcie odwrócić? Czyli zestawić z głowy, na której stoi, i postawić na nogi?

Tak jak to było w latach 90., gdy nasz antysystem ochrony zdrowia był traktowany tak, jak na to zasługiwał i w znacznej mierze nadal zasługuje – jako jedna z popeerelowskich skamielin, do cna przeżarta „załatwiactwem” i korupcją, więc wymagająca pilnej i gruntownej naprawy. Jak każdy afunkcjonalny antysystem, który należy czym prędzej – w interesie jego klientów, czyli pacjentów – przemienić w funkcjonalny system. I tak się u kresu lat 90., za reformatorskich rządów premiera Jerzego Buzka, stało, i system ten zaczynał powoli krzepnąć.

Ba, czy ktoś pamięta, że ongiś w III RP kampanie wyborcze toczyły się nie wyłącznie wokół rozdawnictwa pieniędzy zabieranych podatnikom, jak „500+” i wzajemnych rozliczeń, ale właśnie wokół reform, które należy czym prędzej przeprowadzić? Samorządowej, emerytalnej, podatkowej, szkolnictwa i właśnie ochrony zdrowia.

Właśnie wtedy – za sprawą reformy autorstwa rządu Buzka – uczące się konkurować ze sobą o składki pacjentów nowo stworzone kasy chorych zaczynały – w interesie własnym i pacjentów, którzy powierzyli im swe składki – powoli wymuszać na szpitalach i przychodniach, czyli na pracujących w nich lekarzach

i pielęgniarkach, coraz lepszą jakość usług medycznych i coraz niższą ich cenę. No i to się wielu lekarzom i pielęgniarkom – sprytnie wykorzystującym do swych protestów część skołowanych zmianami pacjentów – nie spodobało. Bo komu się podoba, gdy ktoś mu zaczyna patrzeć na ręce, i domaga się lepszej pracy za nie zawsze większe pieniądze? Wszystko to koncertowo wykorzystał do przejścia władzy następny premier Leszek Miller, który szybko wyspecjalizował się w rujnowaniu tego, co naprawił rząd Buzka, także reformę systemu ochrony zdrowia obracając w perzynę – czyli w monopol Narodowego Funduszu Zdrowia – którą pozostaje do dziś.

No i właśnie o tamtych czasach przypominał mi artykuł trzech autorów, m.in. Ryszarda Petru, na łamach „Rzeczpospolitej”, którzy nawołując do obniżenia składek zdrowotnych – zamiast ich ciągłego podwyższania – stwierdzili: „Niepokoi bierność resortu zdrowia, który ogranicza się wyłącznie do apeli o zwiększenie finansowania [ochrony zdrowia – przyp. P.G.], nie podejmując prac nad zwiększeniem efektywności systemu”. I dodając, że właśnie obniżka wysokości składki zdrowotnej „powinna uruchomić debatę o efektywności wydatków zdrowotnych”. Tym bardziej że przecież składki na NFZ tylko w ciągu ostatnich 10 lat wzrosły ponaddwukrotnie – z 67 mld zł do aż 153 mld zł. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Bezkarność klimatycznych świrów

Świry klimatyczne z Ostatniego Pokolenia postanowiły o sobie przypomnieć, niszcząc szklaną elewację centrum handlowego Złote Tarasy w Warszawie – oblały ją pomarańczową farbą. Zapowiedziały jednocześnie, że od września zamierzają na potęgę zakłócać ruch samochodowy.

Być może prywatny właściciel CH Złote Tarasy, który poniósł przecież wymierną szkodę finansową wskutek działań klimatystycznych

członkinię Die Letzte Generation na karę roku i czterech miesięcy bezwzględnego pozbawienia wolności bez możliwości warunkowego zwolnienia m.in. za rekrutowanie kolejnych osób do organizacji stawiającej sobie za cel łamanie prawa.

W Polsce Ostatnie Pokolenie kpi z ludzi i państwa. Wszystkie jego działania są kwalifikowane jako wykroczenia, a więc zagrożone są przede wszystkim grzywną do 5 tys. zł. Choć w naszym kraju prowadzenie zbiórki na pokrycie grzywien jest niedozwolone, to Ostatnie Pokolenie swoją zbiórkę prowadzi „na druk ulotek i plakatów promujących ruch, wynajem przestrzeni na spotkania i szkolenia, na projekty grafik, prowadzenie social mediów, na przygotowywanie akcji bezpośrednich”. Nikt oczywiście nie jest w stanie sprawdzić, czy z tych pieniędzy następnie nie zostaną opłacone kary.

Nieudolność państwa w radzeniu sobie z klimatystycznymi świrami staje się coraz bardziej widoczna i coraz bardziej zastanawiająca. Czy prężni prokuratorzy od pana Bodnara naprawdę nie są w stanie dostrzec w działaniach klimatycznych terrorystów podstaw do sporządzenia aktu oskarżenia na podstawie Kodeksu karnego? Czy może dostali polityczne polecenie, żeby tej grupy nie tykać? ©

Hałaśliwa grupka fanatyków jest de facto bezkarna

chuliganów, będzie skuteczniejszy w dochodzeniu swoich racji niż polskie państwo. Trzeba bowiem zauważyć, że mimo rosnącej uciążliwości akcji Ostatniego Pokolenia ta hałaśliwa grupka fanatyków pozostaje w Polsce praktycznie bezkarna. I stanowi to uderzający kontrast z sytuacją na zachodzie Europy.

W lipcu londyński sąd skazał pięcioro członków klimatystycznej organizacji Just Stop Oil – działającej identycznie jak Ostatnie Pokolenie – na rekordowe kary: jedna osoba idzie siedzieć na pięć lat, cztery inne – na cztery lata. Również w lipcu sąd rejonowy w berlińskiej dzielnicy Tiergarten skazał 32-letnią

Złota hossa



Jacek Przybylski

Tegoroczna hossa na rynku złota robi imponujące wrażenie. Jedna uncja drogiego kruszcu zdrożała od początku roku o jedną piątą, bijąc historyczne rekordy. Wśród kupujących sztabki złota są też banki centralne. Wśród nich kolejny raz prym wiedzie Narodowy Bank Polski



Tylko od początku obecnego roku cena złota wzrosła już o ponad jedną piątą. Tym samym inwestycja w cenny kruszec przebiła stopę zwrotu z najważniejszych amerykańskich giełd, jak S&P 500 czy Nasdaq.

Pierwsze rekordy padły już w maju, gdy drogi metal pierwszy raz w historii kosztował ponad 2450 dol. za jedną uncję (a gdy 1 stycznia 2024 r. jedna uncja złota kosztowała 2064 dol., to wielu uważało, że to już drogo). W lipcu cena wzrosła do 2465,32 dol. za uncję. Potem miała miejsce korekta, a 20 sierpnia rynkowa wycena uncji żółtego metalu wzrosła do rekordowej wartości 2531,6 dol. To zaś oznacza, że znana

z filmów potężna sztabka złota o wadze 400 uncji trojańskich (ok. 12,4 kg) w ubiegłym miesiącu pierwszy raz w historii kosztowała już ponad 1 mln dol.

I chociaż cena cennego metalu nadal podlega korekcyjnym wahaniom, to wciąż oscyluje ona wokół historycznych rekordów. Złoto jest zaś na dobrej drodze, aby osiągnąć najwyższy procentowy wzrost wartości od roku 2020. Nie brakuje bowiem ekspertów, którzy prognozują, że wartość jednej uncji przekroczy wkrótce poziom 2,7 tys. dol., a być może nawet 3 tys. dol. Byczym nastrojom na tym rynku sprzyja choćby coraz bliższa perspektywa rychłego łagodzenia polityki przez amerykańskie władze monetar-

ne. Ceny złota mają bowiem tendencję do wzrostu, gdy dolar amerykański traci na wartości.

NBP ŚWIATOWYM LIDEREM

Za szybki wzrost ceny złota odpowiadają nie tylko inwestorzy szukający ochrony przed inflacją czy bezpiecznej przestrzeni w czasach gospodarczych i geopolitycznych napięć (coraz ciemniejsze chmury gromadzą się już nie tylko nad tonącą gospodarką Niemiec, lecz także nad Chinami, a do tego eskaluje napięcie na froncie rosyjsko-ukraińskim, rośnie ryzyko wybuchu wielkiej wojny na Bliskim Wschodzie, a kampanijne zwroty akcji w Stanach Zjednoczonych



FOT. ANDRZEJ BARBASZ/NBP

W 2024 r. NBP stał się już największym kupującym złoto bankiem centralnym. Tylko w drugim kwartale Polska nabyła 18,68 t i nieznacznie wyprzedziła bank centralny Indii (zasilił swoje skarbcę o sztabki złota ważące w sumie 18,67 t), a także Turcji (14,63 t), Uzbekistanu (7,46 t) czy Czech (5,91 t). Według serwisu gold.org po zakupach w II kwartale 2024 r. zasoby należące do Polski złota wzrosły do 377,37 t i tym samym nasz kraj znalazł się w gronie światowych liderów (m.in. za Turcją, Holandią, Indiami, Japonią, Chinami, Rosją, Francją, Włochami, Niemcami i USA), a przed Wielką Brytanią, Hiszpanią czy Belgią.

Łącznie przez siedem pierwszych miesięcy obecnego roku w skarbcach NBP przybyło ok. 33 t złotego kruszcu. Ilość złota wchodzącego w skład rezerw walutowych Narodowego Banku Polskiego wyniosła zaś pod koniec lipca 12,593 mln uncji.

Prezes NBP Adam Glapiński wielokrotnie zapowiadał, że ma w planach zwiększenie udziału złota do 20 proc. ogółu rezerw walutowych. I cel ten chciałby osiągnąć już w przyszłym roku. W czerwcu 2024 r. udział ten wynosił już 13,5 proc. (przez rok zwiększył się o 4,1 punktu procentowego). – Rezerwy walutowe i złoto w przypadku jakiegoś katastrofalnego rozwoju sytuacji, czy to pandemii, czy klęsk żywiołowych, czy zagrożenia wojennego, bliskości wojny, są bezpieczne. Umożliwiają kontynuację funkcjonowania państwa bez większych zakłóceń – przekonywał jeszcze w czerwcu prezes Adam Glapiński, przypominając, że Polska jest „krajem frontowym paktu północnoatlantyckiego”. I chociaż złoto może być narażone na spore wahania cen, to zwiększenie udziału drogiego kruszcu w rezerwach walutowych do rozsądnego poziomu wynoszącego 20 proc. może być również czynnikiem stabilizującym polską walutę w niepewnych czasach. A głównym zadaniem banków centralnych powinno być właśnie dbanie o wartość lokalnej waluty. Złoto wydaje się bezpieczniejszym aktywem, ponieważ dolar czy euro to waluty fiducjarne, które nie mają oparcia w realnej wartości.

Zresztą z podobnych powodów na duże zakupy decyduje się nie tylko Narodowy Bank Polski. Coraz bardziej złożone otoczenie geopolityczne i gospodarcze

sprawia, że w 2022 r. banki centralne zwiększyły zasoby złota w skarbcach o rekordowe 1082 t (był to najwyższy poziom zakupów złota netto od 1950 r.), a w 2023 r. o kolejne 1037 t. Popyt ze strony banków centralnych powinien w najbliższej przyszłości się utrzymywać. Potężny zapas złotych sztabek w skarbcach zwiększa bowiem wiarygodność danego kraju na arenie międzynarodowej i pokazuje inwestorom, że dane państwo jest przygotowane na globalne turbulencje. Z opublikowanego w połowie roku badania Światowej Rady Złota, w którym udział wzięło 70 tego typu instytucji, wynika bowiem, że 29 proc. banków centralnych zamierza w ciągu najbliższego roku dokupić więcej złotych sztabek

33 tony

TYLE ZŁOTA KUPIŁ NBP OD STYCZNIA DO KOŃCA LIPCA OBECNEGO ROKU

(to najwyższy poziom tego wskaźnika od początku prowadzenia tego typu ankiet w roku 2018), a tylko 3 proc. banków planuje sprzedać część złotych rezerw.

KOWALSCY NA ZAKUPACH

Złoto chętnie kupują nie tylko banki centralne, lecz także firmy oraz inwestorzy indywidualni. Z danych opublikowanych pod koniec sierpnia przez Światową Radę Złota wynika jednak, że szybko rosnące ceny złota sprawiły, iż globalny popyt na sztabki i monety inwestycyjne spadł w II kwartale obecnego roku o 5 proc. do poziomu 261 t. Intryguje jednak to, że w tym samym kwartale popyt na złote monety bulionowe spadł rok do roku o 38 proc. do poziomu zaledwie 53 t (to najsłabszy wynik od roku 2020), a jednocześnie popyt na złote sztabki wzrósł o 12 proc. do 184 t.

Eksperti ze Światowej Rady Złota te dwa sprzeczne trendy wyjaśniają prosto. Otóż popyt na fizyczne złoto szybko rośnie nie tylko w Chinach – największym rynku żółtego metalu na świecie (wzrost o 62 proc. rok do roku do 80 t), lecz także w innych krajach Azji (w Indiach wzrost popytu na złoto o 46 proc. w porów

sprawiają, że wciąż nie wiadomo, kto ma większe szanse na zostanie nowym prezydentem Ameryki).

Na trend wzrostowy złota wpływa również popyt ze strony banków centralnych, w tym zwłaszcza Narodowego Banku Polskiego, który od połowy 2019 r. systematycznie zwiększa zasoby cennego kruszcu. W ubiegłym roku polski bank centralny zajął drugą pozycję wśród największych nabywców złota – po chińskim banku centralnym – powiększając rezerwy złota Polski o 4,18 mln uncji (czyli kupując sztabki ważące mniej więcej 130 t). Dzięki temu zasoby żółtego metalu wzrosły do 363 t, co dało Polsce 15. miejsce na świecie.



Prezes NBP ma w planach zwiększenie udziału złota do 20 proc. ogółu rezerw walutowych FOT. ANDRZEJ BARABASZ/NBP

■ nianiu z II kwartałem 2023 r.), gdzie klienci wolą sztabki niż monety.

Z kolei spadek popytu na złote monety wynika z tego, że są one zdecydowanie popularniejsze na rynkach zachodnich, a na Starym Kontynencie popyt na fizyczne złoto inwestycyjne mocno spadł (w całej Europie popyt na złoto zmalał rok do roku aż o 65 proc. do marnych 11 t, a w niektórych krajach klienci chętniej złoto sprzedawali, niż je kupowali). Z tych 11 t połowa popytu przypadła na „inną Europę”, czyli m.in. na kraje takie jak Polska.

Cena jednej uncji w przeliczeniu na polskie złote kilkakrotnie w tym roku zbliżyła się do psychologicznego poziomu 10 tys. zł, ale do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy” tej bariery nie udało się jeszcze pokonać. Mocny wzrost cen na rynku złota sprawia bowiem, że część indywidualnych inwestorów wstrzymuje się z zakupem, czekając na korektę i możliwość tańszego zakupu kruszcu. Inwestorzy myślący o zakupie złota nie muszą kupować go w fizycznej postaci, mogą zdecydować się na zakup jednostek funduszy inwestycyjnych (są notowane na giełdzie, a ich wycena jest ściśle powiązana z notowaniami złota), kupno akcji spółek wydobywczych, a także kontraktów terminowych, opcji czy kontraktów CFD na złoto.

Wprawdzie już samo złoto w portfolio jest sposobem na dywersyfikację, ale stawiając na producentów złota, warto rozważyć, czy nie kupić akcji różnych spółek wydobywczych. Dla przykładu:

Królewski kruszec od tysięcy lat jest uniwersalnym i honorowanym na całym świecie nośnikiem wartości

największa spółka wydobywcza świata – Newmont Corporation – powstała z połączenia się pierwszego i drugiego największego producenta złota na świecie: kanadyjskiego Goldcorp i amerykańskiego Newmont Mining Corporation. Spółka posiada kopalnie m.in. w USA, Meksyku, Australii, na Dominikanie, a także w Ghanie, Argentynie czy Peru – pod koniec ubiegłego tygodnia była wyceniana przez inwestorów na 59,47 mld (!) dol. W ciągu roku na akcjach Newmont Corporation można było zarobić od stycznia obecnego roku ok. 27 proc., a wzrost ceny akcji rok do roku wyniósł 31,15 proc. Druga pod względem wielkości spółka wydobywcza świata, Agnico Eagle Mines, w zeszłym tygodniu była wyceniana na 40,68 mld dol. W tym przypadku od stycznia do końca sierpnia obecnego roku cena jednej akcji wzrosła o ok. 50 proc., a rok do roku o ok. 65 proc. Trzecia na liście największych wydobywców królewskiego kruszcu to Barrick Gold Corporation – spółka posiadająca kopalnie w 19 krajach w ubiegłym roku wyprodukowała ponad 4 mln uncji złota – wyceniana była w ze-

szłym tygodniu na 35,04 mld dol. Akcje Barrick Gold Corp. od stycznia do końca sierpnia podrożały o 11,5 proc. W ciągu roku inwestycja w akcje spółki dała zaś zarobić ok. 22 proc. Łączna kapitalizacja rynkowa 108 największych spółek wydobywających prezentowanych w serwisie companiesmarketcap wynosiła w ubiegłym tygodniu niemal 400 mld dol.

Inwestorzy indywidualni mogą również kupować akcje spółek handlujących złotem. I nie trzeba w tym celu wchodzić na zagraniczne giełdy. Na polskich parkietach giełdowych są bowiem notowane spółki takie jak np. Mennica Skarbowa (w ciągu ostatnich sześciu miesięcy cena akcji wzrosła o 8,45 proc., ale w ciągu roku zmalała o ok. 5 proc.) czy Mennica Polska (cena akcji wzrosła w ciągu ostatnich sześciu miesięcy o 19 proc., a w ciągu roku o ok. 23 proc.).

Zakup akcji lub jednostek funduszy zamiast fizycznego złota ma tę zaletę, że nie trzeba się wówczas martwić o wynajęcie skrytki depozytowej, zakup prywatnego sejfów czy wyznaczenie sekretnego miejsca w ogródku (gdzieś głęboko pod pokrzywami). W przypadku wzrostu wartości trzeba jednak zapłacić 19 proc. podatku od zysków kapitałowych (tzw. podatek Belki).

ZŁOTO NIE ZAWSZE BŁYSZCZY

Ogromna tegoroczna hossa na królewskim kruszcu robi kolosalne wrażenie. Przed wymianą oszczędności za sztabki lub monety bulionowe warto jednak pamiętać, że żółty metal potrafi nie tylko szybko drożeć, lecz także gwałtownie tanieć. Po przykłady nie trzeba sięgać zbyt daleko w pamięć. W 2012 r. uncja złota kosztowała nawet 1790 dol., a w roku 2015 można ją było kupić nawet za 1049,6 dol.

Ponadto cenny kruszec od tysięcy lat jest uniwersalnym i honorowanym na całym świecie nośnikiem wartości, dobrze zabezpieczającym majątek podczas wojen, rewolucji czy globalnych kryzysów finansowych. Statystyki bezspornie pokazują, że w długim terminie złoto potrafi skutecznie utrzymywać wartość nabywczą. W czasach wojennej zawieruchy nieraz stawało się zaś wyjątkowo cennym środkiem płatniczym, pozwalającym posiadaczowi uratować wolność albo nawet życie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

KAROL GAC: Przez kilka lat był pan wiceministrem finansów w rządzie Zjednoczonej Prawicy, a następnie ministrem rozwoju i technologii. Jak pan odbiera informacje spływające z gospodarki z ostatnich miesięcy? Mamy powody do obaw?

PIOTR NOWAK: Obecna sytuacja gospodarcza budzi niepokój, głównie z powodu globalnego spowolnienia oraz problemów w gospodarce niemieckiej, które mają bezpośredni wpływ na Polskę. Widać negatywne konsekwencje, także na rynkach finansowych, co potęguje zmartwienia. Niestety, brakuje sygnałów na odwrócenie tego trendu. Chociaż zewnętrzne czynniki są poza naszym zasięgiem, to niepokoi brak zdecydowanych działań wewnętrznych oraz jasnej wizji rozwoju kraju ze strony obecnego rządu. Potrzebujemy ambitnych planów i konkretnych działań, aby zminimalizować skutki tych wyzwań.

Tylko czy powinniśmy się tego spodziewać po Donaldzie Tusku? Rząd PO-PSL upłynął pod hasłem „cieplej wody w kranie”, co trudno uznać za przejaw ambicji. W kampanii też nie przedstawiono jakiegokolwiek wizji, a zamiast tego mieliśmy zlepek obietnic w postaci „100 konkretnych”, które i tak szybko zostały zapomniane.

To prawda. W latach 2007–2015 polityka PO-PSL była zachowawcza, brakowało jej ambicji i długofalowej wizji rozwoju. Luka VAT-owska i niskie przychody do budżetu były wyraźnym sygnałem, że państwo nie w pełni wykorzystywało swoje możliwości. W efekcie redystrybucja środków pozostawiała wiele do życzenia, co ograniczało potencjał rozwoju kraju.

Tyle tylko że w 2015 r. zmieniła się władza i bardzo szybko uszczelniono tę lukę, a dochody państwa zaczęły rosnąć. Można więc było temu zaradzić.

Zgadzam się, że po 2015 r. wprowadzono skuteczne zmiany, które pozwoliły uszczelnąć lukę VAT-owską i zwiększyć dochody państwa. Wcześniejsze zaniedbania mogły wynikać z braku ambicji, zaniechania lub innych powodów. Widać wyraźnie, że pewne grupy korzystały na tym stanie rzeczy, co odbywało się kosztem społeczeństwa. Obecnie pojawiają się sygnały, że luka VAT-owska znowu rośnie, co jest powodem do niepokoju. Wprowadzenie programów takich jak „500+” pokazuje, że można podejść do polityki z ambicją,



Z Piotrem Nowakiem, byłym wiceministrem finansów oraz byłym ministrem rozwoju i technologii rozmawia Karol Gac

Polaryzacja niszczy Polskę

inwestując w kapitał ludzki, co wcześniej było zaniechane. Rząd Zjednoczonej Prawicy doprowadził do tego, że w Polsce nie ma już problemu głodnych dzieci. Nie wiem, z czego wynikało podejście rządu PO-PSL, że tego nie dostrzegał.

Może z mentalnego podziału na Polskę A i B?

Takie myślenie jest nie do przyjęcia. Polska to jeden naród i każdy region zasługuje na rozwój. Dzielić kraj, tylko pogłębiamy podziały. Potrzebujemy jedności, a nie dalszej polaryzacji. Niestety, polaryzacja w Polsce osiągnęła niebezpieczny poziom.

Jednak nie tylko w Polsce.

Polaryzacja to globalny problem, a media społecznościowe znacznie go pogłębiają. W trakcie studiów na Stanfordzie jeden z wykładowców podkreślił, że obecność kamer w parlamentach osłabiła demokrację, zmieniając politykę

w spektakl, gdzie teatr często zastępuje merytoryczną debatę. Media społecznościowe dodatkowo przenoszą ten teatr do codziennych interakcji. Taka polaryzacja niszczy kraj i utrudnia podejmowanie odpowiedzialnych decyzji, zwłaszcza w kwestiach finansowych. Badania pokazują, że w silnie podzielonych społeczeństwach trudniej jest zmniejszyć zadłużenie, bo każda strona boi się ustępstw. Jeśli polaryzacja się utrzyma, to możemy stanąć przed poważnymi problemami z finansami publicznymi.

Wspomniał pan o braku wizji rządu Donalda Tuska. Czy nie mamy jednak do czynienia ze zwiżaniem Polski?

Uważam, że to, co obecnie obserwujemy, to proces zwiżania Polski. Musimy spojrzeć na nasze działania nie tylko w perspektywie krajowej, lecz także globalnej. Światowy układ sił zmienia się dynamicznie, a rewolucja

■ technologiczna w Azji sprawia, że region ten nie ustępuje już Stanom Zjednoczonym, podczas gdy Europa traci na znaczeniu. Europa jest postrzegana jako kontynent starzejących się społeczeństw, z których inni próbują czerpać korzyści. W tym nowym geopolitycznym układzie Polska powinna działać inaczej niż dotychczas, dostosowując swoją strategię do nowych wyzwań.

To znaczy?

Powinniśmy dążyć do pozycji lidera regionu, wykorzystując nasz potencjał i pozycję geopolityczną. Wizja śp. prezydenta prof. Lecha Kaczyńskiego, w tym koncepcja Trójmorza, była doskonałym przykładem kierunku, w którym Polska mogłaby się rozwijać. Silna gospodarka i siła militarna to kluczowe elementy wpływu na arenie międzynarodowej. Rząd Zjednoczonej Prawicy podjął ważne kroki, aby wzmocnić militarnie kraj, co nie tylko zapewnia bezpieczeństwo, lecz także wzmacnia naszą pozycję w regionie. Wojna na Ukrainie otworzyła przed Polską okno możliwości, które powinniśmy wykorzystać. Wypowiedź Emmanuela Macrona o konieczności rozbrojenia Europy Środkowo-Wschodniej po wojnie pokazuje, że nasz potencjał jest dostrzegany. Niestety, obecny rząd albo tego nie widzi, albo nie chce z tego skorzystać.

Zawsze można pytać o wpływ Niemiec.

Rzeczywiście, patrząc na decyzje lub ich brak ze strony rządu, można zastanawiać się nad wpływami zewnętrznymi, w tym niemieckimi. To budzi obawy, zwłaszcza że międzynarodowe szanse, które się przed nami otwierają, nie będą czekać wiecznie. W polityce globalnej okna możliwości szybko się zamykają, a Polska nie może sobie pozwolić na bierność. Musimy działać zdecydowanie i wykorzystywać każdą nadarżającą się okazję, zamiast czekać, aż ktoś inny zdecyduje za nas.

Tylko czy to nie jest bolączka naszej debaty publicznej? Nie rozmawiamy o ważnych projektach infrastrukturalnych, które powinny być ponadpartyjne, ale skupiamy się na „tu i teraz”, w dodatku miałym.

Niestety, tak to wygląda. Nie znam innego kraju, w którym eurodeputowani występowaliby na forum UE,

Piotr Nowak, były wiceminister finansów oraz były minister rozwoju i technologii

FOT. MARIO SALERNO/PE/EU



domagając się ukarania własnego państwa. Trudno mi zrozumieć, jak wyborcy mogą później głosować na takich polityków. Niestety, PO wprowadziła do polityki koncepcję „totalnej opozycji”, krytykując wszystko, a to szkodzi naszemu krajowi. Jako społeczeństwo powinniśmy spojrzeć na to z innej perspektywy – jeśli chcemy, aby żyło się nam coraz lepiej, to musimy wziąć sprawy w swoje ręce.

Warto też pamiętać, że w Polsce mamy rozproszonych przedsiębiorców z różnymi interesami, którzy nie mają takiego wpływu na rząd jak ich odpowiednicy na Zachodzie. W krajach takich jak Francja, Niemcy czy Włochy działają potężne koncerny krajowe, które myślą długoterminowo. Wiedzą, że to, co dobre dla gospodarki, będzie dobre również dla nich. Tam, niezależnie od tego, która partia rządzi, istnieje wspólna wizja, gdzie gospodarka powinna być za 10–15 lat. W Niemczech kanclerz konsultuje ważne decyzje z liderami największych firm. U nas brakuje takiego podejścia.

Tylko czy biorąc pod uwagę naszą transformację ustrojową, specyficzne funkcjonowanie III RP i typ myślenia, takie ciało miałoby sens? Potrafię sobie wyobrazić kontestację różnych pomysłów tylko dlatego, że wychodzą z rządu prawicowego, albo próbę narzucenia niczym nieskrępowanego dogmatu liberalnego na rynku pracy.

Proszę nie mylić głosu polskiego biznesu z głosem międzynarodowych firm działających w Polsce. W przypadku zagranicznych przedsiębiorstw ich priorytetem często jest maksymalizacja zysków, co nie zawsze idzie w parze z interesem lokalnym. Natomiast polski kapitał, mający swoje korzenie w kraju, patrzy na te kwestie z innej perspektywy. Obecnie powinniśmy wspierać polskie firmy w ekspansji zagranicznej, aby mogły czerpać korzyści z bogactwa innych rynków. Ulgi podatkowe dla firm przejmujących zagraniczne przedsiębiorstwa mogłyby stać się skuteczną zachętą. Dzięki temu zaczęliśmy transferować bogactwo do Polski, co wzmocni naszą pozycję polityczną i gospodarczą. Obecność polskich firm na rynkach zagranicznych sprawia, że lokalni politycy za granicą muszą się z nimi liczyć. Kolejnym krokiem powinno być przejęcie zagranicznej instytucji finansowej, np. banku, który operuje globalnie. Dzięki temu nasze

przedsiębiorstwa zyskałyby wsparcie, a my kształcilibyśmy kadry w zagranicznych filiach. Po kilku latach moglibyśmy mieć setki specjalistów z doświadczeniem w globalnej sieci finansów, co jest obecnie kluczowe dla dalszego rozwoju.

Podobnie jest w Unii Europejskiej. Jesteśmy jej częścią od 20 lat, a wciąż nie mamy zbyt wielu polskich urzędników w instytucjach UE. Nie mówiąc już o tym, że permanentnie Europa Zachodnia ustawia nominacje pod siebie.

To prawda, w Unii Europejskiej nikt nie podzielił się władzą dobrowolnie – trzeba o nią walczyć. Dobrym przykładem jest sytuacja z Europejskim Bankiem Inwestycyjnym po brexicie. Każdy kraj UE jest udziałowcem EBI, a Niemcy, Francja, Włochy i Wielka Brytania miały po 15 proc. udziałów, podczas gdy Polska miała ok. 2 proc. i funkcję wiceprezesa co 21 lat na trzy lata. Gdy Wielka Brytania opuściła UE, postanowiłem podjąć walkę o zwiększenie roli Polski w EBI, widząc w tym szansę na wzmocnienie naszej pozycji. Chociaż początkowo spotkałem się z oporem – nie chciano zwiększenia naszych udziałów – to po długiej walce trwającej dwa lata udało się zwiększyć nasz udział do 4,57 proc. głównie dzięki temu, że decyzje musiały być jednomyślne, a my konsekwentnie korzystaliśmy z prawa weta. Niestety, kraje założycielskie Unii Europejskiej traktują ją jak swoje „dziecko” i wehikuł do realizacji swoich interesów gospodarczych, niechętnie dopuszczając inne państwa do kluczowych stanowisk. Udało się nam wywalczyć wiceprezesa na sześć lat z przerwą na trzy, co daje szansę na wprowadzenie tam większej liczby Polaków. Jednak, aby to osiągnąć, musimy mieć okazje i mądrych polityków, którzy przedłożą interes Polski nad osobisty. Obawiam się jednak, że obecna ekipa rządząca unika podejmowania zdecydowanych działań z obawy przed reakcjami Berlina i Brukseli.

Może to po prostu polityczna spłata długów? Przez osiem lat Bruksela i Berlin robiły wiele, by doszło do zmiany rządu w Warszawie.

Polityka zagraniczna to twarda gra interesów, w której nie ma miejsca na spłacanie długów kosztem interesu narodowego. Co by się stało, gdyby obecny rząd przyjął bardziej niezależne stanowi-

sko i nie ulegał tym wpływom? Niestety, często dominuje myślenie o krótkoterminowych, osobistych korzyściach. W polityce międzynarodowej ważne są relacje, ale równie istotne jest podejmowanie trudnych decyzji w kluczowych momentach. Pamięć instytucjonalna odgrywa tu ogromną rolę, pomagając kształtować działania z myślą o długofalowym interesie kraju.

Problem w tym, że jesteśmy niepodlegli od 30 lat, a nasza transformacja wyglądała tak, a nie inaczej. W efekcie mamy bardzo duży problem z kadrami i pamięcią instytucjonalną. Mam wrażenie, że nasza klasa polityczna nie jest nauczona walki o swoje interesy, a na końcu na ogół na tym tracimy.

To poważny problem, ale możliwy do rozwiązania. Kluczowe jest zainwestowanie w edukację i rozwój kadr. Współpraca z wiodącymi uczelniami, takimi jak Uniwersytet Harvarda, mogłaby pomóc w kształceniu urzędników i liderów. Musimy też zmienić mentalność, aby skuteczniej walczyć o polskie interesy na arenie międzynarodowej. Inwestycja w kadry i długofalowe myślenie to klucz do budowania silnej Polski.

Dużo złego zrobiła tu też pedagogika wstydu, którą wtlaczano przez lata Polakom do głów. Mieliśmy być biedną panną na wydaniu i siedzieć cicho, by nie drażnić innych.

Pedagogika wstydu, tak bardzo pielegnowana przez obecny obóz rządzący, wyrządziła znaczną szkodę naszemu społeczeństwu i państwu. Widzimy, że Polacy osiągają sukcesy w największych firmach na świecie, co dowodzi, że mamy ogromny potencjał intelektualny. Problemem jest jednak część naszych elit, które często nie potrafią myśleć w kategoriach długofalowych interesów narodowych. Musimy dążyć do poszerzenia horyzontów naszych elit, by lepiej służyły krajowi.

Jednocześnie nie możemy zapominać, że zewnętrzne wpływy, zwłaszcza ze strony Niemiec i Rosji, są realnym wyzwaniem. Oba te kraje nie mają interesu w tym, by Polska była silnym państwem. Posiadają potężne narzędzia wpływu, a gdy w Polsce pojawiają się niezależne, propolskie inicjatywy, często spotykają się one z atakami. To coś, o czym musimy stale pamiętać, chroniąc nasze interesy.

SEAT ARONA MARINA



Arona to najmniejszy crossover hiszpańskiej marki, który dzielnie walczy o miejsce Seata w wyjątkowo zatłoczonym segmencie B. Arona to bowiem funkcjonalny i praktyczny samochód o długości 415,3 cm i bagażniku o pojemności 400 l (który po złożeniu tylnych siedzeń można powiększyć do 1280 l), którego linie – choć od ostatniego liftingu trochę już minęło – nadal mogą się podobać.

Pod maską tego modelu montowane są wyłącznie silniki benzynowe TSI. Najmocniejszy wariant ma pojemność 1.5 TSI i moc 150 km. Tym razem do testów wzięliśmy Aronę Marinę ze słabszym, trzycylindrowym silnikiem o pojemności 1.0 l i mocy 115 KM, który sprawnie współpracuje z automatyczną siedmiobiegową skrzynią biegów (DSG).

Średnie spalanie w cyklu mieszanym – miasto, droga krajowa, ekspresówka, autostrada – wyniosło podczas sierpniowego testu 5,6 l/100 km (czyli dokładnie tyle, ile deklaruje producent w informacji o średnim spalaniu).

Arona dobrze się prowadzi, chociaż w wersji ze słabszym silnikiem nie jest to z pewnością demon prędkości. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje 10,3 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 193 km/h. Nie jest to więc rakietą, choć w codziennym użytkowaniu auto potrafi być wystarczająco dynamiczne zarówno na trasach krajowych, jak i na autostradach.

Na pochwałę zasługują nie tylko właściwości jezdne – zasługuje także komfort podróży. Auto mogłoby być jednak lepiej wyciszone,

bo przy prędkościach autostradowych wewnątrz robi się już wyraźnie za głośno.

Wnętrze jak na auto będące kompromisem między miejskim maluchem a paliwożernym SUV-em jest zaskakująco przestrzenne. Powinno się więc sprawdzić nawet w roli samochodu dla małej rodziny. W centralnym punkcie deski rozdzielczej znajduje się kolorowy ekran o przekątnej 9,2 cala. Przed oczami kierowcy widnieją zaś wirtualny kokpit. Na szczęście pokręta od klimatyzacji pozostały analogowe (co docenia się zwłaszcza w czasie upałów). Wnętrze jest praktyczne, choć trzeba być przygotowanym na dużą liczbę twardych plastików.

Zaletą są systemy wspomagające bezpieczeństwo (w standardzie), takie jak system kontroli Front Assist z funkcją awaryjnego hamowania (wykrywający też pieszych i rowerzystów) czy asystent pasa ruchu. System monitorowania martwego pola wymaga już jednak dopłaty.

Bez wątpienia ważną zaletą Arony jest jej niska cena. Najtańszy wariant tego modelu z silnikiem 1.0 TSI o mocy 95 KM i pięciobiegową skrzynią manualną kosztuje 81,9 tys. zł (wersja Style) i 86,1 tys. zł (Marina). Za auto w testowanej wersji, z silnikiem 1.0 o mocy 115 KM i automatyczną skrzynią w wersji Marina trzeba zapłacić 99 tys. zł (wersja Style kosztuje 94,8 tys. zł). Najdroższy wariant – z silnikiem 1.5 TSI o mocy 150 KM i skrzynią DSG – to wydatek rzędu 118,7 tys. zł (wersja FR). ©

SMARTFON REALME C61

Zaskakująco atrakcyjne wzornictwo, solidna bateria, dość niska cena, wzmocniona konstrukcja oraz odporność na wodę i kurz zgodnie z normą IP54 – to największe zalety budżetowego modelu chińskiej marki realme.

Na pierwszy rzut oka ten model smartfona wygląda, jakby był o wiele droższy i taki jakby... amerykański. Tylna obudowa atrakcyjnie mieni się w świetle. Całkiem fajny jest też 6,78-calowy ekran LCD IPS o rozdzielczości HD+ i częstotliwości odświeżania na poziomie 90 Hz. Wprawdzie AMOLED to to nie jest, ale naprawdę nie jest źle.

A co z wydajnością? Sercem tego telefonu jest słabutki procesor Unisoc T612. Realme C61 w wersji sprzedawanej w Polsce ma 6 GB pamięci RAM i 256 GB na dane. Wersja, którą otrzymałem do testów, miała odpowiednio 4 GB i 128 GB i – oględnie mówiąc – nie zachwycała. W wersji z 6 GB pamięci RAM smartfon ma większe szanse na szybkie działanie bez irytujących przycięć. Tak czy owak nie jest to model dla osób, które potrzebują płynnej wielozadaniowości, uwielbiają otwierać mnóstwo aplikacji naraz, a już na pewno nie nadaje się dla tych osób, które chciałyby uruchomić gry z wymagającą grafiką. To tani i ładny smartfon dla oszczędnych użytkowników,

którzy chcą z niego dzwonić, wysłać SMS-y i e-maile, sprawdzić pogodę, przejrzeć newsy, obejrzeć krótki filmik i odpalić proste aplikacje. I tyle.

Aparaty fotograficzne również są w tym modelu bardzo przeciętne. Główny o rozdzielczości 50 MP w dobrych warunkach oświetleniem umożliwia zrobienie przyzwoitej fotografii jak na tę półkę cenową. Jeśli chodzi o wideo, to trzeba pamiętać, że brak tu stabilizacji. Aparaty do selfie i portretów również są po prostu kiepskie.

Dużą zaletą jest z kolei bateria o pojemności 5000 mAh, dzięki której smartfon można ładować co dwa-trzy dni. Plusem jest też to, że C61 obsługuje ładowanie z mocą 45 W. Kolejną zaletą jest gniazdo mini jack 3,5 mm, które ucieszy wszystkich tych, którzy lubią na smartfonie posłuchać muzyki przez tradycyjne słuchawki. Głośniczek mono też tu niby jest, ale przez niego lepiej nie słuchać swoich ulubionych utworów.

Pozostałe minusy? Poza słabą wydajnością ponarzekać można na niską maksymalną jasność ekranu wynoszącą zaledwie 560 nitów. Szybki ładowarkę trzeba kupić oddzielnie (w zestawie nie ma żadnej).

Pod koniec sierpnia realme obniżył jednak cenę tego modelu z 750 zł do 599 zł (promocja ma obowiązywać do 5 września). I za takie pieniądze zakup C61 można już rozważyć. ©



PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Zieleńce i Order Virtuti Militari



JACEK KOMUDA

Wioska Zieleńce na wschód od Zasławia i na południowy zachód od Szepietówki to miejsce pierwszego zwycięstwa armii odrodzonej Rzeczypospolitej nad Moskwą 18 czerwca 1792 r. I jednocześnie pierwszego nadania istniejącego do dziś najbardziej chwalebego odznaczenia w wojsku polskim – Orderu Virtuti Militari.

Do zwycięstwa doszło, kiedy wycofujące się przez Szepietówkę dywizje ks. Józefa Poniatowskiego, Tadeusza Kościuszki i Michała Wielhorskiego połączyły się z oddziałami ks. Michała Lubomirskiego, stawiając czoła podążającemu za nimi korpusowi armii rosyjskiej Herkulesa Morkowa.

Polacy zajęli stanowiska na północ od miasteczka, na wzgórzu.

Rosjanie zamierzali od razu przejść do natarcia, jednak siły polskie wzmocniły posiłki pod wodzą ks. Józefa Lubomirskiego i Wielhorskiego.

Rozpoczęli zatem ostrzał, później wysłali piechotę do ataku. Nie-

ostrzelane oddziały polskie pierwszego rzutu rzuciły się do ucieczki. Panikę powstrzymał jednak ks. Józef Poniatowski, który zawrócił batalion Potockich, wzmocnił batalionem Ordynacji Ostrogskiej i wyprowadził kontratak, który odrzucił przeciwnika.

W tym samym czasie inny oddział Rosjan zajął wieś i zaczął ostrzeliwać z boku kawalerię narodową na prawym skrzydle. Został wyparty dopiero po podpaleniu Zieleniec. Wówczas nastąpił atak jazdy rosyjskiej na prawe skrzydło. Szwadrony kawalerii narodowej najpierw uległy Moskwie, jednak



FOT. DOMENA PUBLICZNA

ks. Eustachy Sanguszko opanował panikę i zawrócił jazdę, która wpadła na rozsypanego w pościgu przeciwnika i rozbiła go. Książę Józef chciał wesprzeć jazdę atakiem oddziałów drugiej linii gen. Czapskiego, ten jednak odmówił wykonania rozkazu – w rzeczywistości był sympatykiem targowicy i nie chciał zwycięstwa. Tak zaprzepaścił szansę na całkowite rozbięcie korpusu rosyjskiego.

W tym samym czasie nastąpił atak Rosjan na lewe skrzydło szynku, odparty przez piechotę i artylerię. Książę Józef zarządził własny kontratak na wroga. Został odparty, jednak wstrząśnięty Markow rozpoczął odwrót i po południu ustąpił z pola walki.

Zwycięstwo pokazało, że nowo sformowana armia polska jest w stanie stawić czoła oddziałom rosyjskim, zaprawionym w walkach z Turkami. Do Warszawy wysłano zdobytą pod Zieleniami sztandar i listę kandydatów do odznaczenia nowym orderem wojskowym – Virtuti Militari. Było to pierwsze wojskowe odznaczenie ustanowione w Rzeczypospolitej, na wzór francuskiego Orderu św. Ludwika czy też saskiego Orderu św. Henryka. Prawdopodobnie – jak podaje Piotr Derdej – Virtuti Militari był wspólnym pomysłem króla Stanisława Augusta i ks. Józefa Poniatowskiego na początku kampanii, gdyż pierwsze egzemplarze wybito w mennicy warszawskiej 15 czerwca 1792 r. Oficjalnie jednak odznaczenie ustanowiono w dniu bitwy.

Pierwsza lista odznaczonych była długa: ks. Józef Poniatowski, gen. Tadeusz Kościuszko, gen. Franciszek Poupart, gen. Michał Wielhorski, bryg. Stanisław Mokronowski, wicebrygadier ks. Eustachy Sanguszko, płk Józef Poniatowski, ppłk Jan Grochowski, ppłk Filip Hauman, mjr Sariusz Franciszek Łażniński, mjr Jan Krasicki, mjr Jan Zabłocki, mjr Jan Kanty Gembarzewski, kpt. Ambroży Gawroński, por. Ludwik Metzel, por. Sebastian Marszycki, por. Karol Tepfer i ppor. Seweryn Bukar.

Król wysłał pierwsze orderzy z obozu pod Kozienicami cztery dni po bitwie. W liście do ks. Józefa upominał, aby medal, który będzie nosił jego bratanek, nie wyróżniał się od innych. Poza 20 zł przysłał też 40 medali srebrnych przeznaczonych dla niższych oficerów i zwykłych żołnierzy.

Pierwsze orderzy wręczono 25 czerwca w obozie w Ostrogu. W porównaniu z dzisiejszymi odznaczeniami wyglądały skromnie, na awersie miały koronę i monogram SAR – „Stanislaus Augustus Rex”, a na rewersie napis: „Virtuti Militari”. Ciekawostką jest to, że statut, uchwalony już po klęsce w kampanii 1792 r., postanawiał, że wszyscy kawalerowie będą tworzyli bractwo, którego celem stanie się odbudowa dawnej Rzeczypospolitej. W pewnym sensie zatem kapituła miała stanowić sztab przyszłej konspiracji wojskowej, która miała przygotowywać wyzwolenie kraju spod okupacji rosyjskiej, pruskiej i austriackiej.

Order i kapituła wzbudzały złość rządzącej krajem targowicy, która ze wściekłym kundlizmem (dziś powiedzielibyśmy „tuskizmem”) rzuciła się, aby prześladować obdarowanych nim bohaterów. ©©

I RZECZYPOSPOLITA

Zieleńce



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

Zupełnie niespodziewanie nasze wakacje zakończyły się w tym roku krótką wizytą w Gruzji. Ten piękny pod kątem zabytków i przyrody kraj odwiedzaliśmy już wcześniej, ale znowu nas zaskoczył bogactwem smaków tamtejszej kuchni i wyśmienitym, głębokim w smaku oraz barwie gruzińskim winem.

Batumi, które odwiedziliśmy, to istna perełka nad Morzem Czarnym, a Gruzini to bardzo gościnny naród. Wszędzie częstowano nas wszystkim, co najlepsze. Naszą uwagę zwróciły ulubione gruzińskie pierożki – chinkali – nadziewane mięsem wieprzowym, wołowym lub jagnięcym, dobrze przyprawione. Znałe na całym świecie chaczapuri – wyśmienite placki chlebowe faszerowane serem podpuszczkowym lub twarogiem albo innymi dodatkami – były smaczną, szybką przekąską podczas intensywnego zwiedzania.

Jednak nasz faworyt kulinarny to coś spoza typowego gruzińskiego menu. Tym razem zachwyciliśmy się smakiem delikatnej i rozpyłającej się w ustach wątróbki ze śmietaną. Mimo że nie wszyscy lubią wątróbkę, to tę jej wersję gorąco polecamy. Zwłaszcza że wątróbki drobiowe mają swoje prozdrowotne zalety – zwiększają

SIOSTRY GOTUJĄ

Wątróbki z Batumi

szają odporność na stres i dodają energii (choć jest też prawda, że gromadzą się w nich toksyny z organizmu, więc nie należy przesadzać z ilością). Zawierają też witaminy z grupy A i B oraz przede wszystkim żelazo, magnez i wiele innych minerałów. Jedzenie wątróbek poleca się przy anemii, wspomagają też wzrok i wspierają regenerację tkanek. Może więc tym razem dacie się skusić na wątróbki po gruzińsku?

Wątróbki ze śmietaną

- 500 g wątróbki • 1 duża cebula • 2–3 ząbki czosnku
- ½ szklanki białego wina
- po ½ łyżeczki: tymianku, słodkiej papryki, soli, pieprzu
- ½ kubka śmietany, najlepiej 30-procentowej
- garść natki pietruszki
- olej do smażenia

Na patelni rozgrzewamy olej, smażymy poszatkowaną cebulkę przez ok. 7 min, dodajemy czosnek posiekany, a następnie wrzucamy wątróbkę

i podsmażamy, aż trochę zbrązowieje.

Podlewamy białym winem, chwilę czekamy, aby płyn się zredukował, dusimy dalej kilka minut, dodajemy

przyprawy, śmietanę i zostawiamy na gazie jeszcze chwilkę. Na koniec posypujemy natką pietruszki. ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Za dużo czy za mało

Francuski kuzyn zapytał, czy mam ochotę pójść z nim na przyjęcie. Spędzałam wakacje w Paryżu, pracując jako au pair.

– Jasne, chętnie, zawsze jakaś rozrywka – odpowiedziałam. Nie powiedział, do kogo idziemy ani jaka to będzie impreza, a ja nie spytałam. Doszłam do wniosku, że granatowa letnia sukienka, którą właśnie sobie kupiłam w Galeries Lafayette, nada się na ten występ. Zresztą nie miałam wyboru; byłam studentką z PRL, która zaoszczędziła parę groszy.

Kuzyn przyjechał taksówką; już jego smoking mnie zaniepokoił – co to właściwie będzie za party, ale było za późno, żeby się przebrać, nie mówiąc o tym, że nie było w co. Podjechaliśmy pod willę z ogrodem; sznur taksówek, z których wysiadały panie w długich sukniach i panowie w smokingach, utwierdził mnie w przekonaniu, że to przyjęcie to nie podwieczorek u cioci. We wszystkich aspektach. Gospodarzami byli zamożni ludzie, właściciele fabryk sprzętu elektronicznego. Już wtedy były to duże pieniądze. Willa w Neuilly, ogród, basen, sztuka nowoczesna na ścianach. Nikogo nie znałam, zapamiętałam tylko, że byli tam Catherine Deneuve i dziennikarz Bernard Pivot, który prowadził w telewizji program o literaturze.

Czułam się beznadziejnie wśród pań w długich sukniach, z których zapewne żadna nie pochodziła z domu towarowego. Ja w krótkiej sukieneczynie,

którą od razu znienawidziłam, choć była bez winy. Próbowalam przestać myśleć o mojej klęsce; bez skutku.

Tę sytuację przypomniał mi artykuł w „New York Timesie”. Czy lepiej być nieubranym czy też za bardzo ubranym (po angielsku są to dwa precyzyjne słowa: underdressed i over-dressed)? – pytała czytelniczka, a odpowiadała redaktorka mody Vanessa Friedman.

To trochę pytanie jak z „Hamleta”, z zachowaniem wszelkich proporcji. Wyobraźmy sobie bohatera miotającego się po zamku, krzyczącego: „Ubrać się za bardzo czy za słabo? Oto jest pytanie?”. „Istotnie: są dwa obozy – odpowiada redaktor Friedman. – W jednym ci, którzy trzymają się tego, co można by nazwać szkołą Chanel. Słynna francuska projektantka uważała, że zawsze lepiej być niedostatecznie ubranym, i lubiła takie maksymy, jak »Elegancja to odmowa« i »Zanim wyjdiesz z domu, spójrz w lustro i zdejmij jedną rzecz«. Po drugiej stronie są spadkobiercy Iris Apfel, geriatrycznej influencerki, która zmarła na początku tego roku. Żyła zgodnie z przekonaniem, że więcej znaczy więcej: więcej nadruków, więcej bransoletek, więcej zabawy”.

W życiu codziennym byłabym za szkołą Chanel. Ale wspominając dawną przygodę, na imprezę wybieram brokatową suknię z dekoltem do pasa z kolia na szyi. Wszystko po to, żeby zapomnieć porażkę w granatowej sukience za 50 franków. ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Przejażdżka na pożegnanie

Zacząłem się rozglądać za kupnem nowego samochodu. Od razu jakimś tam cudem, co do mechaniki którego to lepiej się nie zastanawiać, bo człowiek zwariuje z podejrzliwości, pojawiły mi się różne reklamy rzeczonych pojazdów na moich social mediach. Muszę przyznać, że oferta była i jest zająca, nowe modele z dobrymi osiąganiami i wyglądające stylowo. Do tego oferta na zakup jest wszechstronna i – o dziwo – dość przystępna: leasingi, kredyty, wynajem. Jako że mnie Internet tak tu zaatakował, zacząłem się rozglądać po realu, czy to prawda.

Pewnie ma tak i wielu, ale jak ja np. nauczę się jakiegoś nowego słowa czy nazwiska, to zaraz ono mnie zewsząd atakuje. To nie premedytacja, tak jak w przypadku powyższego namierzania przez Internet, ale po prostu człowiek podświadomie omija rzeczy sobie nieznane, bagatelizuje niepoznane słowa, ludzi. Aż nagle, kiedy otwiera się na nie zapadka w mózgu, to wyskakują one wszędzie zza krzaka. Ale nie dlatego, że tak jest, tylko że zaczynasz zauważać dotąd bagatelizowaną przez mózg ich niezauważalną obecność.

I zacząłem widzieć nagle te wszystkie samochody naraz na ulicach, mając w pamięci, że z ratą nawet w okolicach 1–2 tys. zł mogę nimi ewentualnie pojeździć. Ładnie, wyraźnie w nowym stylu modele, jakby się cały przemysł

samochodowy umówił na nowy trend. I zaintrygowała mnie myśl, że to... na pożegnanie. Tak, bo większość z tego wysypu nowości to spalinywce.

Bo gdy się popatrzy na ten trend i jednocześnie na daty Zielonego Ładu, zwłaszcza z ograniczeniami wstępu do stref czystego transportu największych miast, to wiedać, że to może być i ładny, i tani odlot ostatnich bocianów tego lata, a właściwie – epoki. Może stąd i takie atrakcyjne formy finansowania, bo przecież nie tak łatwo kierowcy kupić nowe auto, mając w perspektywie, że kroczące normy Zielonego Ładu mogą zaraz nowy pojazd unieruchomić jednym przepisem. I może z tego powodu przemysł przechodzi ze słabnącej sprzedaży na najem, bo jak ci Unia nowy, ale najęty samochód zablokuje na zielono, to możesz go oddać i wynająć kolejny, może już, niestety, wyłącznie elektryczny.

Ten miły wysyp stylu i nowej dostępności może więc dowodzić, że cudów nie ma, że to „pożegnanie z bronią”. Ciekawe, czy sam najem samochodów jest tu docelowy czy tylko przejściowy, gdyż końcową zajezdnią tego kursu może być tzw. spieszenie obywatelskie w ramach 15-minutowych miast. Chyba więc sobie jednak podnajmę i pojeżdżę, ile się da. Choćby po to, by opowiadać później wnukom, jak to drzewiej działo się jeździli. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Psychiatria w walizce

Rozpoczynający się nowy rok szkolny to pierwsza konfrontacja z autorskimi pomysłami szefowej MEN, Barbary Nowackiej. To także punkt zwrotny dla uczniów rozpoczynających naukę w liceum. Przeskok z podstawówki w zupełnie nowe środowisko niesie możliwość autokreacji w myśl zasady: nigdy nie ma drugiej okazji, żeby zrobić pierwsze wrażenie.

Według rodziców i nauczycieli jest to moment, w którym ujawniają się zaburzenia identyfikacji płciowej, stąd wiele młodych ludzi, szczególnie dziewcząt, będzie chciało w nowym środowisku wystąpić w roli, którą sufluje im ideologia trans.

Mój film na kanale YouTube „Afirmacja TV” – „Ignorancja lekarzy [...] Świadek Magdaleny” – opowiadający o dramacie dziewczyny zmanipulowanej do tranzycji płci, osiągnął już ponad 100 tys. wyświetleń. W reakcji na niego, jak również po moich tekstach w tygodniku, otrzymuję e-maile od rodziców, którzy sygnalizują, że zmiana szkoły jest momentem, kiedy dzieciak wymusza na nowym otoczeniu – nauczycielach, dydaktykach, uczniach – respektowanie swojej subiektywnie określonej tożsamości. Niechlubną rolę w tym procederze mają wszelkiej maści „psycholożki”. Bywa, że takim przypadkom kibicują rodzice szantażowani przez psychiatrów i psychologów groźbą samobójstwa dziecka.

Czy rodzice są bezradni? Na pewno nie. Z pomocą przychodzi Stowarzyszenie Psychologów Chrześcijańskich, które opublikowało „Standardy diagnostyczno-terapeutyczne dla dzieci z problemami identyfikacji płciowej”. Sporo materiałów jest też na stronach instytutów Ona i On oraz Ordo Iuris. Nauka nie abdykowała i nie zostawia problemu tylko pod monopolistyczną kolonizację zafiksowanej ideologicznie psychologii.

Właśnie ukazała się naukowa monografia dr. Marka Czachorowskiego „Pedagogika seksualna a etyka”. Znalazłem tam wytłumaczenie szaleństwa, któremu uległa część polskich psychiatrów. Tak działają mechanizmy narzucania przez globalne „centrum” „peryferiom” modeli psychiatrii nazwanych „walizkowymi”, bo przywożonymi w stanie gotowym, tylko do przyjęcia z centrum finansowego świata do jego peryferii.

W innym miejscu pracy jest następujący cytat: „Dziś »seksualność dziecięca« staje się narzędziem osłabiania i rozluźniania więzów rodzinnych [...], służy postępującej separacji rodziców i dzieci i uzasadnia rodzicielską strategię nieinterwencji i »trzymania się na odległość«”. Kto jest autorem tej diagnozy? To fragment pracy „O nowoczesnych pożytkach z seksu” Zygmunta Baumana. Czy rozgrzane ideologicznie „psycholożki” i Bauman odrzucają wstręt? ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Szał podpisów

Warszawska szkoła neoimpresjonistów rozpoczęła prace koncepcyjne nad obrazem „Szał podpisów”. Stop. Na obrazie, na szalejącym karym wierzchołku, ma się znaleźć Donald Tusk, przy czym większość uważa, że powinien być jednak ubrany. Stop. Rozwiany miedziany włos, wzrok spoglądający w otchłanie i długopis w ręku gotów do podpisywania dokumentów, których nie ma czasu przeczytać i zrozumieć. Stop. Obraz inspirowany jest podpisaniem przez Tuska dokumentu akceptującego pracę sędziego Sądu Najwyższego przy wyborze innego sędziego. Poniesiony szaleem podpisów Tusk już po podpisaniu zorientował się, że nie chciał tego dokumentu podpisać, bo to „neosedzia” (takie pojęcie w prawie nie istnieje). Oczywiście marudy będą wytykać, że mamy lekko gamoniowatego premiera, który nie wie, co podpisuje, ale zważyć należy, iż żyjemy w uśmiechniętej Polsce, w której „planety szaleją, szaleją i śmieją się, śmieją, się śmieją”.

Konkurs „Zrób z siebie idiotę publicznie” w minionym tygodniu wygrał bezapelacyjnie były wiceminister sprawiedliwości, a obecnie lewicowy gej reprezentujący w Parlamencie Europejskim klasę robotniczą Krzysztof Śmiszek (fanfary). Jako wiceminister gardłował o potrzebie wprowadzenia ustawy o języku nienawiści i podobne trele-morele. Stop. Pytany o nieformalny hymn Campusu Polska – „Jebć PiS”

– który radośnie śpiewany był tam przez biedną intelektualnie młodzież razem z ministrami, kręcił biedak tak dziwnie, że przez chwilę rozważałem, czy mi go nie żal. W końcu uznał Śmiszek, że „Jebć PiS”, wymyślony przez patologicznego degenerata Cypisa, to „dorobek kulturowy”. Stop. Mnie się nie chce pisać, jak od góry do dołu zakłamaną tą sacy różni Śmiszkowie, których nie wolno krytykować, bo nienawidzić, a według których opluwać można oponentów, bo dorobek kulturowy. Ja bym radził takim panom zapoznać się z „twórczością” tej patologii Cypiska. Oto jeden z fragmentów specjalnie dla Śmiszka: „Ziomek kopie tranwestytę, bo się przebrał za kobitę, i niech kopie dziwolągą, niech mu wypie.doli gonga”. Stop.

Pamiętają państwo perypetie amerykańskiego piwa Bud Light? Stop. Najpopularniejsze piwo w USA nagle zaczęło być promowane przez transseksualistę mówiącego dziwnie, ubierającego się dziwnie, zachowującego się dziwnie i wyglądającego dziwnie. Nieukształtowaną jeszcze wokeizmem dużą część społeczeństwa USA zaczęło to obrzydzać i przestali to piwo kupować. Stop. W ciągu kilku tygodni sprzedaż spadła o prawie jedną czwartą. Stop. Producent Jacka Daniela ogłosił właśnie, że wycofuje „inicjatywy na rzecz różnorodności, równości i inkluzywności, kończąc tym samym swoje zaangażowanie na rzecz wokeizmu”. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Romanse celebrytów

Dramatyczne nowiny dotarły właśnie z dalekiej Australii. Zdechła tam „połowa znanej na całym świecie gejowskiej pary pingwinów” – jak poinformował w tytule portal BBC. Połowa nazywała się Sphen, miała lat 11, była pingwinem białobrewym i mieszkała w ogrodzie zoologicznym w Sydney. Jak opisuje BBC, Sphen i „jego partner Magic” (lat osiem) „wystrzelili ku sławie”, kiedy „zakochali się w sobie” w roku 2018, następnie zaś „adoptowali i wychowali dwa pisklęta”. Jak uzyskano pewność, że Sphen i Magic „zakochali się w sobie”, a nie poddali jedynie fizycznemu pożądaniu, zwanemu w postępowym żargonie „przyjaźnią z benefitami”?

O „gejowskim” romanse pingwinów zaczęły rozpisywać się media – na cześć pary nazwana została łódka w nowoorleańskiej paradyzie Mardi Gras kochanków uwieczniono w australijskim programie nauczania szkolnego i poświęcono im odcinek serialu Netflix’a „Atypical”. Kiedy Sphen zachorował, zespół weterynarzy poddał go eutanazji, „kładąc kres jego bólowi i niewygodzie”. „Utrata Sphena złamała serca naszej pingwiniej kolonii, całemu zespołowi zoo i każdemu, kto był zainspirowany i podniesiony na duchu historią Sphena i Magica” – ogłosił dyrektor zoo, Richard Dilly. „Chcemy wykorzystać ten

moment, by poddać refleksji i uroczystie celebrować życie Sphena, pamiętając, jaką stał się ikoną” – dodał.

Pozostały przy życiu Magic przyprowadzony został do ciała partnera, „żeby zrozumiał, że jego towarzysz już nie wróci”. Jak opisuje BBC, Magic „zaczął śpiewać, a śpiew ten podchwyciła cała kolonia pingwinów”. Oba ptaki spędziły ze sobą sześć lat. Ich uczucie zostało zauważone, kiedy pingwiny kłaniały się sobie, co wśród osobników tego gatunku jest podobno oznaką flirtu. Na stronie internetowej ogrodu zamieszczono księgę kondolencyjną, która szybko pokryła się wpisami. „Nauczyłeś ten świat tak wiele. Nigdy cię nie zapomnimy, Habibi” – napisał jeden z żałobników, używając arabskiego słowa „kochany”.

Ogrody zoologiczne na całym świecie wyczuły koniunkturę, wyszukując pary jedнопłciowej wśród swoich podopiecznych. Dyrektor brytyjskiego West Midlands Safari Park odkrył właśnie, że kochankami są dwa mieszkające w parku samce pingwina Humboldta, imieniem Arnie i Frodo. Ich relacja datować się ma od 2020 r. Towarzyszy im „trójką” papug zwanych lorysami tęczowymi. Jak informuje wścibski dyrektor, jajka znosi wprawdzie samiczka, jednak dwa towarzyszące jej samce „czują do siebie coś, co ja nazywam miłością”. Czy nie jest to jednak miłość do kariery i sławy? ©©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Królewna Śnieżka i triumf rozumu



KRYSZTOF KRATYUK

Wciąż poszukuję pierwiosnków nadziei w popkulturowym półświatku zdominowanym przez koryfeuszów nowego, wspaniałego świata. Taką nadzieję dała mi ostatnio... Królewna Śnieżka.

A raczej wytwórnia Disney. A ujmując rzecz precyzyjnie: odbiorcy filmów powszechnie szanowanej niegdyś amerykańskiej wytwórni.

Otóż firma pozostająca matką Myszki Miki, Kaczora Donalda, Króla Lwa, Gumisiów i Małej Syrenki, a także gustu i wyobraźni milionów ludzi różnych pokoleń, postanowiła stać się matką chrzestną kulturowej rewolucji. Tym, czym Netflix jest dla dorosłych. To dlatego od lat ludzie tej

wtóry tej samej historii, tym razem jednak nie narysowanej charakterystyczną disneyowską kreską, ale zagranej przez aktorów (jak choćby „Piękna i Bestia”) czy animowanej komputerowo (jak „Król Lew”). Od kilku lat władze firmy za nic miały protesty odbiorców, gdy okazywało się, że syrenka Arielka grana będzie przez czarnoskórą aktorkę, wróżka Wendy z „Piotrusia Pana” również, a sam Piotruś przez hindusa, mimo że w oryginalnych kreskówkach byli biali. Jednocześnie widzowie nie mogli nie zauważyć, że gdy powstaje remake historii nieamerykańskiej, wtedy wszystko jest zgodne z logiką – Mulan grana jest przez Azjatkę, Aladyn przez Egipcjanina, a Mowgli z „Księgi Dżungli” przez Hindusa.

jak ujawniła Zegler, nowa Śnieżka nie miała już być ratowana przez księcia (który według aktorki w oryginale miał być... przemocowcem, gdyż całował martwą, a więc nieświadomą Królewnę), a zamiast tego stać się „silną i niezależną liderką”.

Wszystko to doprowadziło fanów do furii, spotęgowanej jeszcze przez zdjęcia z planu, w których krasnoludki miały zostać zastąpione siedmiorgiem dziwaków, mężczyzn i kobiet, w tym jednym z – a jakże – tęczowym kapturem. To już nie krasnale, ale „siedmiorgo magicznych stworzeń”. Disney ogłosił, że konsultuje ich postacie z osobami z karłowatością, ale żadnej z tych osób nie obsadził w tej roli, bo to... obraźliwe.

Kto bogatemu zabroni? To bardzo dobre pytanie! Otóż można mu zabronić!

Pierwsze zapowiedzi filmu wpuszczone do Internetu rok temu spotkały się z masową krytyką. Tak silną i stanowczą, że Disney postanowił przesunąć premierę produkcji o rok. W wakacje 2024 r. zobaczyliśmy trailer nowego filmu. Sceny w nim zawarte do złudzenia przypominają pierwotny sprzed ponad ośmiu dekad, a siedmiorgo dziwolągów zostało zamienionych przez komputer w „zwyczajne” krasnoludki.

I wbrew pozorom to jest historia o nadziei!

Wszak korporacje miały, mają i będą miały miliardy dolarów na wtłaczanie nam do głów postępu. Ale my, normalni ludzie, w swej masie nadal możemy się im przeciwstawić.

Należy tylko pozwolić się obudzić. Tak jak kiedyś książkę obudził zatruta, wydawałoby się, że całkiem już umarłą i gotową do pogrzebu Królewnę. ©

Firma pozostająca matką Myszki Miki, Kaczora Donalda, Króla Lwa i Małej Syrenki, a także gustu i wyobraźni milionów ludzi różnych pokoleń, postanowiła stać się matką chrzestną kulturowej rewolucji

wytwórni wydają się wręcz ścigać w pomysłach na to, kto bardziej kuriozalnie wciśnie rozmaite elementy „kultury różnorodności” do bajek i filmów. Nie ma oczywiście nic złego w tym, że nowe produkcje raczą nas losem bohaterów z różnych mniejszości rasowych, żyjących w tzw. mieszanych rodzinach albo borykających się z niepełnosprawnościami. Równie oczywiste jest to, że niepokój u normalnych rodziców wzbudzą przemycane coraz częściej wątki homowiadomo.

Tak samo oczywista wydaje się reakcja widzów Disneya na wszelkiego rodzaju powtórne ekranizacje – wytwórnia ta odkryła bowiem żylę złota w pokazywaniu po raz

Prawdziwą furie wśród kinomanów wzbudziła jednak obsada przygotowywanej dopiero „Królewny Śnieżki” – bohaterka tej opowieści miała cerę białą jak śnieg. Disney miał jednak inne zdanie i obsadził w tej roli Rachel Zegler, Latynoskę.

Kto wie, być może odbiorcy filmów Disneya przyzwyczajeni do tego typu zabiegów tylko prychnęliby na wspomnienie o wynikach castingu, ale Disney w sprawie „Królewny Śnieżki” postanowił iść na całość. Tak jak w 1937 r. kreskówka zapewniła wytwórni sławę i fortunę, tak teraz, niemal 90 lat później, miała znów wznieść firmę w przestworza mądrości nowego etapu. Otóż

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Informacje, które przekazuję z USA jako zagraniczny korespondent, są ogólnodostępne. Nie należą do teorii spiskowych, nie są wygrzebane z samego dna sieci. Jednak na tle tego, co podają inni korespondenci, wyglądam dziwnie – opowiadam o jakiejś innej Ameryce niż oni.

Pierwszym błędem, który popełniają redakcje, jest umieszczanie korespondenta w Waszyngtonie. Im się pewnie wydaje, że to będzie najbliższe ośrodków władzy, czyli informacje będą najpewniejsze i świeże. Błąd kolosalny. Kto mieszka w Ameryce, ten wie, że Waszyngton ma niewiele wspólnego z resztą kraju. Waszyngton jest jak akwarium, reszta Ameryki jak ocean. W oceanie woda jest świeża, a w akwarium rybki pływają we własnym moczu, oddychają wodą z własnym moczem, piją tę wodę i w niej śpią. Korespondent umieszczony w Waszyngtonie rozleniwia się – jemu się wydaje, że ponieważ jest blisko władzy, to wie wszystko, co trzeba, wie poprawnie, zna prawdę i nie musi szukać nigdzie dalej. Oni nawet nie sprawdzają faktów podstawowych dostępnych choćby w głupiej Wikipedii.

Przykład: Polsat podał, że na Kongresie Partii Demokratycznej przemawiał Tim Walz (kandydat na wiceprezenta Kamali Harris), „były żołnierz, który rozumie siłę sojuszy”. SKĄD ONI BIORĄ TAKIE WIADOMOŚCI? Wystarczy wejść do Internetu i wtedy dowiadujemy się, jaki z niego żołnierz: CNN potwierdził, że Tim Walz kłamał na temat tego, że walczył w Afganistanie. Fałszywe przywłaszczanie sobie zasług wojennych jest w USA przestępstwem, na mocy usta-



wy Stolen Valor Act z 2006 r. Nie dość, że nie służył w Afganistanie, to jeszcze wypisał się z wojska, gdy okazało się, że jego oddział ma zostać wysłany na wojnę w Iraku. W sieci łatwo znaleźć dużą akcję polegającą na tym, że prawdziwi żołnierze wklejają swoje zdjęcia z misji wojennych z podpisem: „To ja w trakcie misji i NIE jestem Tim Walz”.

W polskich mediach podano też, że Tim Walz jest nazywany „tatą Ameryki”. I ani słowa o tym, że kandydat na wiceprezenta był w latach 90. nauczycielem i pomagał rekrutować chłopców do pionierskiego jak na tamte czasy szkolnego klubu pederastów. Taki z niego „tata Ameryki”.

Obecnie Walz postuluje odbieranie praw rodzicielskich rodzicom, którzy nie zgadzają się na seksualne okaleczanie swoich dzieci (usuwanie zdrowych genitaliów) w przypadku, gdy dziecko uważa, że jest innej płci, niż to wynika z genów.

A do tego „tatus Ameryki” popiera aborcję bez żadnych ograniczeń do chwili porodu, czyli do dziewiątego miesiąca włącznie. O jego morale niech świadczy też incydent zapisany w aktach policyjnych: gdy go aresztowano za jazdę po pijaku, kłamał policjantom, że jest głuchy i nie rozumie, co do niego mówią. A w czasach COVID założył specjalną linię telefoniczną do donoszenia na sąsiadów niestosujących się do zakazu wychodzenia z domu na podwórko.

Kamala dobrała sobie do pary osobnika takiego jak ona sama. Zazwyczaj dobiera się kogoś „z innej bajki”, aby poszerzyć elektorat i zebrać więcej głosów. W tym przypadku oboje są siebie wari. Przykład: Kamala chce, by operacje zmiany płci więźniów rodzaju męskiego, którzy chcą się przenieść do więzienia dla kobiet, odbywały się na koszt podatnika. Polskie media podają, że Kamala jest „bojowniczką o prawa kobiet”. Jakie konkretnie w tym przypadku, gdy do damskiego więzienia trafiać będą byki z męskich cel?

W poprzedniej kampanii Kamala startowała w prawyborach przeciw Bidenowi. Zebrała ZERO głosów i odpadła, a kandydatem demokratów został Biden. Wtedy twierdziła, że to z powodu płci i rasy. Wtedy, podkreślam: WTEDY, Kamala twierdziła, że ma pochodzenie hinduskie (po matce). Obecnie Kamala też zebrała zero głosów w prawyborach, ale Bidena odsunęło i w ten sposób zdobyła nominację. Kobieta jest nadal, ale rasę ma inną. Po czterech latach stwierdziła, że jest Murzynką (po ojcu). Wymieniła w opisie własnej osoby słowo „kolorowa” na „czarna”.

Obama też twierdzi, że jest „czarny” lub „Murzyn”, choć naprawde jest tylko Mulatem. Z kolei Biden raz twierdził, że wychowywał się w murzyńskiej parafii baptystycznej, więc jest jak biały Murzyn, innym razem twierdzi, że wychowywał się w parafii portorykańskiej, więc jest praktycznie Latynosem. Jeśli brać pod uwagę

poglądy, Kamala Harris jest czerwona – komunistka i tyle. Zaproponowała urzędową kontrolę cen żywności w USA, czyli rozwiązania, które doprowadziły do bankructwa gospodarki Związku Sowieckiego, Wenezueli, Kuby i wielu innych.

Pomysły gospodarcze Kamali pochodzą od jej ojca. Donald J. Harris był marksistowskim ekonomistą na Jamajce, gdzie w latach 70. jego komunistyczne idee (m.in. urzędowa kontrola cen) doprowadziły do kolejek, drożyzny, inflacji, racjonowania żywności i do głodu. Producenci żywności nie chcieli bądź nie byli w stanie sprzedawać swoich produktów po sztucznie zaniżonych cenach wymuszonych przez rząd. Pojawiły się czarny rynek, wysokie ceny, obniżenie poziomu życia i stagnacja gospodarcza.

Polskie media podają, że program Kamali Harris popiera większość Amerykanów, niewielka, ale jednak większość, skoro Kamala wygrywa w sondażach. I żaden korespondent nie pofatygował się na oficjalną stronę Kamali, aby sprawdzić, co to za program? W chwili gdy piszę ten tekst, na oficjalnej stronie nie ma żadnego programu wyborczego. ZERO. To w takim razie, jaki program popiera ta większość?

Największy sondaż wyborczy przeprowadził Elon Musk na swojej platformie X. Pytanie było proste, czyli bardzo poprawne naukowo: NA KOGO BĘDZIESZ GŁOSOWAĆ? Nie da się nie zrozumieć lub źle zrozumieć. Ankieta dotarła do 195 mln ludzi, przeczytało ją 68 mln, a wypełniło prawie 6 mln ludzi. Na Trumpa chce głosować 73 proc., na Kamalę 27 proc. A polskie media nadal opowiadają zupełnie inną historię i podają wyniki sondaży robionych przez firmy z Waszyngtonu. ©©

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



**W PREZENCIE
KSIĄŻKI**

TEKSTY Z DODATKÓW SPECJALNYCH TYGODNIKA „DO RZECZY”: „PRAWNA OBRONA PRZED POŁONOFOBIA” + „PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

249,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 462 zł

~~711 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl a15c13f5b6

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



PRL NA KRAWĘDZI NUKLEARNEGO ARMAGEDONU

Atomowy deszcz nad Wisłą – Rola przydzielona przez Moskwę PRL w konflikcie Wschód – Zachód oznaczałaby dla naszego kraju totalną zagładę

Śmiertelne starcie kuzynów – Nie brak opinii, że bitwa pod Zawichostem była największym zwycięstwem polskiego oręża w okresie średniowiecza, aż do starcia z Krzyżakami pod Grunwaldem

Kuchenna klątwa Albionu – Anglicy skolonizowali połowę świata i zarządzili handlem przyprawami. Dlaczego więc ich potrawy uchodzą wśród cudzoziemców za niezjadliwe?

Cesarzowa z lupanaru – Rzym nie znał drugiej tak zdemoralizowanej władczyni. Messalina nocami obsługiwała klientów domu publicznego, a w dzień planowała krwawe intrygi

Mengele Stalina – Grigorij Majranowski był szefem laboratorium NKWD, w którym opracowywano trucizny pozwalające zabijać bez pozostawiania śladów. Wypróbowywano je na skazanych na śmierć

Polski akcent Conrada – Sto lat temu zmarł Joseph Conrad, klasyk literatury światowej, który do końca pozostał jedną wielką enigmą

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**